

REKONSTRUKCJA „DO RZECZY”

Kaczyński zaczął odstawiać
Macierewicza na bocznice



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 16/269 16-22 KWIETNIA 2018
CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Ziemkiewicz odpowiada
na zarzut antysemityzmu

JAK ŁYSIAK
PRZETRWAŁ
BEZ INTERNETU



Polskie kino
moralnej patologii

Co się dzieje w Watykanie?

raport
DO RZECZY



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 94,5 tys. egzemplarzy

eprasa.pl f7263b8a63

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

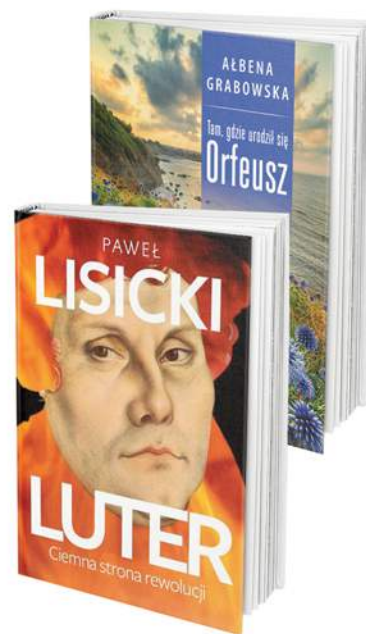
TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

DWIE KSIĄŻKI
“TAM, GDZIE URODZIŁ SIĘ ORFEUSZ”
“LUTER. CIEMNA STRONA REWOLUCJI”

+

Cena: 151 zł
Oszczędność: 113zł



MANTA
Polska firma. rodzinna.

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303
KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII,
WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI,
LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 239 zł
Oszczędność: 289zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl f7263b8a63



W RZECZY SAMEJ

Czytajmy Franciszka

PAWEŁ LISICKI

Co się dzieje w Watykanie? Na tak postawione pytanie nigdy nie było równie trudno odpowiedzieć jak obecnie. Może dlatego, że każda odpowiedź zdaje się tymczasowa i niepewna. Nie ma chyba takiego punktu doktryny katolickiej, co do którego można byłoby powiedzieć, że nadal niewzruszenie obowiązuje.

Tuż przed Wielkanocą papież Franciszek miał choćby powiedzieć, że nie istnieje piekło. Nie ma żadnych wiecznych cierpień, dusze zmarłych w grzechu śmiertelnym znikają, istnieje jedynie niebo i szczęśliwość wieczna. Czy tak faktycznie powiedział, pozostaje rzeczą niepewną – słowa te padły w kolejnej, szóstej już bodajże, rozmowie z włoskim dziennikarzem, Eugenio Scalfarim. Watykan szybko ogłosił, że cytat jest nieprawdziwy. Tylko czy temu zaprzeczeniu wolno wierzyć?

Podobnych przypadków wypowiedzi dziwnych, zaskakujących, osobliwych w rozmowach ze Scalfarim, włoskim skrzyżowaniem Magdaleny Środy, Adama Michnika i Jana Hartmana, było już wcześniej wiele. Za każdym razem scenariusz jest taki sam: Scalfari cytuje dziwaczne opinie Franciszka, potem Stolica Apostolska im zaprzecza. Naprawdę, nie wiem

już nabrać się na tę zabawę w kotka i myszkę. Przyjmuję, że jeśli dorosły człowiek sześć razy z rzędu coś mówi, to czymś dziecinnyim będzie negowanie jego słów i udawanie, że jego opinie zostały zniekształcone lub przekręcone. Tak, sądzę, że papież Franciszek powiedział dokładnie to, co Scalfari zacytował. Co jest oczywiście hipotezą wyjątkowo trudną do przyjęcia, bo oznaczałoby, że papież faktycznie wygłasza sądy sprzeczne z ortodoksją. Robi to publicznie i uporczywie.

Wiele nie mniej szokujących wypowiedzi można znaleźć w wydanej po polsku książce Dominique'a Woltona, „Otwieranie drzwi”. Zachęca w niej choćby papież do wspólnych modlitw z muzułmanami w piątki w meczetach. Cóż, to pomysł nie tylko nieroztropny, lecz także znowu, używając eufemizmu, wysoce wątpliwy teologicznie. Przyjmuje za dobrą monetę wściekle tyrady Woltona, z których wynika, że przez wieki Kościół mordował miliony ateistów! W pewnym miejscu Franciszek stwierdza, że dzieje Kościoła to dzieje ucisku większości przez mniejszość. Jest to typowa rozmowa, przykro to powiedzieć, dwóch lewicowych ideologów. Być może papież jest w niej tylko trochę mniej radykalny.

Ta sama niepewność dotyczy nie tylko zasad wiary, lecz także moralności. W założonej przez Jana Pawła II Akademii Życia pojawili się nowi członkowie, mianowani przez Franciszka, wśród których są zwolennicy aborcji i eutanazji. W wydanej właśnie adhortacji „Gaudete et Exsultate” oprócz wielu słusznych nauk papież wskazuje, że pomoc imigrantom jest równie ważna jak obrona życia dzieci nienarodzonych. Znowu, patrząc na to z punktu widzenia zasad, jest to nie do obrony. Prawo do życia jest fundamentem wszystkich innych praw, aborcja, jak zawsze twierdził Kościół, to czyn wewnętrznie zły i niegodziwy. Pomoc imigrantom zaś nigdy nie ma takiego bezwarunkowego i bezwzględniego charakteru. Zawsze zależy od okoliczności, sytuacji, możliwości danego państwa i społeczeństwa. Zrównując te dwa obowiązki moralne – obowiązek pomocy imigrantom i obowiązek walki z aborcją – dokonuje się relatywizacji prawa do życia. Nie jest zatem przypadkiem, że Franciszek tak chętnie mówi o sobie jako o rewolucjonście.

W tej samej adhortacji Franciszek pisze o krytykujących go chrześcijanach, że charakteryzuje ich „egocentryczne i elitarystyczne samozadowolenie, pozbawione prawdziwej miłości”. To się nazywa podejście dialogiczne. Zdaniem papieża ci pseudochrześcijanie mają „obsesję na punkcie prawa”, cechuje ich „ostentacyjna troska o liturgię, o doktrynę i prestiż Kościoła”. To niesłychane: papież atakuje katolików za to, co przez wieki zawsze było pozytywną wartością, czym się zawsze chlubil i za co byli wynoszani na ołtarze: za troskę o liturgię, o doktrynę i pozycję Kościoła. Teraz okazuje się to obsesją. Teraz to tłumienie Ewangelii i zamiana chrześcijaństwa w „eksponat muzealny”.

Doprawdy, jeśli przewartościowanie wartości nie jest rewolucją, to co nią jest? ©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

20 TOMASZ TERLIKOWSKI

PAPIEŻ REWOLUCJONISTA

„To ja, rewolucjonista” – tak według Eugenio Scalfariego ma się przedstawiać papież, gdy do niego dzwoni. I choć forma ta jest żartobliwa, to jest w niej sporo prawdy

24 PIOTR WŁOCZYK

PERÓNOWSKI MODEL W WATYKANIE

26 KRYSTIAN KRATIUK

CO PRZYNIESIE „SYNOD MŁODYCH”



KRAJ

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI

FILAR NA BOCZNICY

Macierewicz spychany do politycznego cienia

32 PIOTR SEMKA

UJAZDOWSKI MARZY O WROCŁAWIU

36 ROZMOWA Z ADAMEM ANDRUSZKIEWICZEM

PAWEŁ KUKIZ NIE PODAJE MI RĘKI

40 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

CHAŁAT BEZPIECZEŃSTWA

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

NIOSĄC POMOC

KULTURA

44 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT

ZAZDROŚĆ, JAZZ I MEDYCyna

Rozmowa z Tomaszem Lachem, autorem książki o swoim ojczymie Krzysztofie Komedzie

48 PIOTR GOCIEK

KREZUS I PIJAWKI

50 ROZMOWA Z DYREKTOREM INSTYTUTU KSIĄŻKI

POCZYTANKI

52 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK

KINO MORALNEJ PATOLOGII

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

CYWILIZACJA

60 WALDEMAR ŁYSIAK

SIEĆ – UŁATWIENIE, UWIĘZIENIE, UMOCNIE

OPINIE

67 SZEWAŁ WEISS

ROK 1948

68 ŁUKASZ WARZECHA

FACHOWCY ZA GROSZE?

Rywalizacja w populizmie ma to do siebie, że trudno ją zakończyć



72 ZYCHOWICZ KONTRA KRYTYCY

SPÓR O WYKLĘTYCH

HISTORIA

74 ŁUKASZ CZARNECKI

SPRAWIEDLIWY JAPOŃCZYK

Chiune Sugihara w trakcie II wojny światowej uratował tysiące Żydów

ŚWIAT

78 OLIVIER BAULT

WALEC ORBÁNA

Węgry pokazali, że nie chcą takiej Europy, o jakiej marzą Timmermans i spółka

EKONOMIA

82 JACEK PRZYBYLSKI

PODATEK OD GRZECHU

Coraz więcej państw próbuje podatkami wpływać na zdrowie mieszkańców

86 STEFAN SEKOWSKI

REQUIEM DLA PRACY

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK

APARTAMENT LUX SPRZEDAM

Gościom ma odbierać mowę z wrażenia

O ZDROWIU

92 KATARZYNA PINKOSZ

HEMOFIŁIĘ TRZEBA LECZYĆ EFEKTYWNIEJ

FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (12), GMYZ, GOCIEK (18), ZALEWSKI, WOLSKI (71), ZYCHOWICZ, KOPER (77), KOWALCZUK (81), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (94), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)



FOT. SZLAC

Cyfrowe kompetencje nie tylko na informatyce

Ciągle online, wpatrzeni w smartfon, pochłonięci grami, aplikacjami. Jak sprawić, aby najmłodszy użytkownicy technologii potrafili korzystać z nich bezpiecznie, z głową i za ich pomocą nabywali pożytecznych kompetencji? Do 27 kwietnia szkoły mogą zgłaszać się do udziału w bezpłatnych programach Fundacji Orange.

NIE MA ODWROTU OD TECHNOLOGII

Dostęp do sieci i urządzeń to lawina, której nie da się zatrzymać. Badania pokazują, że nawet 20% dzieci już w wieku 1-2 lat ma kontakt z Internetem (TNS 2016). Rodzice szkolnych dzieci przyznają, że ich dziecko może korzystać z Internetu kiedy chce i gdzie chce, a nastolatki wskazują, że są online bez przerwy.

Jak nauczyć dzieci bezpiecznego korzystania z urządzeń? Jak nie dopuścić, by padły ofiarą internetowych przestępców? Jak sprawić, by zamiast tracić czas na bezcelową rozrywkę, zdobyły nowe umiejętności?

Odpowiedzią na te wyzwania są dwa programy Fundacji Orange.

MEGAMISJA DLA NAJMŁODSZYCH

MegaMisja to cykl zajęć dla klas 1-3. Program daje solidną bazę cyfrowej edukacji. Uczy dzieci, jakie treści można publikować w internecie, jak chronić swoją

prywatność, jak unikać zagrożeń w sieci, znaleźć wiarygodne informacje, tworzyć i obrabiać proste grafiki, dźwięki i filmy. Kanwą MegaMisji jest animowana bajka o sztucznej inteligencji – Psotniku, która zachęca najmłodszych do aktywności.

– Dzieci są bardzo zainteresowane, wciągnięte w tematy zajęć. Z tygodnia na tydzień czekają na kolejną lekcję – mówi Aleksandra Pocheć-Mordaka, nauczycielka w Szkole Podstawowej nr 7 w Nowym Dworze Mazowieckim. Jednej z 600, które wzięły udział w poprzednich edycjach projektu.

Każda szkoła po wykonaniu kolejnych zadań otrzymuje nagrody – tablety, audiobooki i gry planszowe. Program wspiera autor bajek dla dzieci, Grzegorz Kasdepke, który odwiedza najaktywniejsze placówki.

NAUKA KODOWANIA NA PRZYRODZIE

Dla klas 4-6 Fundacja Orange prowadzi program #SuperKoderzy. Polega on na nauce programowania w środowisku

Scratch. Nie tylko na informatyce, ale również na lekcjach przyrody, historii, matematyki, techniki, języka polskiego, angielskiego, niemieckiego, muzyki i w trakcie zajęć dla uczniów ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi. Scenariusze są skonstruowane tak, by wpisywały się w podstawę programową każdego z przedmiotów. Podobnie jak w wielu zawodach, kodowanie staje się narzędziem, a nie głównym celem pracy.

– Nauczyciele mogą uczyć dzieci programowania, sami nawet nie mając o tym początkowo pojęcia! – mówi Beata Sokołowska, nauczycielka #SuperKoderów ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Milanówku. Placówki otrzymują też grant w wysokości 2500 zł na zakup sprzętu, a nauczyciele przechodzą szkolenie, które pomaga w przeprowadzeniu serii zajęć.

– Moi SuperKoderzy sami konstruują roboty i programują je, ja tylko wskazuję im kierunki i wspieram w szukaniu najlepszych rozwiązań – dodaje Beata Sokołowska. Na zajęciach powstają stacje pogodowe czy pianina z bananów.

REKRUTACJA TRWA DO 27 KWIEŚNIA

Szkoła zgłasza się do naboru wchodząc na www.fundacja.orange.pl/rekrutacja, a następnie wypełniając formularz dostępny na stronie.

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu głos naszego Czytelnika po opublikowanym w świątecznym numerze „Do Rzeczy” (13/2018) artykule prof. Marka Jana Chodakiewicza.

„Polskie lekcje”

Szanowny Panie Redaktorze!

Dość pilnie obserwuję publicystyczną debatę związaną z tym, co się wydarzyło w przestrzeni międzynarodowej po uchwaleniu noweli ustawy o IPN, i nie znalazłem dotychczas publikacji, która byłaby tak ważna z punktu widzenia potrzeb w dziedzinie polskiej tzw. polityki historycznej. Chodzi o to, że prof. Chodakiewicz, historyk od lat zajmujący się stosunkami polsko-żydowskimi, wykształcony i jako naukowiec uformowany, że tak powiem, na uczelniach amerykańskich, dysponuje innym spojrzeniem na polskie sprawy, wyróżniając się przy tym rzetelnością badacza, właściwą dla tamtejszych standardów deontologicznych, niezależnie od nieobcego mu również temperamentu wytrawnego publicysty i polemisty. [...]

Wszystkie jego książki oparte są na rzetelnych badaniach źródłowych. W pracy „Mord w Jedwabnem. Prolog, przebieg, pokosie” m.in. stwierdza się ponad wszelką wątpliwość, że brak jest jakichkolwiek wiarygodnych świadków tego, co działo się w momencie popełnienia zbrodni, a więc tym bardziej niepodobna orzec, że dokonali jej „Polacy z inspiracji niemieckiej”, jak orzeczono w białej księdze dotyczącej Jedwabnego. Jest to zatem zaledwie hipoteza.

Wracając do „Polskich lekcji” – jest w tym artykule tyle konkretnych propozycji doty-

czących stworzenia pewnych instytucji, rozpoczęcia poważnych badań naukowych, odrobienia różnych „polskich lekcji”, zaniebań i zaniechań, że tylko brać je pełnymi garściami i realizować. W tym celu jednak – tak uważam – ta wiedza i te konkretne projekty w jakiś sposób muszą dotrzeć do świadomości osób decyzyjnych w państwie. Nie wystarczy domniemanie, że osoby te (a mam na myśli Jarosława Kaczyńskiego, premiera Mateusza Morawieckiego i wicepremierów: Beatę Szydło i Piotra Glińskiego) na pewno czytają „Do Rzeczy” i zapoznały się z rzeczoną pracą. Otóż – nie czytają, bo nie mają po prostu czasu, i nie zapoznają się.

Dlatego proponuję, by Redakcja – najlepiej za pośrednictwem osoby mającej dostęp do „ucha prezesa” i do uszu premierów – skutecznie dostarczyła odrębnie tekst „Polskich lekcji” wymienionym osobom, wymuszając niejako – miejmy nadzieję – zapoznanie się przez nie z tym wszechstronnym projektem. Co w moim przekonaniu może w efekcie doprowadzić do ustanowienia prof. Chodakiewicza pełnomocnikiem czy koordynatorem działań w dziedzinie polityki historycznej lub do podjęcia innych decyzji, mających na celu realizację jego pomysłów. Pomysłów, które obecnie, gdy już je znamy, wydają się oczywiście i warte jak najszybszego urzeczywistnienia.

**Jerzy Biernacki,
Warszawa**

Wyjaśnienie

W tekście „Głupi i głupszy” („Do Rzeczy”, 14/2018) w przedstawieniu Wojciecha Krzyżaniaka jako autora bloga znalazła się niezamierzona literówka. Jest on autorem strony Wtylewizji.pl, a nie Wtylewizji.pl.

Łukasz Zboralski

**DO
RZECZY**

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski**
(I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, **Piotr Gociek**, **Waldemar Łysiak**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**,
Joanna Bojanczyk, **Grzegorz Brzozowicz**, **Sławomir**
Cendrowski, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika Cosic**
(*Buksele*), **Krzysztof Czabański**, **Roman Graczyk**,
Piotr Gursztyn, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**,
Sławomir Kóper, **Piotr Kowalczyk** (*Rzym*), **Jakub Kowalski**,
Tomasz Lenczowski, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Makowski, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**,
Gabriel Michalik, **Filip Memches**, **Agnieszka Niewińska**,
Maciej Pieczyński, **Katarzyna Pinkosz**, **Anna Piotrowska**,
Jan Pospieszalski, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**,
Krzysztof Rybiński, **Stefan Sękowski**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torąński**,
Matthew Tymand, **Paweł Wawrzynski**, **Szewach Weiss**,
Piotr Włoczyk, **Marcin Wolski**, **Tomasz Wróblewski**,
Wojciech Wybranowski, **Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz
Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca),
Anna M. Piotrowska, **Małgorzata Puzyn**, **Damian Cygan**,
Karol Gac, **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio),
Jan Fiedorczuk

Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia),

Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),

Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wojtowicz**,
Włodzimierz Zakrzewski

Fotoodciski: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**,
Marzena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**

Rysowniki: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**,
Mirosław Owczarek

Okładka: **Alessandra Tarantino/AP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



**PMPG
POLSKIE
MEDIA SA**



POLSKIE WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisicki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 94,5 tys. egzemplarzy

Druk: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie
innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest
zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując
się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami:

22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze
w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca
materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo
do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy”
jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione
są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą
wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

KONDOLENCJE

PANU AMBASADOROWI

GABRIELOWI BESZŁEJOWI

WYRAZY GŁĘBOKIEGO ŻAŁU I WSPÓŁCZUCIA Z POWODU
ŚMIERCI



MAMY

ŁĄCZĄC SIĘ Z NIM W MODLITWIE

SKŁADA

Ryszard Legutko, przewodniczący grupy EKR
w Parlamencie Europejskim,
wraz z europosłami PiS i pracownikami grupy EKR



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Bez rzutu butem (na razie)

Dziennikarz „Gazety Wyborczej” Wojciech Czuchnowski wybrał się 11 kwietnia na konferencję sejmowej podkomisji do spraw badania przyczyn katastrofy smoleńskiej z udziałem Antoniego Macierewicza. Przybył na konferencję w jednym, jedynym celu. Po uzyskaniu głosu wygłosił do mikrofonu oświadczenie: „Jest Pan kłamcą i przestępcą. Odpowie Pan przed sądem wolnej

W marcu 2017 r. zablokował kolumnę samochodów rządowych na sygnale, przekonany, że robi na złość szefowi MON. Miał pecha, bo w kolumnie jechał akurat czeski minister obrony. Dzisiaj widać, że wszystkie te wyczyny skłaniały Czuchnowskiego do kolejnych demonstracji.

To, co musi niepokoić, to głosy zrozumienia dla jego ostatniego wysoku ze strony zwierzchników z „GW” i z obozu mediów opozycyjnych.

Dowiedzieliśmy się, że „choć jako dziennikarz niewątpliwie wyszedł z roli, to nie znaczy to, że zrobił źle. Zachował się jak obywatel. Bronił godności państwa, wybitnych urzędników i specjalistów z komisji Millera i Laska”.

Podkreślano, że wyskok na konferencji był realizacją „obowiązku dziennikarza rzetelnego informowania opinii publicznej” lub ogłaszano, że „gdy polityk kłamie i od lat robi z ludzi idiotów, dziennikarz musi reagować”. Często bałamutnie pytano: „A niby co ze słów Czuchnowskiego nie jest prawdą?”.

Słyszając takie napuszone opinie, można poczuć zniechęcenie.

Przecież konferencje prasowe są od zadawania pytań, a nie od demonstrowania niechęci wobec nie lubianego polityka. Nikt nie broni Czuchnowskiemu wytykać Macierewiczowi mijania się z prawdą, ale musi to być rzeczowo uzasadnione. Wystarczyły dwa lata konfliktu politycznego, by wypracowane przez lata normy współżycia w świecie dziennikarskim łatwo zostały uznane za przeżytek.

Argumentacja fanów Czuchnowskiego bazuje na sprytnym chwycie. Wpierw ogłasza się na wyrost koniec demokracji w Polsce, a potem chwali się zachowaniem usprawiedliwione tylko w dyktaturach. Tak nakręca się emocje, a iluś ludzi na świecie, czytając o takich demonstracjach, myśli: „Chyba naprawdę w Polsce nie ma wolności słowa, bo przecież inaczej nikt nie musiałby sięgać po takie środki”.

Ten nadęty balon nakłutł najcelniej dziennikarz Michał Majewski. Skomentował wyskok Czuchnowskiego krótko: „Słabe. Mógł rzucić butem”. ©©

Nikt nie broni Czuchnowskiemu wytykać Antoniemu Macierewiczowi mijania się z prawdą, ale musi to być rzeczowo uzasadnione

Polski. Zadawanie pytań nie ma żadnego sensu, żegnam”.

To nie pierwszy happening laureata nagrody SDP „Hiena Roku”. W 2017 r. przyjął zaproszenie do TVP Info jedynie po to, by wygłosić oświadczenie krytykujące stronniczość TVP.



FOT. DARIUSZ CZAPSKI/FORUM

CBA ZATRZYMAŁO GAWŁOWSKIEGO

Stanisław Gawłowski, poseł i sekretarz generalny PO, został w piątek zatrzymany przez Centralne Biuro Antykorupcyjne. Dzień wcześniej zgodę na tymczasowy areszt parlamentarzysty wyraził Sejm. W piątek Zachodniopomorski Wydział Zamiejscowy Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Szczecinie miał przedstawić Gawłowskiemu trzy zarzuty korupcyjne, zarzut ujawnienia tajemnicy państwowej oraz zarzut plagiatu pracy doktorskiej. – Będę pierwszym więźniem politycznym IV RP – mówił poseł PO jeszcze przed zatrzymaniem. (jap) ©©





ROŚNIE RYZYKO POTĘŻNEJ WOJNY

„Rosja przyrzekła, że zestrzeli wszystkie pociski wystrzelone w kierunku Syrii. Przygotuj się, Rosjo, bo one nadejdą – ładne, nowe i »inteligentne«. Nie powinniście być partnerem dla Zwierzęcia Zabijającego Gazem, którego bawi zabijanie swoich ludzi” – napisał na Twitterze Donald Trump. Miały to być odwet na reżimie dyktatora Baszara al-Asada za użycie broni chemicznej w ataku na Dumę pod Damaszkiem.

Na słowa prezydenta USA szybko odpowiedział rosyjski ambasador w Libanie. – Jeśli nastąpi atak ze strony Amerykanów, pociski zostaną zestrzelone, a na cel będą również wzięte miejsca, z których je wystrzelono – zagroził we wtorek Aleksandr Zasyplin na antenie powiązanej z Hezbollahem telewizji Al-Manar.

Biały Dom nie przejął się jednak tymi pogroźkami. Z cypryjskiego portu Larnaka w kierunku rosyjskiej bazy morskiej w Syrii wypłynął m.in. amerykański niszczyciel USS „Donald Cook” (na zdjęciu), który ma na pokładzie m.in. ponad 50 nowoczesnych rakiet Tomahawk. Tych samych, których USA użyły już do ataku na Syrię 7 kwietnia 2017 r. w odpowiedzi na użycie broni chemicznej podczas ofensywy na oprowadzone przez syryjskich rebeliantów miasto Chan Szajchun.

Zaostrzeniu sytuacji w regionie z niepokojem przyglądają się komentatorzy. Toczący się od siedmiu lat zbrojny konflikt w Syrii w praktyce od dawna nie jest już wojną domową, lecz nieformalną wojną światową, prowadzoną m.in. przez Rosję, USA, Arabię Saudyjską, Turcję, Iran oraz Izrael. (jap) ©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Mistrz i Justyna

Nie wiem, po co była Januszowi Gajosowi wizyta w „Faktach po faktach” TVN24. Jego sztuka aktorska jest – zasłużenie – oceniana tak wysoko, a pozycja, jaką zdobył, tak silna, że nie można podejrzewać tu żadnych uwarunkowań środowiskowych. Najwyraźniej potrzeba, by wypowiedzieć się o polityce i o sprawach publicznych, miała

Niestety, wizyta Mistrza u Justyny Pochanke tej dewaluacji nie przeciwdziała, zostawia tylko głęboki smutek. Bynajmniej nie chodzi o to, że Janusz Gajos wyznał swą niechęć do Kaczyńskiego i do PiS, tym bardziej że zrobił to z o niebo większą kulturą, niż stanowi tefalenowski standard. Problem, że swej niechęci kompletnie nie umiał uzasadnić. Czynił to w sposób równie intelektualnie niezborny jak uczestnicy różnych „obywatelskich” spędów. A po Januszu Gajosie chciałoby się czegoś więcej.

„To jest cyrk, to jest slapstikowa komedia. Nie do uwierzenia, że to się dzieje naprawdę. Jeden człowiek chce mówić mnie, jak mam żyć. Daje mi tabelkę z przykazaniami na każdą okoliczność mojego życia. To jest przerażające. Nie umiem tego nazwać” – pożałił się wielki aktor pani Justynie. Co znaczą te słowa? Nic. To przecież czysty wiecowy bełkot, frazy bez znaczenia, oddają-

ce jedynie emocje. Pokażcie mi polityka, publicystę, działacza, o którym nie można by pisać, że „chce mówić, jak mamy żyć”. Albo takie słowa: „Wielu ludzi daje się prowadzić za rękę w stronę piekła. Nie wiem, dlaczego ulegają nakazom i wyobrażeniom o naszym kraju”...

Do wygłaszania podobnych mądrości (a te wyimki naprawdę najbliższe są konkretów z całej rozmowy) nie trzeba intelektualisty. Wystarczy rozhisteryzowana nastolatka albo emerytka z wieszakiem. Albo „szafiarka” czy modelka... Bo piosenkarka to już nie. Widziałem parę wywiadów z wyszydaną przez wielu Dodą, w których okazała się ona dużo mądrzejsza niż Janusz Gajos u pani Justyny. To nie jest złośliwość, tylko fakt. Uwielbiam Gajosa jako artystę, ale jego refleksje nad „sytuacją kraju” były tak infantylne i płaskie, że chciałoby się móc tę rozmowę „odzobaczyć”. Niestety... ©©

To przecież czysty wiecowy bełkot, frazy bez znaczenia, oddające jedynie emocje

charakter wewnętrzny. Kiedyś napisałbym, że aktor chciał „dać wyraz obywatelskiej trosce”, ale dziś te słowa, tak jak wiele innych, zostały przez propagandystów do cna zdewaluowane i skojarzone z zapłutymi z frustracji i obelg osołomami.



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Niepamięć katyńska

Sznur trzęsących się na leśnych wybojach ciężarówek wyładowanych więźniami w wojskowych mundurach, sowieccy strażnicy, krzyki, popychanie kolbami. 3 kwietnia 1940 r. z obozu w Kozielsku do Katynia, po śmierci od strzału w tył głowy, wyjechał transport polskich oficerów. W 78. rocznicę Zbrodni Katyńskiej, osiem lat po tragicznej podróży Lecha Kaczyńskiego do Katynia, podróży, która miała przypomnieć światu o sowieckiej zbrodni, szukam informacji o prominentnych przedstawicielach państwa polskiego, którzy kontynuując jego misję, udali się do katyńskiego lasu, by oddać hołd

pomordowanym. Nic. Jeszcze łudzę się, że może prezydent Andrzej Duda, który deklarował, że będzie strażnikiem pamięci historycznej? Rozczarowanie. Podobnie cisza w kancelarii premiera Mateusza Morawieckiego. Zapomniano. Zlekceważono. Na obchody 78. rocznicy Zbrodni Katyńskiej na groby ofiar przyjechali bliscy pomordowanych polskich żołnierzy, ambasador Marciniak i trzeci garnitur przedstawicieli państwa polskiego.

Wyrątki? Gdzieś niedawno wrzucone jedno czy dwa zdania przy okazji obchodów ósmej rocznicy katastrofy smoleńskiej, która niestety coraz

bardziej zabija pamięć o tej strasznej zbrodni, sowieckim mordzie na polskich oficerach w Katyniu.

Aprzecz! Nie tak miało być. Prezydent Lech Kaczyński leciał 10 kwietnia 2010 r. do Smoleńska, by nad grobami polskich oficerów powiedzieć: „Tragedia Katynia i walka z kłamstwem katyńskim to doświadczenie ważne dla kolejnych pokoleń Polaków. To część naszej historii. To jednak także część historii całej Europy, świata”. Chciał, by pamięć o Zbrodni Katyńskiej nigdy nie zgasła. Ci, którzy nazywają się dziś kontynuatorami idei Lecha Kaczyńskiego, o jego przesłaniu zdają się nie pamiętać. ©©

POWSTANIE W GETCIE WARSZAWA 1943



ODWAŻNI NA SZLAKU MACHABEUSZY

75. rocznica powstania w getcie warszawskim

W założonym przez Niemców w 1940 roku getcie warszawskim znalazło się blisko pół miliona Żydów, którzy musieli toczyć codzienną walkę o przetrwanie w nieludzkich warunkach. W lipcu 1942 roku rozpoczęła się likwidacja getta, z którego do komór gazowych w Treblince wywieziono 250 tysięcy osób. W kwietniu 1943 r. pozostali w getcie Żydzi, wzorem walecznych Machabeuszy z okresu starożytnego Izraela, chwycili za broń. Kilkuset bojowników z Żydowskiej Organizacji Bojowej i Żydowskiego Związku Wojskowego podjęło heroiczną, jednak pozbawioną szans na zwycięstwo walkę.

Ciężko doświadczeni przez okupantów Polacy nie byli w stanie powstrzymać niemieckich zbrodni. Nie brakowało jednak osób decydujących się na niesienie pomocy prześladowanym. Rada Pomocy Żydom „Żegota” – organizacja działająca w ramach Polskiego Państwa Podziemnego – pomagała przetrwać Żydom, którym udało się wydostać z piekła, jakim było getto.

Instytut Pamięci Narodowej wzywa wszystkich do oddania hołdu żydowskim bohaterom walczącym w getcie warszawskim. Niech ich ofiara, złożona siedemdziesiąt pięć lat temu, pozostanie na zawsze w naszej pamięci!



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Oblany egzamin z jawności

Gdy w 2011 r. Polska sprawowała prezydenturę w Unii Europejskiej, rządząca wtedy Platforma Obywatelska uczyniła z tego absurdalną fetę, tak jakby było to jakieś gigantyczne osiągnięcie dyplomatyczne, a nie rutynowo przechodnie przewodnictwo. Jednym z elementów fety był wielki koncert, do którego scenariusz napisali i który wyreżyserowali Jakub Wojewódzki oraz Krzysztof Materna. Wszyscy zachodzili wówczas w głowę, ile obaj szołmeni

PFN nie dysponuje środkami publicznymi w rozumieniu ustawy o finansach publicznych, ale powstała z inicjatywy rządu, który kontroluje też spółki Skarbu Państwa

zgarnęli z publicznej kasy za swoje widowisko. Niestety, instytucje, odpowiedzialne za organizację koncertu, odmawiały odpowiedzi, tłumacząc, że gdy stronami umowy są osoby prywatne, obowiązuje tajemnica kontraktu i nie ma tu nic do rzeczy, że mowa o publicznych pieniądzach. Ówczesna opozycja była oburzona.

Oburzenie jednak w czasach dzisiejszych zależy, jak wiadomo, od punktu siedzenia. Dzisiaj w ślady Platformy poszła skompromitowana już wielokrotnie Polska Fundacja Narodowa. Gdy dziennikarz Polsatu Jan Kunert – zarazem autor

portalu Bezkompromisowo.pl, zajmującego się zagadnieniem jawności – wystąpił do PFN o ujawnienie umów, jakie podpisywała, fundacja odmówiła: umowy „nie są i nie były upubliczniane, a ich ujawnienie mogłoby narazić zarówno Fundację »Polska Fundacja Narodowa«, jak i jej kontrahentów na szkodę, z uwagi na tajemnicę ich przedsiębiorstwa”. Identyfikując tłumaczenie się za Platformy, nie chcąc ujawnić sumy kontraktu dla Materny i Wojewódzkiego. Kunert poszedł do sądu administracyjnego i właśnie wygrał. WSA w Warszawie uznał, że wprawdzie PFN nie dysponuje środkami publicznymi w rozumieniu ustawy o finansach publicznych (bo finansują ją spółki Skarbu Państwa), ale powstała z inicjatywy rządu, który kontroluje też SSP. Dlatego umowy ma ujawnić.

Szkoda kolejny raz pisać o kalizmie, będącym największym przekleństwem naszego życia publicznego (tamci, gdy nie ujawniali, byli źli, ale nasi mogą nie ujawniać, bo są dobrzy). Jednak nie szkoda przypomnieć, że stosunek władzy do jawności to wprost pochodna jej stosunku do obywatela. Pod tym względem PiS radzi sobie tak samo jak Platforma – czyli oblewa egzamin z kretesem. W ciągu dwóch i pół roku swoich rządów nie zrobił nic, żeby było bardziej przejrzyste.

A teraz czekamy, aż PFN, ukochane dziecko wicepremiera Glińskiego, wykona sądowy wyrok. ©©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wszechświaty równoległe

Dziennikarze oraz politycy lubią wierzyć, że Twitter posiada tajemniczą moc kształtowania rzeczywistości. Jako przestroga, dokąd prowadzi ta wiara, na początek przypadek Tomasza Cimoszewicza. „Złożyłem dziś rezygnację z funkcji wiceministra środowiska w Gabinetcie Cieni” – napisał z dumą.

„Wyrazy szacunku dla posła Cimoszewicza. W pewnym sensie uratował dziś wizerunek Platformy, więc od swoich partyjnych kolegów powinien dostać duży bukiet kwiatów” – odparła Agata Tulewicz, a tweeta podała dalej Marta Lempart od czarnych protestów. Jak przetrwać taki przełom?

Z odpowiedzią pospieszył Wojciech Wybranowski. „Polityk bez znaczenia składa dymisję bez znaczenia w gabinecie bez znaczenia, a przedstawicielki feministycznych grup bez znaczenia ogłaszają, że uratowało to wizerunek opozycyjnej partii, obecnie bez znaczenia. Tak alternatywnego świata nawet Lem by nie wymyślił! Wojtku, dlaczego tak serio? Cieni nie cenisz?”

Dalej z wnętrza alternatywnej rzeczywistości.

Tym razem Renata Grochal z „Newsweeka”, do wspomnianej już pani Lempart. „Marta, rozumiem, że startujesz na prezydenta Wrocławia, żeby zatrzymać marsz Ujazdowski do ratusza?” – pyta redaktor neutralna politycznie jak boża krówka.

Odpisuje aktywistka: „Chciałam sobie spokojnie startować do sejmiku, bo serce mam w regionie. Ale wygląda na to, że wszystkie ręce na pokład przeciw koalicji #POPIS2018 we Wrocławiu”. Lata mijają, a niektórzy nadal nie chcą, a muszą.

Jak dowiaduję się ze sprawdzonych źródeł, jeśli nie wyjdzie z Wrocławiem, Lempart rozważa start na stanowisko wiceszefowej Komisji Europejskiej. W tweecie napisanym po angielsku do Fransa Timmermansa wygarnęła mu bowiem, że prowadząc dialog z PiS, „udzielił wsparcia bandytom łamiącym wszystkie demokratyczne zasady i zamykającym tych, którzy się sprzeciwiają”.

Co najsmutniejsze, feministka nie może przeboleć „osobistej zdrady ludzi, którzy działają w Polsce w ruchu oporu” (tutaj pada słowo „resistance”). Tym akcentem żegnam się z Państwem, a naszych bohaterów pozostawiam w rakiemie pędzącej do galaktyki Andromedy. ©©

NIEZAPOMNIANY KONCERT

9 MAJA
GDAŃSK

GODZ. 20.00

TEATR SZEKSPIROWSKI

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta



BILETY DO NABYCIA W KASACH TEATRU, PRZY UL. BOGUSŁAWSKIEGO 1,
LUB ONLINE NA: **BILETY.TEATRSZEKSPIROWSKI.PL**

KASY/ REZERWACJA: 58 351 01 01, GODZINY OTWARCIA KAS: 14:00 – 19:00
PŁATNOŚĆ KARTĄ LUB GOTÓWKĄ

GDAŃSKI TEATR SZEKSPIROWSKI UL. W. BOGUSŁAWSKIEGO 1

MECENAT KONCERTU

PARTNER KONCERTU

PATRONI MEDIALNI



eprasa.pl f7263b8a63

Prezydent Izraela o polskim antysemityzmie

Wydałoby się, że wizyta prezydenta Izraela Reuvena Rivlina w obozie zagłady Auschwitz z okazji Marszu Żywych jest szansą na poprawienie wzajemnych relacji, mocno nadzszarpniętych przez awanturę wokół nowelizacji ustawy o IPN. Jednak słowa, które padły z ust izraelskiego przywódcy, dolały oliwy do ognia. W swoim wystąpieniu Reuven Rivlin przypomniał, co prawda, że naród polski żył w strachu okupacji i wyszedł z wojny zrujnowany, że wielu Polaków znalazło się w gronie Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, zapewnił też, że Żydzi zawsze będą o tych zasługach pamiętać. Dodał jednak: „Ale nie można zaprzeczać prawdzie. Naziści nie mogliby dokonać tylu mordów, gdyby nie było współpracowników. Żydzi byli zabijani nie tylko w obozach, lecz także poza nimi. Przez Ukraińców, Litwinów, Francuzów, ale i Polaków.

Zbyt dużo ludzi zabijało Żydów i grabiło ich mienie”. Prezydent Izraela stwierdził też, że „Polska musi zrobić swój rachunek sumienia”. W tym kontekście zwrócił się do Andrzeja Dudy: „Panie prezydencie, musimy współpracować w sprawie kształcenia Polaków i Żydów. Żeby to nigdy się nie powtórzyło”.

Prawdziwe oburzenie wywołała relacja portalu The Times of Israel. Tytuł artykułu „informuje”: „Polacy pomagali nazistom w eksterminacji – obwieścił Rivlin swojemu polskiemu odpowiednikowi”. Z leadu czytelnik może się dowiedzieć, że prezydent Izraela mówił o „fali antysemityzmu”, którą wywołało „prawo kryminalizujące twierdzenia o współudziale w Holokauście”, czyli nowelizacja ustawy o IPN. „Nie ma wątpliwości, że było wielu Polaków, którzy walczyli z nazistowskim reżimem, ale nie możemy zaprzeczyć, że Polska i Polacy brali udział w eksterminacji” – miał powie-

dzieć Rivlin podczas wspólnej konferencji prasowej z Andrzejem Dudą w Krakowie.

To już znacząca zmiana w stosunku do tego, co mówił prezydent Izraela podczas oficjalnych obchodów, a co zacytowały polskie media. O ile w Oświęcimiu wspólnie przypisał Polakom, o tyle w Krakowie, według

okupantów nazywał nazistami, nie wspominając, jakiej byli narodowości.

Prezydent Izraela miał też powiedzieć do prezydenta Polski: „Państwo polskie pozwoliło na wprowadzenie przerażającej ludobójczej ideologii Hitlera i było świadkiem fali antysemityzmu, wywołanej przez ustawę,

Słowa, które padły z ust Reuvena Rivlina, dolały oliwy do ognia

izraelskiego medium, miał odpowiedzialność przypisać również państwu polskiemu. To ahisteryczne stwierdzenie – wiemy przecież, że w czasie II wojny światowej nie istniało kolaborujące z Niemcami państwo polskie. W cytowanej przez izraelskie media wypowiedzi Rivlina uderzające jest, że mówiąc o państwie polskim okresu okupacji, jednocześnie

którą właśnie przyjęliście”. „Takie słowa w wystąpieniach prezydenta nie padły” – tak Andrzej Duda odpowiedział na zadane za pośrednictwem Twittera pytanie dziennikarki „Do Rzeczy” i TVP Dominiki Ćosić. Dopóki nie będzie sprostowania ze strony izraelskiej, dopóty w świat znów idzie przekaz o polskim antysemityzmie. ©© **Maciej Pieczyński**



PAWEŁ LISICKI

KOMENTARZ

Brakuje wdzięczności

Co powiedział, a czego nie powiedział prezydent Izraela w czasie Marszu Żywych? Czy obwinił faktycznie Polskę o udział w Holokauście, jak chce część izraelskich mediów? Czy też ograniczył się do stwierdzenia, że w czasie wojny Żydzi byli mordowani także przez Polaków? Na stronie izraelskiego ministerstwa spraw zagranicznych pojawia się cytat, zgodnie z którym „patrzymy [my, Żydzi] na Holokaust jako na rezultat antysemityzmu, który wyrastał z nazistowskiej ideologii, która kwitła na polskiej ziemi – to on

doprowadził do masakry ludu żydowskiego”. Trudno o bardziej absurdalne twierdzenie. Jaka to niby ideologia nazistowska kwitła na polskiej ziemi? Być może to jednak kolejne zniekształcenie słów i intencji Reuvena Rivlina? A może nie?

Nie wiem. Wiem jednak, że pomysł, żeby dzień pamięci o ofiarach Holokaustu robić co roku dniem pretensji, żalów i zarzutów wobec całego świata, szczególnie wobec Polaków, jest co najmniej dziwny. Nie mogę zrozumieć, dlaczego w tylu wystąpieniach izraelskich polityków tak

rzadko pojawia się proste słowo „dziękuję”. Dlaczego tak trudno im wyrazić wdzięczność tym narodom, Polakom, Brytyjczykom, Francuzom, Amerykanom, którzy wojnę z Hitlerem wygrali? Naprawdę, cokolwiek pisałyby obecnie prasa światowa, Hitler nie poddał się sam i jakieś narody oraz państwa go pokonały. I stało się to, zanim jeszcze w 1947 r. powstało państwo Izrael. Myślę też, że gdyby w wypowiedziach polityków żydowskich zamiast pretensji było więcej wdzięczności, walka z antysemityzmem byłaby bardziej skuteczna. ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, kwiecień na pewno nie będzie naszym ulubionym miesiącem w roku.

Trochę wstyd nam tej myśli, iż nie jest wskazane dyskryminowanie miesiący, ale jednak spójrzcie sami – kwiecień to rocznica Smoleńska i tylko jedna niedziela handlowa.

W ogóle strasznie irytuje nas ten przymus, iż odtąd każdy obywatel tego kraju jest zobowiązany w niedzielę do spędzania czasu z rodziną, w tym przynajmniej godziny w kościele oraz godziny spacerując wśród pól rozmaitych. Już o biciu żony w plenerze kablem od żelazka nie wspominając. Of kors końcówką z żelazkiem.

to już się nie boimy tak jak kiedyś :(

Of kors zdajemy sobie sprawę z zagrożeń, jakie autorytaryzm niesie dla demokracji i dobrze wiemy, iż powinniśmy się bać, ale jesteśmy już chyba tak znieczuleni od kilku lat, iż nie możemy z siebie wykręsać dodatkowego strachu ponad ten, który odczuwamy przy codziennej lekturze postępowej prasy.

Po prostu autorytaryzm w tym kraju nadchodzi, nadchodzi i wciąż nadchodzi, a już niebawem nadejdzie ostatecznie i będą aresztowania, zsyłki i internowania. Zdążyliśmy się chyba naprawdę na tę myśl uodpornić :(

Na Węgrzech władzę ponownie brutalnie zagarnął dla siebie Viktor Orbán, czyli taki węgierski wannabe Kaczafi. Węgrzy pokazali, jak bardzo nie rozumieją demokracji

A co w sytuacji, kiedy kontestujemy zjawisko tradycyjnej tzw. rodziny? Jakoś nikt nie zachęca do niedzielnej aktywności na świeżym powietrzu związków partnerskich, par LGBTQWERTY ani związków poliamorycznych.

Po raz kolejny tworzy się w ten sposób obywateli drugiej kategorii i gorszy sort. Postanowiliśmy więc wspólnie z frendami, iż w ramach oporu przeciw rządowi wyjdziemy w niedzielę na spacer naszym korpokolektywem, iż w ten sposób będziemy uchodzić za związek poliamoryczny – taki to będzie nasz bojkot!!!!111

Widzieliśmy jakiś raport, według którego ten kraj najszybciej w Europie zmierza w kierunku autorytaryzmu. I wiecie, co jest najgorsze? Że w sumie

Tymczasem w cieniu autorytaryzmu panoszącego się w tym kraju na Węgrzech doszło do kolejnego zamachu na demokrację i władzę ponownie zawłaszczzył, brutalnie zagarnął dla siebie Viktor Orbán, czyli taki węgierski wannabe Kaczafi. To już kolejne wybory, w których Węgrzy pokazali, jak bardzo nie rozumieją demokracji.

Słyszeliśmy, iż kiedyś istniały Austro-Węgry. Nie dziwi nas w tej sytuacji, iż Austria nie chciała kontynuować tej koalicji.

Szczęście w nieszczęściu, iż premierem na Węgrzech nie został krwawy Jobbik. W tej sytuacji prezentujemy treść naszego listu otwartego do premiera Orbána: „Panie Orbanie, prosimy nie niszczyć demokracji, iż Kaczafi się ciągle na Pana patrzy i też by tak chciał. Nie wiemy no, idź Pan na jakieś piwko ze sprajtem i wyluzuj, to i my będziemy mieli łatwiej xD Wdzięczni, mwizwo”. ©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE!
BĄDŹ Z NAMI OSO NA
FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO**

JUŻ W KSIĘGARNIACH
NOWY THRILLER AUTORA
„KONKLAWĘ”

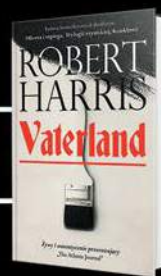
**ROBERT
HARRIS**

Monachium

**ŚWIAT STAJE
NA KRAWĘDZI
WOJNY**

**SPOTKANIE W
MONACHIUM
TO OSTATNIA
SZANSA,
BY ZMIEŃĆ
HISTORIĘ**

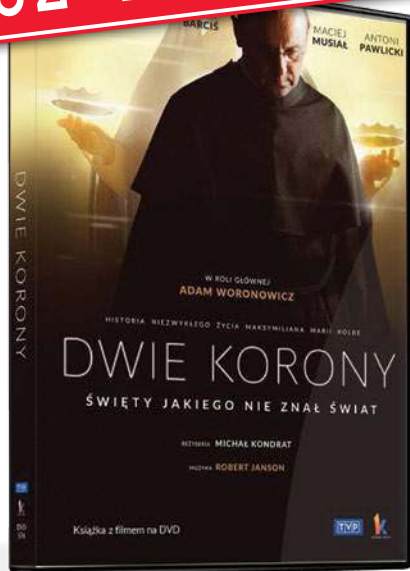
**POLECAMY
RÓWNIEŻ**



WYDAWNICTWO ALBATROS

Zapraszamy do salonów **empik** i na **empik.com**

JUŻ ZA TYDZIEŃ



„Do Rzeczy” poleca:

Historia niezwykłego życia
o. Maksymiliana Marii Kolbego

23 KWIETNIA WRAZ Z TYGODNIKIEM „DO RZECZY”

Szukaj w dobrych punktach i salonach prasowych:
Również na zamówienie: tel. 22 529 12 00,
prenumerata@pmppg.pl



Tomasz P. Terlikowski

Święty Maksymilian skupia w sobie wszystkie charakterystyczne cechy Polaków. I to właśnie z nich uczynił fundament swojego geniuszu. Dlatego dobrze, że powstał film, który ów geniusz pokazuje

Nazwisko Kolbe nie jest etnicznie polskie. Rodzina jego ojca pochodziła z Czech i miała – to w zasadzie nie ulega wątpliwości – korzenie niemieckie. Jednak jego ojciec czuł się już w pełni Polakiem, działał w narodowo-chadeckich związkach zawodowych, czytał dzieciom Henryka Sienkiewicza i był gotów oddać synów w służbę niepodległości. Matka natomiast, której carskie zakazy uniemożliwiły wstąpienie do zakonu żeńskiego,



wszczepiała małemu Rajmundowi (takie bowiem imię chrzcielne nosił późniejszy o. Maksymilian Maria) i jego dwóm braciom, Franciszkowi i Józefowi, miłość do Matki Bożej, Kościoła i przekonanie, że służba Bogu jest najwspanialszą rzeczą, jaka może się im przydarzyć. W ten sposób w chłopcach kształtował się wychowawczy mikś, który najlepsze owoce wydał w średnim synu państwa Kolbe, czyli właśnie w Maksymilianie. Z jednej strony do szaleństwa kochał on Matkę Bożą (stąd sam siebie nazywał „półwariatem Niepokalanej”), z drugiej był gotów oddać Polsce wszystkie swoje siły. I długo nie mógł się zdecydować na to, co ma w życiu robić.

Film Michała Kondrata „Dwie korony” to napięcie znakomicie uchwytuje. W fabularyzowanych scenach widzimy miotanie się chłopca, a historycy i eksperci (przede wszystkim zakonni) pokazują, jak kształtowało się jego powołanie i jak nieraz trudnych musiał on dokonywać wyborów. Po pierwsze, wcale nie było oczywiste, że zostanie on księdzem czy zakonnikiem.

Jeszcze w małym seminarium (zakonnicy wcale nie zmuszali chłopców do niego uczęszczających do wstępowania do klasztoru) Rajmund zastanawiał się, czy zamiast kariery zakonnej nie wybrać kariery inżyniera wojskowego. A miał, nie ma co ukrywać, do tego prawdziwy talent. Jego nauczyciel matematyki z żalem notował, że szkoda będzie tak wybitnego matematyka na księdza. A sam Rajmund, jeszcze w wyższym seminarium, wykorzystywał swoje zdolności do... szkiegowania pojazdów kosmicznych, których rozwiązania wcale nie odbiegają bardzo od tych stosowanych obecnie.

Ostatecznie o wyborze zakonu zdecydował przypadek (który według chrześcijan jest innym imieniem Opatrzności Bożej). W przededniu ostatecznego terminu, w którym podjąć trzeba było decyzję o wstąpieniu do nowicjatu, Rajmund z pasją przekonywał swojego starszego brata, by zamiast do klasztoru poszli do wojska. I właśnie wtedy do furty zadzwoniła ich matka, która przyjechała do Lwowa, by poinformować ich, że wraz z ojcem posta-



nowili wstąpić do zakonów, i pożegnać się z nimi. Obaj chłopcy wydarzenie to zinterpretowali jako znak i wstąpili do Braci Mniejszych Konwentualnych. Rajmund wytrwał, ale jego starszy brat, gdy tylko wybuchła I wojna światowa, wstąpił do armii, by... walczyć o Polskę.

Gorliwa maryjność, którą film dzięki świetnej roli Adama Woronowicza pokazuje (jakże polska w swoim emocjonalnym natężeniu), wcale, wbrew temu, co czasem wydaje się części polskiej, szczególnie liberalnej, inteligencji, nie przeszkadzała w zdobywaniu wykształcenia. W Rzymie, na papieskich uniwersytetach, brat Maksymilian obronił dwa doktoraty, a później – choć skupiał się na pracy wydawniczej – stale pogłębiał swoją wiedzę, tak że wykłady z filozofii, które wygłaszał w seminarium w Nagasaki, wcale nie były dla niego wielkim problemem. A gdy krótko przed aresztowaniem zaczął dyktować swoje mariologiczne opus magnum, dopiero ujawniła się cała jego teologiczna subtelność, do której czasem brakowało mu nawet odpowiedniej terminologii.

Prawdziwym mistrzem był jednak Maksymilian w zarządzaniu. To, jak stworzył i prowadził „Rycerza Niepokalanej”, a później założył i zbudował największy klasztor męski na świecie, który jednocześnie był gigantyczną, supernowoczesną drukarnią, doskonale to pokazuje. Jego model zarządzania był przy tym bardzo nowoczesny, bowiem o. Kolbe delegował zadania w taki sposób, że gdy nagle uznał, iż musi wyjechać na misję (najpierw do Chin, a później do Japonii), Niepokalanów działał, i to niezwykle sprawnie. Ojciec Innocenty Maria Bocheński, gdy w drugiej połowie lat 30. przyjechał, by pisać reportaż o Niepokalanowie, był nim zachwycony i podkreślał, że właśnie model zarządzania jest jednym z największych sukcesów o. Maksymiliana. I to również pokazuje film.

Dobrze więc, że on powstał, bo dzięki niemu możemy, choć w pigułce, zobaczyć jedną z najważniejszych postaci XX w. I to nie tylko w Polsce, bo Maksymilian inspirował także Amerykanów, Meksykanów czy Włochów. „Dwie korony” pokazują dlaczego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



AKTORZY:

Adam Woronowicz

jako: ojciec Maksymilian Maria Kolbe

Cezary Pazura jako: brat Zena

Maciej Musiał jako: zakonnik

Antoni Pawlicki jako: oficer gestapo

Paweł Deląg jako: ksiądz Włodzimierz Jakowski

Artur Barciś jako: ksiądz kanclerz

Dominika Figurska jako: matka Maksymiliana

Sławomir Orzechowski jako: ojciec gwardian

Marcin Kwaśny jako: lekarz

Tadeusz Chudecki jako: biskup

Mateusz Pawłowski jako: mały Maksymilian

Arkadiusz Janiczek jako: brat Stanisław

No i otworzono puszkę z Pandorą. Zapowiedź obcięcia pensji parlamentarzystom i innym takim wywołała na Wiejskiej lawinę kolejnych hiobowych plotek. Najczęściej powtarzana była ta, że okrutny Kaczor Dyktator teraz obetnie pensje urzędnikom państwowym. Czekamy na kolejne plotki, z radością je powtórzymy. Może że Kaczor Dyktator w pojedynkę załatwi całą Koreę Północną? No, dalej, kto da więcej?



cecary zyskują, a nie ci, którzy...

Powyższą plotkę suflowali naiwnym dziennikarzom rozmaici posłowie, ubierając ją w szaty projektu demograficznego: że jak się urzędnikom obniży, to potem trochę podniesie systemem dodatków na dzieci. A co z bezdzietnymi urzędnikami? Tego plotka nie wyjaśnia.

więc powołać tak ze sto nowych komisji i wszystko się jakoś wyrówna. Proszę nie zadawać pytań, od czego to mają być komisje. Mogą być od taniego państwa.

Zamykając chwilowo temat kasy. Opowieść z życia PeŁo. Schetyna do pijarowca: „Czym tam jeszcze możemy wałnąć w PiS w sprawie nagród?”. Pijarowiec: „A może zaproponujemy likwidację funduszu nagród?”. Schetyna: „Superpomysł!” (dzwoni do kukistów). Kukiści: „Grzesiek, ale my już złożyliśmy taki projekt”. Kurtyna. Zwłoki pijarowca wypłyną pewnie w Odrze.

Z okazji polsko-izraelskich uroczystości i Marszu Żywych przypomnieli nam się nieużywana, świeża historia

z dnia, w którym wybuchła cała chryja o nowelizacji ustawy o IPN. Czyli z 27 stycznia, rocznicy wyzwolenia Auschwitz.

Żli ludzie relacjonują taką oto wymianę zdań. Ambasador Anna Azari do premiera Mateusza: „Panie premierze, będę musiała odnieść się do ustawy”. Premier Mateusz: (milczy, bo nie wie, o jaką ustawę chodzi). Takie tam sekrety komunikacji wewnątrzrządowej.

Konwencja, konwencja i po konwencji. Za to majówka, jakby ktoś był ciekawy, będzie należała do dużego pałacu. Do ważnego wystąpienia szykuje się bowiem prezydent Andrzej Sebastian. Ważne wystąpienie będzie miało miejsce w ważne Święto Konstytucji 3 maja i będzie dotyczyło ważnego referendum konstytucyjnego i różnych innych ważnych rzeczy. Na miejscu dziennikarzy już byśmy zamawiali do studia najciekawszych komentatorów. Przyszedł nam do głowy np. Marek Suski.

Zstępujemy do samorządów. Wiewiórki z Nowogrodzkiej opowiadały aż do wigilii konwencji PiS, że tajemniczy kandydat „żaden z powyższych”, który miał zastąpić w Warszawie niełatwy wybór między Dworczykiem a Jakim, nosi znane nazwisko – prof. Michał Kleiber. „Kaczor Dyktator ma słabość do profesorów” – argumentowały jedne wiewiórki. „Tak – odpowiadały inne – ale ma też słabość do wygrywania”.

Te same wiewiórki opowiadały, że w Gdańsku nie Kacper Płażyński ani Karol Nawrocki, lecz Marta Kaczyńska miała być kandydatem PiS na prezydenta. To już jawna prowokacja. Nawet PiS nie jest tak okrutny, żeby zmuszać do kandydowania kobiety w ciąży.

Tymczasem w Poznaniu. Jeszcze niedawno Nowoczesna Kropka chciała poprzeć w boju o prezydenturę urzędującego Jacka Jaśkowiaka, bo Aśka Schmidt nie chce kandydować, a rozważana Kierzek-Koperska fatalnie wypadła w sondażach. Nagle zaszła zmiana i z pudełka wyskoczył Adam Szłapka. A dlaczego? A z powodu Budynia Ujazdowskiego we Wrocławiu. Nowoczesne Kropki zobaczyły bowiem na własne oczy, ile są warte ustalenia z Grzeskiem Schetyną i tzw. wspólni kandydaci. Odwinęły się więc Szłapką, który ogłosił: „Czuję, że

Jest szansa na podreperowanie obcinanych budżetów.

Wystarczy być przewodniczącym albo wickiem jakiejś komisji sejmowej.

Teraz nie plotka, lecz fakt. Wkurzenie jest, znaczy w klubie PiS, na obniżkę. Ale powód jest nieco inny, niż się wydaje. Otóż najbardziej wszystkich doprowadziło do szału nieoficjalne info, że pomysł obcinki podpowiedziała Kaczorowi Dyktatorowi słynna firma Solvere, czyli duet Plakwicz-Matczuk. My ten szal rozumiemy, bo concept, żeby za obcinanie pensji biednym wielodzietnym posłom odpowiadała para, która dopiero co przytuliła ćwierć bańki za kampanię „Sprawiedliwe sądy”, też uważamy za wyjątkowo perwersyjny.

Mało kto wie, że dla posłów PiS to będzie de facto już druga obniżka. Pierwszą było wydane drzewiej polecenie, by z pensji pięć stówek co miesiąc oddawać na klub.

Podpowiadamy posłom – jest szansa na podreperowanie obcinanych budżetów. Wystarczy być przewodniczącym albo wickiem jakiejś komisji sejmowej. Szef dostaje 20 proc. pensji ekstra, wiceszef – 15 proc. Wiceszefów może być paru. Wystarczy

dwaj panowie



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Poznań to jest moje miasto". Dziwne, bo nam mówił, że Kościan.

Dla zainteresowanych Szlappką poznaniaków – Poznań jest jego miastem tak bardzo, że najczęściej spotkać go można robiącego zakupy na słynnym bazarze na Szembeka, w słynnej dzielnicy Poznania zwanej się warszawską Pragą. Ale kaszanka, twierdzi, lepsza jest jednak w Kościanie.

Tymczasem w PeŁo. Głównym cenozrem partii ds. wizyt w mediach publicznych został Grabiec Jan, odciążając tym samym Grześka Schetynę, którego to już trochę męczyło. Teraz to do Grabca mają się zgłaszać wszyscy posłowie i se-

natorowie Platformy z prośbą o udzielenie łaskawej zgody na występ w TVP Info lub „Wiadomościach”. Złe języki mówią, że Grabiec dostał też podobno zgodę na cenzurowanie make-upu. W przypadku mężczyzn mają być zabronione róż na policzkach i sztuczne rzęsy. Te elementy zastrzeżono dla Grabca.

Tymczasem w IPN. Jeśli nudziliście się, bo ostatnio cicho było w temacie lustracji, to mamy dla was radosną wieść. Wraz z otwarciem tzw. zbioru zastrzeżonego otwierają się powoli czeluści piekielne. Piekielne oczywiście dla Czerskiej i jej sojuszników. Szczególnie uważnie prosimy śledzić w najbliższym czasie doniesienia prokuratorów Instytutu na temat sekretów świata dyplomacji i nauki.

Żeby nie przedłużać, jeden drobiazg podrzucimy od razu. Pamiętacie niejakiego prof. Franciszka Ziejkę, byłego rektora Jagiellonki? To ten facet, który na uszach stawał, by nie dopuścić do pogrzebu prof. Janusza Kurtyki w krypcie profesorskiej u jezuitów. Niestety, skutecznie. Cóż, niechć Ziejki do IPN

Wraz z otwarciem tzw. zbioru zastrzeżonego otwierają się powoli czeluści piekielne. Piekielne oczywiście dla Czerskiej i jej sojuszników

przestaje nas dziwić. Do sądu skierowano właśnie wniosek o uznanie, że Ziejka złożył niezgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne. Mówiąc po ludzku, prokuratorzy IPN uważają, że są podstawy, by uznać, że był komunistycznym kapusiem.

Pozostając przy esbeckich kapusich: świat zabawek zelektryzowała wiadomość, że w duńskim Lego-landzie na wystawie stałej pojawiła się legofigurka Lecha Wałęsy – z wąsem, ale niestety bez Matki Boskiej w klapie. Mamy dla producentów popularnych klocków trudniejsze wyzwanie. Czekamy na duży zestaw, z którego będzie można zbudować całą Służbę Bezpieczeństwa. Od razu zamówimy, a jeśli będzie z figurką Boniego, to nawet dwa. ©©



REKLAMA

KLINIKA UZDROWISKOWA

„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II w Ciechocinku

KLINIKA UZDROWISKOWA®
„Pod Tężniami”
im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?

- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- migreny kręgotopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjeżdż na pobyt leczniczy z zabiegami.

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 15.04 - 24.06.2018 r.

posiłki w formie bufetu szwedzkiego 25 zabiegów na 7 dni pobytu

- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy **lub** stóp
- **wstęp na basen oraz do zespołu saun** do 90 min. dziennie
- **seans w Komnacie Solnej** do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe



Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II
ul. Warzelnińska 7, 87-720 Ciechocinek

www.podtezniami.pl
rezervacja@podtezniami.pl

tel. **54 416 70 00**



Tomasz P. Terlikowski

„To ja, rewolucjonista” – tak według Eugenio Scalfariego ma się mu przedstawiać papież za każdym razem, gdy do niego dzwoni. I choć forma ta jest żartobliwa, to jest w niej sporo prawdy

W Wielki Czwartek tego roku ukazała się kolejna rozmowa z papieżem Franciszkiem, którą przeprowadził Eugenio Scalfari. I jak zwykle pełno w niej było dziwacznych, zaskakujących, a niekiedy wręcz heretyckich wypowiedzi włożonych w usta Franciszka. Papież miał przekonywać w niej, że piekła nie ma, a grzeszne dusze są po prostu unicestwiane, a także zapewniać, że czuje się zaszczycony, gdy Scalfari określa go mianem „rewolucjonisty”. I choć kilka godzin później Watykan wydał oświadczenie, w którym zapewniał, że żadnego wywiadu nie było, a papież jedynie spotkał się ze Scalfarim, który – bez notatnika i sprzętu do nagrywania – spisał to, co wydawało mu się, że usłyszał od papieża, to... trudno nie zadać pytania, dlaczego papież w ogóle spotyka się z komunistą, który nieustannie – a podobne oświadczenia są wydawane przez biuro prasowe po każdym spotkaniu – manipuluje słowami Ojca Świętego. Możliwości są tylko dwie: albo papież nie rozumie, że w ten sposób budowany jest fałszywy obraz jego samego, albo... chce jednak w ten sposób coś zasygnalizować, przekazać. Co? To jest być może kluczowe pytanie, by zrozumieć ten pontyfikat.

TO IDZIE REWOLUCJA

Najprostsza odpowiedź brzmi: papież chce zwrócić się do tych, którzy są poza Kościołem, może są mu nawet wrodoży, i do tego używa wszelkich możliwych metod, w tym wywiadów ze znanym ateistą i byłym komunistą. To możliwe, ale nie wyjaśnia, dlaczego papież godzi się na to, by te spotkania służyły do mieszania ludziom w głowie, a temu właśnie one służą. Wywiady ze Scalfarim i ich omówienia, w których pojawiają się szokujące z punktu widzenia nauczania Kościoła słowa, dotyczące nieistnienia

Papież rewolucjonista



piekła (a nie jest to pierwsza rozmowa, w której taką tezę włożono w usta papieża), czytane są przez miliony, sprostowania już tylko przez setki tysięcy. W ten sposób tworzy się fałszywy obraz nauczania Kościoła i sieje się zamęt w umysłach katolików.

Wydaje się więc, że nie o to chodzi. Pówd tych wywiadów jest zaś inny. I być może kryje się on w żartobliwym powitanii, gdy papież podkreśla, że jest rewolucjonistą. Te wywiady mocno budują taki wizerunek, a także dostarczają mocnych argumentów tym, którzy w tym właśnie kluczu – rewolucji w Kościele – chcą interpretować ten pontyfikat. Rewolucja ta dokonuje się, rzecz jasna, na różnych poziomach i nie sposób jej sprowadzić tylko do polityki (choć jest to pontyfikat

mocno polityczny), duszpasterstwa, zarządzania Kościołem czy do moralności i moralizmu (bo wbrew zapewnieniom apologetów Franciszka jest to pontyfikat skrajnie moralizatorski), a nawet doktryny. Słowa, PR-owskie narracje budowane przez Sekretariat ds. Komunikacji, a także opowieści o „przełomowym momencie”, „kairosie”, w którym znajduje się Kościół za sprawą tego papieża, nie są wcale na wyrost, a ich prawdziwość potwierdzają liczne działania i decyzje Franciszka, który – to już wiadomo – pozostawi Kościół innym, niż go zastał.

Dwa synody na temat rodziny, czego efektem jest dokument, który zrewolucjonizował w wielu krajach nie tylko duszpasterską opiekę, lecz także (wbrew zapewnieniom apologetów „Amoris



FOT. ALESSANDRA BENEDETTI/CORBIS/GETTY IMAGES

poprzednich papieży), wypisuje się w dokumentach, że młodzi chcą zmiany doktryny? Jeszcze ciekawsze od tego, co w dokumencie się znalazło, jest to, czego w dokumencie z obrad nie uwzględniono. Jeden z brytyjskich uczestników obrad opowiadał, że ogromna rzesza młodych prosiła o jasne nauczanie, powrót do mszy świętej trydenckiej i więcej konserwatyzmu, ale... te uwagi jakoś dziwnym trafem nie znalazły się w dokumencie, który – tak jak dokument przygotowujący do synodów na temat rodziny – ma być raczej wezwaniem do rewolucji, a nie do kontrrewolucji (choć wielu młodych kapłanów, zakonników czy świeckich właśnie kontrrewolucji czy przynajmniej utrzymania linii Jana Pawła II i Benedykta XVI by chciało). Ta krótka uwaga doskonale pokazuje, jakie będą linie debaty podczas „synodu młodych” i co może być jego efektem. (Szerzej o „synodzie młodych” na str. 24)

RADOSNY DEMONTAŻ DOKTRYNY

Nie powinno to być zresztą szczególne zaskoczenie, jeśli weźmie się pod uwagę, że kardynałowie, którzy jeszcze za czasów św. Jana Pawła II parli do wyboru kard. Jorge Bergoglio (albo kard. Carlo Marii Martiniego), zupełnie jasno wskazywali, że ich celem jest zatrzymanie i sprzeciw wobec linii Jana Pawła II oraz ograniczenie wpływów kard. Josepha Ratzingera. A o tym, że taka grupa, wpływowa i grająca obecnie pierwsze skrzypce w otoczeniu Franciszka, istniała, mówił zupełnie wprost w swojej autoryzowanej biografii kard. Godfried Danneels.

„Wybór Jorge Bergoglio był skutkiem tajnych spotkań kardynałów i biskupów, od lat organizowanych przez Carlo Marię Martiniego w szwajcarskim Sankt Gallen” – wskazują Jürgen Mettepenningen i Karim Schelkens, autorzy biografii kard. Godfrieda Danneelsa. W trakcie oficjalnej promocji książki hierarcha potwierdził tę informację, twierdząc, że przez wiele lat brał udział w tajnych spotkaniach kardynałów przeciwnych Ratzingerowi. Śmiejąc się, nazwał tę grupę „mafijnym klubem, którego nazwa brzmi St. Gallen”. Do grupy budującej poparcie dla liberalnego papabile należeć mieli, według biografów Danneelsa, kardynałowie Walter Kasper, Karl Lehmann, Achille Silvestrini (w przeszłości prefekt Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej, a później Kongregacji Kościołów Wschodnich), kard. Basil Hume (arcybiskup

laetitia”) doktrynalne rozumienie małżeństwa i rodziny, uznając w istocie rozwody i ponowne po nich związki (taki jest bowiem, niezależnie od teologicznych sporów, praktyczny wymiar tej adhortacji, na podstawie której – w wielu miejscach świata – już dopuszcza się osoby rozwiedzione i w ponownych związkach do komunii świętej), są tego znakomitym przykładem. A wiele wskazuje na to, że równie rewolucyjne cele ma mieć kolejny synod, tym razem poświęcony młodzieży. Mocnym potwierdzeniem takiej tezy są tzw. obrady presynodalne, w których w Rzymie (a także za pośrednictwem sieci społecznościowych) uczestniczyli młodzi katolicy, agnostycy, buddyści czy muzułmanie z całego świata. Efektem ich „obrad” był dokument,

w którym możemy przeczytać, że młodzi chcą Kościoła, ale innego niż ten, w którym funkcjonują. „Często wśród młodych ludzi, zarówno w Kościele, jak i na całym świecie, panuje wielkie nieporozumienie dotyczące szczególnie kontrowersyjnych dziś nauk Kościoła, np. dotyczących antykoncepcji, aborcji, homoseksualizmu, wspólnego pożycia, trwałości małżeństwa i kapłaństwa zarezerwowanego dla płci męskiej” – można przeczytać w dokumencie przygotowanym po obradach. Owszem, zaraz potem jest napisane, że nie wszyscy chcą zmiany nauczania, bo niektórym wystarczy dostęp „do lepszego wyjaśnienia”. Proste pytanie brzmi jednak: Dlaczego zamiast młodym owo wyjaśnienie zaoferować (a jest ono obecne w katechizmie i dokumentach

Westminsteru, ekumenista zmarły w roku 1999). Liderem spotkań był aż do śmierci kard. Carlo Maria Martini – jezuita, arcybiskup Mediolanu.

Ten ostatni, wybitny skądinąd intelektualista, jasno formułował program, jaki przyświecać ma liberalnym reformatorom Kościoła. W jego skład wchodziły poza stopniowym osłabianiem nauczania moralnego Kościoła w kwestii ludzkiej seksualności, także zniesienie celibatu, a także – jeśli okaże się to możliwe – zmiana wyłącznie męskiego charakteru duchowieństwa. I wszystkie elementy tej zaplanowanej rewolucji możemy już widzieć. „Amoris laetitia” zdecydowanie osłabiła rozumienie nierozzerwalności małżeństwa, a część z jej interpretatorów uznaje, że zawarte w niej jest także odrzucenie (w słynnym punkcie 303) jednoznacznego zakazu antykoncepcji czy nawet uznanie błogosławieństwa związków homoseksualnych. Tuż przed Wielkanocą ks. Daniel Duigou z Paryża oznajmił, że podczas prywatnej audiencji u Ojca Świętego Franciszka otrzymał zgodę na błogosławienie związków osób tej samej płci. Biuro Prasowe Stolicy Apostolskiej pytane o rzekomą zgodę odmówiło zaś jakiegokolwiek komentarza. W Stanach Zjednoczonych także nie brakuje już diecezji, w których biskupi zapowiedzieli, że pary homoseksualne będą mile widziane w Kościele, a niemiecki episkopat zapowiedział właśnie powołanie grupy badawczej, która ma się zajmować tą kwestią.

Możliwość zniesienia celibatu (przy świadomości, że to z punktu widzenia doktryny w pełni możliwe, choć trudne do wyobrażenia w Kościele łacińskim) jest obecnie sondowana. O takiej możliwości zupełnie wprost pisał już kard. Beniamino Stella w książce „Wszyscy ludzie Franciszka”. – Nie chodzi o to, by opowiedzieć się za czy przeciw, ale o ocenę różnych możliwości i o to, by nie być zamkniętym ani rygorystycznym – przekonywał w typowym dla zapowiedzi zmian języku. Tego typu decyzja miałaby być, zdaniem kardynała, odpowiedzią na wielki głód Eucharystii, który dręczy ludzi w Amazonii czy na wyspach Pacyfiku. Głodu tego nie mogą zaspokoić kapłani, bo jest ich zbyt mało. W takiej sytuacji można rozważyć święcenie mężczyzn żonatych, którzy posługiwali we wspólnotach, a jednocześnie prowadzili normalne życie rodzinne. Identyczne pomysły podpowiada także kard. Walter Kasper.

Jednak zniesienie obowiązkowego celibatu to nie wszystko, czego chcieliby postępowcy w Kościele. Już teraz bliscy współpracownicy papieża Franciszka, tacy choćby jak kard. Joseph Tobin, zapewniają, że nie ma przeszkód, by... „istniały jakieś rozstrzygające racje teologiczne, by papież nie mianował kobiet kardynałami”, a znany niemiecki psychoanalityk i mnich benedyktyński o. Anselm Grün przekonyuje, że nie widać powodów teologicznych, by w przyszłości nie było w Kościele kapłanek, biskupów, a nawet papieżów. – Takie rzeczy potrzebują czasu – mówił w wywiadzie dla „Augsburger Allgemeine”. Jednym słowem: wszystko staje się płynne, a doktryna i nawet jasne słowa Jezusa Chrystusa przestają mieć jakiekolwiek znaczenie. Trudno się temu zresztą dziwić,

„Amoris laetitia”, a szczególnie jej postępowe interpretacje, to w porównaniu z teologią ciała św. Jana Pawła II pieniądz zły

gdy generał jezuitów oznajmia, że nie ma się co przejmować słowami Jezusa zakazującymi rozwodów, bo nie wiemy, czy On tak rzeczywiście powiedział, gdyż w tamtym czasie nie istniał sprzęt do nagrywania. Sam papież oczywiście nie potwierdza tych wypowiedzi, ale też nie widać jasnego odcięcia się od nich. Zamiast tego w kolejnych wystąpieniach, katechezach itd. słyszymy mocne potępienie faryzeuszów, pelagianów, fundamentalistów, czyli tych wszystkich, którzy bronią Kościoła przed tymi zmianami. Ciekawe też, że do grupy autorów głoszących w wielotomowym dziele „pochwale” teologii Franciszka zaprasza się teologów, którzy wcześniej wytrwale atakowali – i to bez pardonów – jego poprzedników.

REWOLUCJA DUSZPASTERSKA

Zmiany, o których mowa, nakładają się na inny proces, który sam papież Franciszek nazywa „duszpasterskim nawróceniem”, a który opisać można – znowu posługując się słowami samego Ojca Świętego – jako „oczyszczanie z nadmiaru”. „Mężczyźni i kobiety Kościoła powinni »przyoblekać się« tylko w to, co może służyć doświadczeniu wiary i miłości ludu Bożego, a pozbyć się nadmiaru” – mówił

papież w wywiadzie rzece „Bóg jest młody”. I choć słowa te mogą być rozumiane w pełni ortodoksyjnie, jako pozbywanie się tego wszystkiego, co jest tylko ludzkim zwyczajem, teologiczną nowomową, to często interpretowane są – szczególnie przez kościelnych liberałów – znacznie szerzej, jako zgoda na eliminowanie z doktryny czy nauczania tego wszystkiego, czego współczesny świat nie akceptuje, a co jest w pewnym sensie znakiem rozpoznawczym Kościoła, czyli właśnie męska postać kapłana, wierność biblijnej moralności seksualnej czy celibat.

Zmiany praktyczne, które już zostały wprowadzone, a także obecność dokumentu wprowadzającego dość niską rangę, ale jednak papieskiego, jakim jest „Amoris laetitia”, w Magisterium są już faktem i bardzo trudno będzie je odwrócić. Zły pieniądz (a uważam, że teologia „Amoris laetitia”, a szczególnie jej postępowe interpretacje, to w porównaniu z teologią ciała św. Jana Pawła II pieniądz zły) wypiera dobry, a administracyjne i personalne decyzje Franciszka sprawiają, że jego następca może mieć podobną linię. Kościelni konserwatyści (a może lepiej powiedzieć – wierni nauczaniu poprzedników Franciszka), tradycjonałści (ciekawe, że obecnie nazwę tę można z powodzeniem odnieść do katolików wiernych nauczaniu św. Jana Pawła II i Benedykta XVI, a nie wielbicieli starej mszy) muszą się z tym oswoić i stworzyć własne instytucje, które formować będą kolejne pokolenia kapłanów, sióstr zakonnych i świeckich teologów w duchu wierności tradycji. Tak zrobili, gdy Paweł VI, św. Jan Paweł II czy Benedykt XVI mocno protestowali przeciwko modernistycznej teologii, jej zwolennicy. I po 50 latach walki o dusze udało im się doprowadzić do zmiany. Identyczną strategię muszą zastosować zwolennicy tradycji, po których stronie jest – wbrew nieustannym zapewnieniom liberałów – młodość.

Jednak nawet jeśli zmiana nastąpi, to i tak będzie ona musiała liczyć się z doktrynalnym dorobkiem obecnego pontyfikatu (a także potencjalnych kolejnych). Wiele wskazuje więc na to, że w Kościele jeszcze przez kilkadziesiąt lat będzie się toczyć poważna dyskusja nad... relacją między prawem naturalnym a jego przyjmowaniem przez sumienie. Jej efektem będzie zaś pełniejsze nauczanie. Na razie jednak jesteśmy na poważnym zakręcie. Rewolucja zapukała do bram Kościoła. Od środka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

11. Forum Inwestycyjne

16 – 17 kwietnia 2018, Tarnów



Miejsce spotkań inwestorów

z Polski i z Europy Środkowo-Wschodniej,
przedstawiciele rządów i parlamentów,
reprezentantów biznesu, założycieli startupów,
ekspertów, naukowców i innowatorów.



Dwa dni obrad - ponad 20 wydarzeń
(bloki tematyczne, panele dyskusyjne,
wykłady, prezentacje, raporty)
oraz ceremonia wręczenia nagród:
Inwestor roku i Inwestycja Roku.



Konkursy:

Startup Award 2018

(pula nagród 100.000 zł)

oraz Robot Show - zbuduj swojego robota!

(pula nagród 10.000 zł)



■ www.inwestforum.pl ■ forum@isw.org.pl

■ #InwestForum

 @ForumEkonomiczne



Tarnów
Miasto Gospodarz
Forum Inwestycyjnego

 **MAŁOPOLSKA**
GŁÓWNY PARTNER
FORUM INWESTYCYJNEGO



Piotr Włoczyk

Niezwykłe kontrowersyjna książka „Papież dyktator” pnie się na liście bestsellerów. Autor twierdzi, że chce za jej pośrednictwem ustrzec kardynałów przed popełnieniem „podobnego błędu” na kolejnym konklawe

Urodzony w 1535 r. włoski arystokrata Marcantonio Colonna był admirałem papieskiej floty podczas bitwy morskiej pod Lepanto. Po tym wielkim zwycięstwie nad Turkami papież Grzegorz XIII mianował Colonnę kapitanem generalnym Kościoła, czyli zwierzchnikiem całości sił zbrojnych państwa kościelnego – obrońcą katolicyzmu.

Przez ponad cztery miesiące pod pseudonimem Marcantonio Colonna ukrywał się autor książki, która szybko stała się jedną z najgłośniejszych publikacji na temat pontyfikatu Franciszka. Aura tajemniczości wokół autora i pytania o wybór takiego, a nie innego pseudonimu tylko podsycaly zainteresowanie mediów.

Książka – ukazała się w listopadzie zeszłego roku – reklamowana jest jako „opowieść o najbardziej tyrańskim i pozbawionym skrupułów pontyfikacie nowożytnych czasów”, która ma być „owocem bliskich kontaktów z wieloma ludźmi pracującymi w Watykanie, łącznie z najważniejszymi Kardynałami”. Autor nazywa kardynałów, którzy lobbowali za wyborem Franciszka, „mafią”, a o papieżu pisze jako o człowieku „autorytarnym i manipulującym”, który rządzi kurią rzymską „poprzez strach”.

„Kiedy kamery telewizyjne nie nagrywają, papież Franciszek zamienia się w innego człowieka: aroganckiego, skłonnego do konfrontacji, wulgarnego w słownictwie i słynącego ze swoich pełnych przemocy wybuchów gniewu, które zna każdy – od kardynałów aż do kierowców” – możemy przeczytać w książce.

Od razu po premierze „Papież dyktator” wskoczył na czwartą pozycję na liście najlepiej sprzedających się na Amazonie e-booków o tematyce religijnej, a publicyści wspierający tę narrację pisali o „polowaniu na czarownice”, które mieli rozpocząć



Henry Sire za książkę o Franciszku został już zawieszony przez zakon maltański

FOT. JOSEPH SHAW

Perónowski model w Watykanie

watykańscy oficjele, chcący jak najszybciej odkryć prawdziwą tożsamość autora.

CZŁONEK ZAKONU

Pod koniec marca okazało się wreszcie, że „Marcantonio Colonna” to 68-letni Henry Sire, brytyjski historyk wykształcony na Oksfordzie, członek zakonu maltańskiego, który dał się poznać jako autor poczytnych książek na temat historii Kościoła. Obrońcom Franciszka o tyle ciężko przedstawić go jako mało poważnego, że spod jego pióra wyszła choćby oficjalna historia zakonu maltańskiego, napisana na zamówienie jego wielkiego mistrza.

Sire ma na swoim koncie również książkę „Feniks z popiołów”, w której broni tradycji katolickiej i mocno krytykuje reformy Soboru Watykańskiego II. Od razu po upublicznieniu jego nazwiska jako autora głośnej publikacji zakon maltański zawiesił Sire’a, nazywając książkę „haniebnym atakiem” na głowę Kościoła.

Pod względem sensacyjności stawiających Franciszkowi zarzutów „Papież dyktator” przywodzi na myśl wydaną mniej więcej w tym samym czasie bardzo głośną książkę „Ogień i furia” na temat prezydentury Donalda Trumpa. Obaj przywódcy zostali przedstawieni w tych

książkach jako działający pod wpływem emocji agresywni despoty, kompletnie nienadający się do pełnienia powierzonych im funkcji. Obie też reklamowane są jako bazujące na relacjach ludzi z ich najbliższego otoczenia.

ARGENTYŃSKIE TŁO

Sire dużo miejsca poświęca w swojej książce argentyńskim rozdziałom życia Franciszka, szukając w nich źródeł domniemyanych autorytarnych ciągów głowy Kościoła. Zdaniem autora „Papieża dyktatora” Franciszek podświadomie kopiuje Peronowski model sprawowania władzy, na który napatrzył się w czasach młodości. Jego zdaniem efektem tego jest przyznawanie racji wszystkim dookoła i kreowanie się na obrońcę słabych, z równoczesnym nieustępliwością przepychaniem swojej wizji.

Autor tłumaczy, że napisał „Papieża dyktatora”, aby ustrzec kardynałów przed popełnieniem „podobnego błędu” na kolejnym konklawe. „Nie wiem, czy moja książka da kardynałom i innym ludziom Kościoła odwagę, by powiedzieć Franciszkowi: »Koniec zabawy«. Być może nie. Chodziło mi głównie o uniknięcie podobnego błędu na kolejnym konklawe” – powiedział Sire w wywiadzie dla portalu LifeSiteNews.com.

Teza o dyktatorskich wręcz skłonnościach powszechnie znanego ze skromności Franciszka jest oczywiście kontrowersyjna, jednak nawet sympatyzujący z obecną głową Kościoła wnikliwi obserwatorzy spraw watykańskich dostrzegają wielką różnicę między tym pontyfikatem a rządami Jana Pawła II.

„Obecny papież jest bardziej autorytarny w swoich działaniach. Franciszek w wywiadach mówi o rządzeniu kolegialnym, o towarzyszeniu Kościołowi, słuchaniu i harmonizowaniu, jednak praktyka jest inna – powiedział w zeszłym roku w wywiadzie dla „Do Rzeczy” Gian Franco Svidercoschi, włoski watykanista, autor książki „Papież, który zapalił świat”. „Jeżeli Franciszek napotyka na jakimś odcinku opór, to raczej można mieć pewność, że postawi na swoim. Mogłoby się wydawać, że papieżowi zależy na decentralizacji w Kościele, ale póki co chcą realizować swoje reformy, ten papież gromadzi władzę w swoim ręku”.

Poza zarzutami o dyktatorskie ściągnięcie Kościoła na lewo (Sire zwraca uwagę m.in. na zmiany w doktrynie dokonane podczas synodu poświęconemu rodzi-

nie) autor książki obwinia też papieża o tolerowanie w Watykanie quasi-mafijnych układów. Jego zdaniem Franciszek nie porządkuje kościelnych finansów i nie jest zainteresowany walką z korupcją. Sire winnych widzi również w najbliższym otoczeniu Franciszka, które ma mieć w tym własne interesy.

„Pod maską dobrotliwego człowieka ludu skrywa się dyktator, który rządzi za pośrednictwem strachu. By uniemożliwić i odwrócić reformy, jakich od niego oczekiwano, zawarł on przymierze z najbardziej skorumpowanymi urzędnikami watykańskimi” – pisze brytyjski historyk.

PROGRESYWNII PURPURACI

Jednym z bardziej sensacyjnych wątków tej książki, ale równocześnie bardzo trudnym do zweryfikowania, jest zarzut, jakoby Franciszek miał przewagę nad konkurentami do tronu Piotrowego. Z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem miał bowiem wiedzieć o abdykacji Benedykta XVI. Informację tę kardynał Bergoglio miał – zdaniem Sire’a – otrzymać od bliskiego współpracownika ówczesnego papieża.

Autor wiele uwagi poświęca tzw. grupie z Sankt Gallen, choć ten temat nie jest specjalnie kontrowersyjny – nie od dziś bowiem wiadomo, że grupa liberalnych purpuratów mniej więcej od początku wieku starała się wybrać papieża, który rozpocząłby w Kościele progresywne zmiany.

Krytycy Sire’a zwracają z kolei uwagę, że niezbyt poważnie brzmi sugerowanie, jakoby Watykan miał wpłacać pieniądze na... kampanię Hillary Clinton. Chłodny stosunek Franciszka do Donalda Trumpa to nie nowość, ale jednak zarzut finansowania kampanii Clinton brzmi nieprawdopodobnie. Sire twierdzi, że informacje te ma od osoby zajmującej się watykańskimi finansami, i podkreśla, iż czeka teraz na sprawdzenie tego tropu przez dziennikarzy śledczych.

Autor „Papieża dyktatora” przekonuje, że tuż po premierze książki Watykan zaczął śledztwo mające odkryć jego prawdziwą tożsamość.

„Pewien człowiek w Anglii został źle zidentyfikowany jako autor i od razu otrzymał z Rzymu telefony z pogróżkami” – powiedział Sire w grudniu w wywiadzie dla „The Catholic Herald”. „Doszły mnie słuchy, że watykańscy oficjele przedstawili papieżowi listę składającą się z nazwisk sześciu ludzi uznanych za potencjalnych

autorów. Myślę, że nie chodziło tu o przyznanie nagrody literackiej”. A jednak wygląda na to, że po upublicznieniu jego nazwiska nic strasznego go nie spotkało ze strony Watykanu. „Na razie najgorsze, co mnie spotkało, to nazwanie mnie tradycjonalistą” – przyznał zresztą sam Sire w wywiadzie dla Gloria.tv.

Nie ma wątpliwości, że Sire nie zawsze panuje nad swoimi emocjami, gdy odnosi się do tego pontyfikatu. 19 marca na oficjalnym koncie twitterowym „Papieża dyktatora” Franciszek został nazwany „potworem okupującym papieski tron”.

Na tym samym koncie twitterowym Sire bardzo często przywołuje w ostatnich dniach słowa amerykańskiego kardynała Raymonda Burke’a, którego ewidentnie bardzo ceni i uważa za główny głos obrońców kościelnej tradycji.

Ma to oczywiście związek z sympozjum pod hasłem: „Dokąd zmierzasz, Kościele katolicki?”, które odbyło się w zeszły weekend w Rzymie. Uczestniczył w nim m.in. kard. Burke. Była to kolejna, po liście „Dubia”, próba zwrócenia uwagi Franciszkowi na zagrożenia mające płynąć z zapisów adhortacji „Amoris laetitia” na temat udzielania komunii świętej osobom rozwiedzionym i żyjącym w nowych związkach.

W nowej deklaracji, którą poza kard. Burke’em poparli też m.in. kard. Walter Brandmüller oraz kard. Zen Ze-kun z Hongkongu, konserwatywni patriarchowie zarzucają papieżowi wprost „herezję”.

Kardynał Burke oświadczył przy tej okazji: – Jak pokazuje historia, możliwe jest, że papież sprawując swą władzę, może popaść w herezję i zaniedbać swój pierwszy obowiązek, jakim jest ochrona i krzewienie jedności wiary, kultu i dyscypliny.

Historia krytykowania papieża przez purpuratów i powoływanie się na autorytet ich poprzedników mają już swoją tradycję, ale – co ciekawe – swoje zrobił w tym temacie również Franciszek. Kiedy bowiem w 2005 r. Benedykt XVI w ostrych słowach podsumował rolę Mahometa, kard. Bergoglio odciął się od głowy Kościoła i w wywiadzie udzielonym argentyńskiemu „Newsweekowi” stwierdził: „Stanowisko papieża Benedykta nie odzwierciedla mojej opinii w tej sprawie. Takie słowa burzą w 20 sekund starannie zbudowane relacje z islamem, które Jan Paweł II budował przez ostatnie 20 lat”.

Co przyniesie „synod młodych”?



FOT. OBSERVATORE ROMANO/HANDOUT/REUTERS/FORUM



Krystian Kratiuk

Po olbrzymim zamecie, jaki wkradł się do Kościoła podczas synodu ds. rodziny, trudno bez niepokoju przyglądać się przygotowaniom do kolejnego zgromadzenia biskupów – zwanego „synodem młodych”

Choć do zgromadzenia synodalnego biskupów zostało jeszcze pół roku i nie wiemy, co się na nim wydarzy, to możemy próbować to przewidzieć, obserwując przygotowania do tego spotkania.

Jakie to przygotowania? A choćby, zgodnie z nowym watykańskim zwyczajem, rozesłanie ankiety do świeckich. To krok, na który zdecydowano się już

przed synodem o rodzinie w roku 2014 – komentatorzy rozpisywali się wówczas o demokratyzacji Kościoła i „wsłuchiwanie się pasterzy w głos owiec”. W roku 2017 sekretariat synodu pytał młodych nie o religię, ale o sprawy społeczne i... zawodowe. Pojawiły się więc pytania o zarządzanie konfliktem, o pracę w grupie, umiejętności dobrej relacji z innymi, umiejętności przywódcze, zdolności do realizacji i osiągnięcia celów, marzeń, możliwości dostosowania się do zmiany sytuacji.

DIALOG – TAK, EWANGELIZACJA – NIEKONIECZNIE

Do ankiety dołączony był też szkic dokumentu przygotowawczego synodu. On również może zaskakiwać. Otóż np. z fragmentów dotyczących powołania wynikało, że jest ono jedynie rodzajem zwyczajnego wyboru tego, co człowiek będzie robił w życiu. Tak więc obok powołań kapłańskich czy zakonnych, a tak

że małżeńskiego wymieniono chociażby rozważania o różnych zawodach, stylu życia, zarządzaniu czasem i pieniędzmi, formach zaangażowania obywatelskiego czy wolontariacie. W ogóle niemal nie zauważono w tej sprawie kwestii sakramentów!

We fragmentach traktujących natomiast o „doświadczeniu misyjnym” autorzy dokumentu nie pisali o głoszeniu Ewangelii, lecz o... „altruistycznej służbie człowiekowi i owocnej wymianie myśli”. Stosunek do niewierzących ma polegać nie na nawracaniu, ale na „zwiększeniu możliwości owocnego dialogu i wzajemnego wzbogacania się” oraz „doskonalszym słuchaniu, szacunku i dialogu”.

Jakby tego było mało, w dokumencie czytamy także, że „słuchając młodych ludzi, Kościół ponownie usłyszy głos Pana przemawiającego we współczesnym świecie”. Działacze z jednej z najbardziej prominentnych organizacji prorodzinnych skupiających katolików świeckich

– Voice of Family – zwracali uwagę, że sformułowanie to zawiera wiele błędów. Po pierwsze sugeruje, że obecnie Kościół nie słyszy głosu Pana, a po drugie, że nauczanie Kościoła „nie pasuje” do współczesnego świata.

W dokumencie przygotowującym synod w ogóle dostrzec można swoiste ubóstwienie młodości (na co wskazywać może też tytuł najnowszej książki papieża Franciszka „Bóg jest młody”). Pada w nim np. zdanie: „Podobnie jak w czasach Samuela i Jeremiasza młodzi ludzie wiedzą, jak rozpoznać znaki naszych czasów, wskazane przez Ducha. Słuchając ich dążeń, Kościół może dostrzec świat, który jawi się w przyszłości, i ścieżki, do którymi podążania Kościół jest wezwany”. Skąd pomyśleć, że młodzi mają szczególny wgląd „w znaki czasu” lub w „świat, który jawi się w przyszłości” – nie wiadomo. A już o zawrót głowy może przyprawić mniemanie, że są najlepiej przygotowani, by dyktować „ścieżki, do którymi podążania, Kościół jest wezwany”. Czyżby więc Pismo Święte, tradycja Kościoła i zbiorowa mądrość ludzkości połączona z mądrością dawnych czasów nagle przestały wzywać nas do szacunku dla starszych? – zastanawiają się członkowie VoF. Na to wygląda, gdyż autorzy dokumentu bardzo często odcinają się od tradycji Kościoła, by w pewnym momencie wprost stwierdzić: „Stare podejście już nie działa i minione doświadczenia poprzednich pokoleń szybko stały się nieaktualne”.

Nauczeni doświadczeniem sprzed dwóch lat możemy założyć, że treść dokumentu przygotowawczego synodu oraz odpowiedzi na towarzyszącą mu ankietę niewątpliwie znów będą miały znaczący wpływ na „Instrumentum laboris” (dokument roboczy synodu dla biskupów), a zatem na kierunek synodalnej debaty.

PRESYNOD WSZYSTKICH RELIGII

Ankieta i zapytanie o dokument przygotowawczy młodzieży to jednak za mało dla watykańskich dostojników postulujących demokratyzację Kościoła. W marcu Watykan zorganizował więc także spotkanie presynodalne. Zaproszono na nie nie tylko katolików – po raz kolejny podkreślając otwartość aktualnego pontyfikatu – lecz także wyznawców innych religii oraz ateistów. Na tym wyjątkowym spotkaniu młodzież powitał sam papież Franciszek, nawołując, by

podczas obrad nie obawiali się „zuchwale” artykułować swych poglądów, a także namawiając, by „mieli tupet”. I przy tej okazji nie zabrakło odcięcia się od przeszłości: młodzi usłyszeli od Ojca Świętego, że Kościół musi „odżywiać entuzjazm wiary” i „zamiłowanie odkrywców”, ponieważ „instytucja, która się nie zmienia, pozostaje dzieckiem, nie wzrasta”. Franciszek poprosił też młodych o modlitwę w swojej intencji albo przynajmniej – zapewne by nie urazić niewierzących obecnych na spotkaniu – by „pomyśleli o nim dobrze”.

Obrady presynodu odbywały się zarówno w Rzymie, jak i na... Facebooku. Młodzi również przygotowali swoją wersję dokumentu roboczego, który został już przekazany biskupom. Jak łatwo było się domyślić, znów niewiele miejsca poświęcono Panu Bogu, za to zgodnie uznano, że ważnymi aspektami życia młodzieży są „zaangażowanie obywatelskie” i „działalność charytatywna”, a wśród priorytetowych potrzeb wskazano „sprawiedliwość społeczną” i dążenie do pokoju na świecie oraz „życie w harmonii ekologicznej”. W tych sprawach uczestnicy spotkania byli zgodni – inaczej było jednak, gdy rozmawiali o nauce moralnej Kościoła. Okazało się, że młodzież zaproszona do Rzymu jest radykalnie podzielona w sprawie – jak czytamy – „szczególnie kontrowersyjnych dziś nauk Kościoła, np. dotyczących antykoncepcji, aborcji, homoseksualizmu, wspólnego pożycia, trwałości małżeństwa i kapłaństwa zarezerwowanego dla płci męskiej [...]”. Nawet wśród osób, które to nauczanie rozumieją, nie ma co do niego zgody. Mogą oni chcieć, aby Kościół zmienił to nauczanie, lub przynajmniej chcieliby mieć dostęp do lepszego wyjaśnienia. Mimo to młodzi ludzie wciąż pragną być częścią Kościoła”. Dla porządku należy dodać, że pod koniec dokumentu pojawia się „nadzieja, iż Kościół przyciągnie uwagę młodych ludzi tym, że będzie bardziej zakorzeniony w Jezusie Chrystusie”.

Nie obyło się jednak bez prawdziwych kontrowersji. Otóż katolicycy tradycyjni, których również dopuszczono do obrad, zdominowali jedną (anglojęzyczną) z podgrup dyskutantów. Postulowali, by w raporcie tej grupy napisano, że młodzież oczekuje od Kościoła większego dostępu do tradycyjnej liturgii. Mimo zdecydowanej przewagi zwolenników takiego rozwiązania w tej grupie jej liderzy zdecydowali inaczej... Trudno nie

dostrzec tu podobieństw do wydarzeń z synodu ds. rodziny, podczas którego również dochodziło do tego rodzaju nadużyć, stosowanych tylko po to, by finalna wersja dokumentu synodalnego wyglądała tak, jak życzyłyby sobie tego sekretariat synodu (sprawę opisał watykanista Edward Pentin w książce „The Rigging of Vatican Synod”).

Tak więc w dokumencie powstałym po presynodzie nie znajdziemy sugestii dotyczących powrotu do tradycji Kościoła, ale za to przeczytamy propozycje, by duchowni nauczali tak, „aby młodzi ludzie mogli zrozumieć misję Chrystusa, a nie to, co postrzegają jako niemożliwe do spełnienia oczekiwania moralne”.

CO ZROBIĄ BISKUPI?

Co więc może przynieść październikowy synod? Przede wszystkim kolejny etap rewolucji demokratyzującej Kościół – można bowiem założyć, że posynodalne ustalenia w dużej mierze oparte zostaną na tym, czego zażądała obradująca w Watykanie młodzież. Ponadto progresywni biskupi zechcą zapewne podeprzeć się „autorytetem ludu”, by uczynić kolejny krok do przemiany Kościoła ze wspólnoty świętej wiary katolickiej we wspólnotę „dobrych ludzi” dbających o planetę i siebie nawzajem. Towarzyszyć temu musi – zauważalne już podczas przygotowań – nieomal rytualne odcinanie się od przeszłości Kościoła, czasów, gdy on nawracał pogan, dbał o gorliwość ochrzczonych i nauczał o każdej sferze życia człowieka. Wreszcie – jeśli biskupi poruszą temat nauczania moralnego Kościoła, nazwanego przez młodych „kontrowersyjnym”, to z pewnością nie można liczyć na obronę tego nauczania. Tym bardziej że w Watykanie od kilku miesięcy pracuje komisja przygotowująca raport o encyklice „Humanae vitae” (traktującej o katolickiej etyce seksualnej), który ogłoszony ma być w 50. rocznicę opublikowania dokumentu przez Pawła VI. A rocznica ta przypada trzy miesiące przed rozpoczęciem synodu.

Szczęśliwie podczas tegorocznego synodu nie spełnią się jeszcze obawy dotyczące powrotu dyskusji o zniesieniu celibatu. Według liczących watykanistów sprawę tę odłożono na przyszły rok, kiedy to odbędzie się kolejny synod papieża Franciszka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech Wybranowski

Politycy zjednoczonej prawicy spychają Antoniego Macierewicza do politycznego cienia. Nie oznacza to jednak, że zniknie ze sceny politycznej albo że nastąpi rozłam w PiS

Zebrani w ubiegłym tygodniu na uroczystości odsłonięcia pomnika smoleńskiego usłyszeli od prezesa PiS wyrazy wdzięczności za stały udział w miesięcznicach smoleńskich i dokładanie starań w wyjaśnieniu katastrofy Tu-154M. Kilka ciepłych słów padło też pod adresem Antoniego Macierewicza.

– Wiele lat bardzo ciężkiej pracy, różnego rodzaju eksperymentów, czasem udanych, czasem nieudanych, różnych hipotez – potwierdzanych i niepotwierdzanych, ale przede wszystkim ta stała się wola, która doprowadziła do tego, że mimo bardzo ostrego przeciwdziałania jesteśmy dzisiaj już nieporównanie bliżej prawdy niż byliśmy osiem czy siedem lat temu – powiedział Jarosław Kaczyński. Tłum, zwłaszcza członkowie Klubów Gazety Polskiej, żywiołowo zareagował na te słowa. Rozległy się oklaski i okrzyki: „Antoni! Antoni!”

Uważni obserwatorzy zauważyli jednak, że lider PiS, mówiąc o nieudanych eksperymentach i niepotwierdzonych hipotezach, dał wyraźny sygnał rosnącego dystansu do byłego szefa MON. Zwłaszcza że dał do zrozumienia, iż więcej wagi przywiązuje do ustaleń powołanego przez Prokuraturę Krajową międzynarodowego zespołu biegłych niż do komisji, którą kieruje Macierewicz. – Piękna uroczystość. I bardzo ładne requiem dla Macierewicza. Zręcznie, ciepło powiedziane „temu panu już dziękujemy” – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” jeden ze znanych posłów PiS, obecny na rocznicowej uroczystości.

KILKA LAT STRAT

Dochodzenie przyczyn katastrofy rządowego Tu-154M wyniosło Antoniego Macierewicza na szczyt prawej strony sceny politycznej i zarazem po kilku latach przyczyniło się do jego cichego



Filar na bocznicę

upadku. Po ośmiu latach od tragicznego zdarzenia Macierewicz stracił wiele z dotychczasowego zaufania rodzin smoleńskich i samego Kaczyńskiego. Naraził się liderowi PiS sposobem funkcjonowania w gabinecie Szydło i konfliktem z kilkoma prominentnymi ministrami, wreszcie – ocenianym przez Nowogrodzką jako niepotrzebny i szkodliwy dla ugrupowania – sporem z prezydentem Andrzejem Dudą.

– Potencjał Antoniego Macierewicza, który wziął na siebie trud badania

przyczyn katastrofy smoleńskiej, jego umiejętność przyciągania i pozyskiwania w minionych latach sporej grupy wyborców jest nie do przecenienia. Niestety, po wyborach dał o sobie znać ten jego charakterystyczny gen destrukcji i autodestrukcji – obrazowo opowiada nam inny z polityków PiS. I tłumaczy, w ocenie „wielu ludzi mających dostęp do prezesa Kaczyńskiego” były szef MON wyczerpał już potencjał, który przynosił PiS korzyści. – Przez lata był zderzakiem, który przyjmował na siebie



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

nazwisko „Macierewicz” w połączeniu z umiejętnościami retorycznymi byłego szefa MON jest doskonałym wabikiem dla sporej części tzw. twardego elektoratu.

Dlaczego więc PiS teraz będzie próbował odsunąć Macierewicza na dalszy plan? Nasi informatorzy uważają, że Kaczyński uznał, iż nie zachowywał się lojalnie po odwołaniu ze stanowiska w MON. – Układ był jasny, odchodzi z ministerstwa, ale zostaje szefem podkomisji prowadzącej śledztwo smoleńskie. Ma swoją „działkę”, w której się realizuje, która daje mu polityczny i medialny byt, zapewnia mu zainteresowanie Polaków, czyli coś, co Antek kocha. W zamian miał po prostu się uciszyć, nie podgrzewać sporów. Nie wytrzymał – mówi jeden z naszych informatorów.

W styczniu, kilka dni po dymisji Antoniego Macierewicza, w „Do Rzeczy” opisaliśmy kulisy zdarzeń, które doprowadziły do tej dymisji. Pisaliśmy nie tylko o narastającym pogorszeniu się relacji na linii Kaczyński – Macierewicz, o ostrych dyskusjach obu polityków dotyczących obsadzania przez Macierewicza spółek zbrojeniowych ludźmi niemającymi kompetencji, ujawniliśmy także, że szef MON co najmniej na dwa dni przed dymisją wiedział o niej i jej powodach. Tymczasem już kilka godzin po jej odebraniu Macierewicz rozpoczął tournée po mediach, w których opowiadał, jakim to była ona dla niego zaskoczeniem. – O tym, że to jest dymisja, dowiedziałem się od pana ministra Szczerskiego, gdy przyjechałem do Pałacu – twierdził Macierewicz w TVP Info.

Politycy PiS utrzymują, że centrala partii uznała, iż to właśnie Macierewicz i jego bliscy współpracownicy inspirowali w mediach społecznościowych, w „Gazecie Polskiej” oraz Radiu Maryja serię publikacji i komentarzy atakujących PiS za dymisję w MON. Wówczas m.in. popularny wśród żelaznego elektoratu PiS bloger Aleksander Ścios, zagorzały zwolennik Macierewicza, pisał: „Skandaliczny sposób, w jaki odwołano Antoniego Macierewicza, pokazuje prawdziwy format obecnych »przywódców narodu«. Ani lokator Pałacu, ani wykonujący jego polecenia prezes PiS nie mieli dość odwagi, by osobiście powiadomić szefa MON o dymisji”.

– To, co robił ów Ścios, komentarze Tomasza Sakiewicza, uwagi ojca Rydzka i słuchaczy Radia Maryja trafiły do ludzi

ataki Platformy, a im bardziej był atakowany, tym bardziej nasz elektorat się jednociżył „murem za Macierewiczem”. Popęłił jednak błędy, które spowodowały, że obrywa PiS, a sam Antoni niestety coraz bardziej gra na siebie, co nie zawsze jest zbieżne z naszym interesem – słyszymy.

SZORSTKA PRZYJAŹŃ

„Wygaszanie” Macierewicza, które zaczęło się krótko przed kolejną rocznicą katastrofy smoleńskiej – a zakończyć się

ma, według naszych źródeł, najpóźniej przed początkiem kampanii wyborczej do samorządów – nie oznacza jednak, że zostanie on usunięty z partii. O tym w PiS w ogóle nie ma mowy. Nadal będzie wiceprezesem ugrupowania. Zdaniem naszych informatorów nie musi się też obawiać o miejsce na liście wyborczej w kolejnych wyborach parlamentarnych. Nie będzie też próby przesunięcia go na placówkę dyplomatyczną w jednym z krajów UE. W PiS zdają sobie doskonale sprawę, że

■ w terenie, rozbiły pewien monolit, jakim był w ich odbiorze PiS. Agentura wpływu Macierewicza zrobiła bardzo niedobłą robotę – uważa inny z naszych rozmówców z kręgu wpływowych ludzi PiS.

PROBLEMATYCZNA KONFLIKTOWOŚĆ

Według naszych rozmówców usuwanie ludzi Macierewicza z MON i spółek Skarbu Państwa, zwłaszcza w tzw. zbrojeniówce, miało być dla niego ostrzeżeniem. Nie podziało. Były szef MON i jego środowisko wywołał kolejny wewnętrzny spór w PiS, atakując prezydenta Andrzeja Dudę po tym, jak odmówił podpisania ustawy degradacyjnej. – Można się zastanowić, czy prezydent Andrzej Duda, wetując tzw. ustawę degradacyjną, powrócił do formuły »grubej kreski«, wynikającej z Okrągłego Stołu, że pewne osoby, pewna formacja polityczna, będzie do śmierci chroniona – grzmiał Macierewicz w Telewizji Republika. W innym z wywiadów otwarcie powiedział, iż uważa Andrzeja Dudę za osobę, która działa przeciw »podstawowym wskazaniom obozu niepodległościowego«. Znow wywołał wewnętrzny spór wśród sympatyków obozu Zjednoczonej Prawicy. I to w czasie, gdy Kaczyński, zgadzając się na powołanie rządu na czele z Mateuszem Morawieckim, chciał te wewnętrzne spory przed nadchodzącymi wyborami wyciszyć.

Do tego doszedł bardzo poważny spór, który miał osobiście dotknąć prezesa PiS. Chodzi o konflikt między Macierewiczem a prokuraturą Zbigniewa Ziobry w sprawie wyjaśniania przyczyn katastrofy smoleńskiej. W jednym z niedawnych numerów informowaliśmy m.in. o blokowaniu śledczym dostępu do pozostającego w wyposażeniu wojska tupolewa, bliźniaczego do tego, który został zniszczony w katastrofie smoleńskiej, czy też dostępu do analiz ekspertów podkomisji smoleńskiej kierowanej przez Macierewicza. Nie podobało się to rodzinom ofiar katastrofy. I choć nikt z nich oficjalnie nie chce mówić krytycznie o Macierewiczu, podkreślając, że jego rola w wyjaśnieniu przyczyn tej tragedii jest nie do przecenienia, te z rodzin smoleńskich, które rozmawiały z „Do Rzeczy”, nieoficjalnie mówiły już o pewnej utracie zaufania, o kiepskiej polityce informacyjnej podkomisji smoleńskiej, medialnych wrzutkach, które

zaszkodziły sprawie w oczach opinii publicznej. Zauważały również wykorzystywanie tragedii 10 kwietnia 2010 r. do celów politycznych.

Nieoficjalnie mówi się w PiS, że to właśnie zastrzeżenia Kaczyńskiego i części rodzin smoleńskich co do medialnych spekulacji Macierewicza miały być powodem, dla którego szef podkomisji smoleńskiej nie dostał zgody na przedstawienie kolejnego raportu dotyczącego przyczyn katastrofy smoleńskiej w jej ósmą rocznicę. Dopiero dzień później Antoni Macierewicz i jego podkomisja mogli zaprezentować „raport techniczny”. Macierewicz stwierdził podczas tej prezentacji, że kierowana przez niego podkomisja anulowała powstały w okresie rządów PO-PSL raport komisji Jerzego Millera. Sam „ra-

Usuwanie ludzi Antoniego Macierewicza ze spółek Skarbu Państwa miało być dla niego ostrzeżeniem. Nie podziało

port techniczny” zawiera skatalogowane informacje, które zdaniem Macierewicza wskazują na rzeczywistą przyczynę tragedii smoleńskiej. Podkreślił też, że komisja podtrzymuje, iż na pokładzie samolotu doszło do eksplozji ładunku wybuchowego. – Co do natury eksplozji samolotu Tu-154M nie ma wątpliwości; trwają dyskusje, jaki był charakter eksplozji, w którym miejscu został umieszczony ewentualny ładunek wybuchowy; to nie są rozstrzygnięte sprawy – mówił Macierewicz.

ROZŁAMU NIE BĘDZIE

Już po odsunięciu Antoniego Macierewicza wśród opozycji i części środowisk prawicowych, również wewnątrz PiS, zaczęto mówić, że były szef MON odejdzie z ugrupowania, założy własną partię i dopiero przed wyborami zawrze ewentualny sojusz z PiS. Plotki były też podkręcane przez zwolenników Macierewicza, którzy w mediach społecznościowych pisali o sporej frekwencji na spotkaniach z byłym szefem MON w terenie, o rosnących oczekiwaniach na stworzenie ugrupowania, które stanie po prawej stronie idącego

w kierunku centrum PiS. Kiedy na początku kwietnia Antoni Macierewicz skrytykował prezydenta Andrzeja Dudę za zawetowanie ustawy degradacyjnej, jego sympatycy zorganizowali w sieci akcję społecznościową „#MuremZaMacierewiczem”

„Panie Min. dlaczego nie zakłada pan własnej partii mimo tak olbrzymiego poparcia społeczeństwa? Dlaczego nadal siedzi pan między wrogami w bagnie zw. PIS=Unii Wolności pozwalając na dewastację i niszczenie PL czynione rękami obecnego rządu?! – pisał jeden z sympatyków Macierewicza

„Nareszcie Antoni Macierewicz zaczyna działać. Być może ma dość tego, co robi Morawiecki. Mam nadzieję, że Pan Antoni Macierewicz mocno wstrząśnie PiS i wreszcie usuną Morawieckiego” – dodawał inny.

Przez krótki czas krążyła informacja (szybko została zdementowana) o tym, jakoby kontrowersyjny polityk miał się związać z marginalną, niszową partią „Ruch 11 Listopada” założoną przez byłego kandydata w wyborach prezydenckich Mariana Kowalskiego oraz pastora Pawła Chojckiego, lidera niewielkiej internetowej grupy o nazwie „Kościół Nowego Przymierza”. Plotkę kolportowali głównie ludzie związani z tym – często określanym mianem sekty – środowiskiem. W PiS pogłoskami o ewentualnym wyjściu Macierewicza z PiS i założeniu przez niego nowej partii nikt się nie przejął.

– Nikt tego nie traktuje tutaj poważnie i z tego, co nam wiadomo, również z rozmów z Antonim, nie ma takiego projektu i nie będzie miał. Macierewicz jest doświadczonym, inteligentnym politykiem i doskonale wie, że dzisiaj nie ma na prawicy życia poza PiS – mówi nam działacz z „Nowogrodzkiej”.

Wydaje się więc, że plan „wyciszenia” Macierewicza i pozostawienia mu niewielkiego poletka aktywności publicznej związanej z katastrofą smoleńską w zamian za „biorące” miejsce na liście parlamentarnej może się powieść. Chyba że w obozie zjednoczonej prawicy dojdzie do poważnego sondażowego tąpnięcia i ewentualnego rozłamu na kilka ugrupowań, co dawałoby szansę na zaistnienie również grupie radykałów bliskich Macierewiczowi. Tyle że polityczne prognozy na taki przebieg wydarzeń w najbliższym okresie nie wskazują.

nie odmawiaj biedakowi rzeczy niezbędnych do życia
i oczu potrzebującego nie męcz zwlekaniem
[Księga Mądrości Syracha 4,1]

prosimy o Twoją pomoc
dla dzieci w ciężkim stanie klinicznym*

1% podatku KRS 00000 14574
darowizna 80 1240 2959 1111 0010 2904 3289

Prosimy Cię o wsparcie rodzin opiekujących się dziećmi w ciężkim stanie klinicznym. Podtrzymywanie funkcji życiowych respiratorem, karmienie dojelitowe, rehabilitacja... koszty domowej opieki są ogromne. Docieramy z pomocą do rodzin z całej Polski znajdujących się w najtrudniejszej sytuacji. Finansujemy stypendia, zakup sprzętu rehabilitacyjnego, podnoszenie kwalifikacji zawodowych żywicieli rodzin... a nawet zakup mieszkań dla pozbawionych własnego dachu nad głową! Twoje wsparcie pomoże trwale zmieniać rzeczywistość! Prosimy Cię o darowiznę oraz Twój 1% podatku - liczy się każda kwota! Bóg zapłać!



Stowarzyszenie SPES - Organizacja Katolicka - Dajemy świadectwo od roku 1986
*historie i sylwetki stypendystów na stronie www.spes.org.pl/stypendysty



Teraz startuje z poparciem Platformy na prezydenta Wrocławia. Jego zwolennicy od lat wierzą, że jeśli ktoś ma wytyczyć konserwatywną „trzecią drogę” – inną od linii Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska – to właśnie on. Jego krytycy wieszczą, że ugrzęźnie w kompromisach moralnych z partią Schetyny. Feministki z kolei drażni dystansem wobec ich haseł rewolucji obyczajowej. Jednak wszyscy po cichu przyznają – ambicji mu nie brakuje. Jak poradzi sobie w bitwie o Wrocław?

CHODZĄCY SWOIMI ŚCIEŻKAMI

Kazimierz Michał Ujazdowski (rocznik 1964) jest osiem lat starszy od prezydenta Andrzeja Dudy i cztery lata od premiera Mateusza Morawieckiego. Od lat prześladowa go ironiczna ksywa Budyń, którą po napisaniu pracy doktorskiej kpiarze zmienili na Doktor Oetker.

Te określenia nie wzięły się znikąd.

Wszyscy, którzy go lepiej znają, twierdzą, że nie ma charyzmy wiecowego lidera, że jest w nim coś miękkiego i niezdecydowanego. Jakiś wpływ Aleksandra Halla. Jednocześnie jego kariera publiczna pokazuje, że zawsze szukał w polityce czegoś nowego i bał się ryzyka.

Forum Prawicy Demokratycznej, Partia Konserwatywna, Koalicja Konserwatywna, Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe, Przymierze Prawicy, Polska XXI – lista formacji, przez które przeszedł, jest spora i – co bardziej istotne – żadna z tych nazw nie kojarzy się z politycznym sukcesem.

Jeśli nie liczyć wyroku więzienia w 1982 r. za kolportaż ulotek przeciw stanowi wojennemu, to do poważnej polityki zbliżył się w łódzkim środowisku opozycyjnego Ruchu Młodej Polski. Specyfiką RMP było to, że każdy z lokalnych ośrodków tej formacji miał jakiś specyficzny rys. Gdański RMP, na czele z Aleksandrem Hallem, już od 1989 r. orbitował ku przyszłej Unii Demokratycznej Tadeusza Mazowieckiego. Z kolei gorzowska gałąź RMP tworzyła Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Łódzcy RMP-owcy byli podzieleni – Jacek Bartyzel odrzucał obóz Okrągłego Stołu, a Ujazdowski uległ autorytetowi Halla i w 1991 r. został posłem UD. Jednak posłem mało potulnym – wbrew swojej partii głosił w maju 1992 r. za lustracją i potem przeciw powołaniu Waldemara Pawlaka na premiera. Jednak rychło wraz Hallem wyszedł z UD i założył z nim kilka kolejnych partii prawicy.

Ujazdowski marzy o Wrocławiu



Piotr Semka

Polityczne inicjatywy, które współzakładał, policzyć potrafią tylko najpilniejsi badacze prawicy. Dwa razy wchodził do obozu PiS i dwa razy z niego wychodził

Wybił się w latach 2000–2001 jako minister kultury wprowadzający w życie wiele świeżych inicjatyw historycznych, takich jak np. powołanie Muzeum Historii Polski, patronował też akcji „Bohaterowie naszej wolności”. Uznanie zdobył, podejmując zakończoną sukcesem międzynarodową kampanię na rzecz zmiany nazwy terenów byłych obozów Auschwitz-Birkenau we wpisie na liście światowego dziedzictwa UNESCO.

Były to na tamte czasy pionierskie pomysły – pierwsze jaskółki polityki historycznej, która prowadzona jest przez prawicę do dziś. Na gruncie naukowym zdobył uznanie kilkoma pracami o Aleksandrze Bocheńskim, konserwatywnym myślicielu z lat 30.

Jednak obok pasji badacza idei konserwatywnej tkwił w nim zawsze ambitny – co nie znaczy skuteczny – polityk. I ktoś, kto nigdy nie pogodził się z tym, że zamiast kolegów z RMP to Jarosław Ka-

czyński i „zakon PC” rozdawali po 2001 r. karty w polityce po prawej stronie. Miał też tendencję do zbyt teoretyzowania polityki. Jego idea napisania nowej konstytucji w pierwszych latach nowego stulecia nie porywała zbyt wielu partyjnych kolegów.

W 2007 r. uznał, że ma dosyć samowładztwa prezesa PiS i wraz z Ludwikiem Dornem oraz Pawłem Zalewskim wystąpili z partii. Jednak jego nowy projekt – Polska XXI – nie stał się sukcesem. W tej sytuacji, po katastrofie smoleńskiej w 2010 r., znów zapukał do PiS i uzyskał absolicję. W 2014 r. Kaczyński dał mu nawet nominację na wysokie, „biorące” miejsce na listach PiS do europarlamentu. Tym razem konflikt z prezesem Kaczyńskim był efektem sprzeciwu Ujazdowskiego wobec tempa rewolucji dobrej zmiany, stosunku PiS do zmian w Trybunale Konstytucyjnym i szerzej rozumianego „psucia państwa”. W styczniu 2017 r. opu-



FOT. AREK MARCOWICZ/FORUM

ścił znów z hukiem PiS i szukał miejsca na scenie politycznej. Podobno jeszcze do niedawna widział się w roli senatora w wyborach parlamentarnych w 2019 r. Okazało się, że szybciej pojawiła się okazja do politycznego wejścia pod sztandary PO jako użyteczny kandydat na prezydenta Wrocławia. Chociaż z formalnym statusem wolnego sojusznika.

WROCŁAW TAK, IDEOLOGIE – NIE!

Jest chłodny, choć słoneczny poranek 9 kwietnia. Na placu Dominikańskim, w centrum Wrocławia, Kazimierz Michał Ujazdowski rozdaje przechodniom ciepłą kawę w papierowych kubkach i pyta, co ich zdaniem trzeba poprawić w mieście. To samo robi w innym, pełnym przedsiębiorców punkcie miasta – na placu Grunwaldzkim. Czy to już kampania samorządowa? Formalnie nie. Jednak Ujazdowski dba, by jego nazwisko i twarz rzucały się wrocławianom w oczy. Już

w lutym br. (teoretycznie bez związku z kampanią) na mieście pojawiły się plakaty z jego dużym zdjęciem – formalnie jako reklama jego strony, na której informuje o swej pracy europosła. Ujazdowski tłumaczył wtedy: „Billboardy nie mają nic wspólnego z kampanią wyborczą. Ani nie złożyłem deklaracji startu, ani nie jest to czas kampanii. Billboardy dotyczą pracy w Parlamencie Europejskim i dlatego mogą być finansowe ze środków, jakie mam do dyspozycji jako poseł Parlamentu Europejskiego”. „Podoba mi się, kiedy politycy mają charakter, by wyjść na ulicę i stanąć twarzą w twarz z ludźmi. Może w lepszym świecie to byłoby normą? Bo ja się nie muszę z Panem zgadzać, ale o ileż przyjemniej nie zgadzać się z kimś, kogo się szanuje” – tak skomentował show jeden z twitterowiczów.

Ujazdowski skupia się na sprawach, które irytują mieszkańców dolnośląskiej metropolii niezależnie od dzielących ich

poglądów ideowych. „Chcę, by Wrocław dawał przykład przejrzystości i bezstronnego traktowania obywateli, NGO i przedsiębiorców” – to typowy styl jego komunikatów. Ujazdowski atakuje też, choć nie wprost, dotychczasowego prezydenta Rafała Dutkiewicza. Ogłasza, że chce zerwać z „pompatycznym stylem rządów Wrocławiem”, a 11 kwietnia zapowiedział przyjęcie „pakietu przejrzystości” – m.in. pełnej jawności protokołów z posiedzeń kolegium prezydenckiego i swobodnego dostępu do rejestru zawieranych przez miasto umów. Nie pali jednak mostów: „Jestem kandydatem syntezy tego, co dobre, i nowego otwarcia. Zachowam to, co dobre, z pracy B. Zdrojewskiego i R. Dutkiewicza” – głosi K.M.U. Sondaże pokazują, że jest już dość dobrze rozpoznawalny. To dużo.

KOŃ TROJAŃSKI PLATFORMY

Gdy 3 kwietnia Grzegorz Schetyna, lider Platformy, wystąpił na wspólnej konferencji z Ujazdowskim i przedstawił go jako kandydata PO we Wrocławiu, zaskoczenie było spore.

Schetyna zachowywał się, jakby poparcie dla byłego polityka PiS było czymś najnormalniejszym pod słońcem. Podkreślał, że z Ujazdowskim znają się i współpracują od wielu lat. „Dzisiaj uważamy, że tę współpracę trzeba jeszcze bardziej ukonkretnić” – dodał szef PO. Ogłosił, że zaprosił Ujazdowskiego do współpracy i uczestnictwa w „gabiniecie cieni” Platformy.

Ze swej strony Ujazdowski ogłosił, że „nie ma intencji prowadzenia działalności w partii politycznej” i „nie zgłasza akcesu do członkostwa w PO”, natomiast chce intensywnie uczestniczyć w pracach programowych najsilniejszej partii opozycyjnej w Polsce.

Jeśli ktoś myślał, że Schetyna „intronizował” K.M.U. bez wymuszenia wcześniej pełnej akceptacji wrocławskich struktur swej partii, to się mylił. O wsparciu Schetyny zadecydować miały niejawnie sondaże wskazujące, że w konserwatywnym Wrocławiu tylko ktoś z centrum może pokonać kandydata PiS.

Aleksandra Chybicka, posłanka PO i dotychczasowa „murowana kandydatka” PO we Wrocławiu, wycofała się bez oporu i oddała nawet Ujazdowskiemu do dyspozycji swój zespół pracujący nad pomysłami dla miasta. O tym, że Chybicka jest fatalnym kandydatem, słabo wypadającym na wiecach, szepetano

■ nad Odrą od dawna. Gwoździem do jej politycznej trumny była decyzja Chybińskiej o wyjęciu karty poselskiej w czasie głosowania w sprawie skierowania do komisji feministycznego projektu „Ratujmy kobiety”, co wyjaśniła rozbierającymi słowami: „Nie sądziłam, że mój głos będzie miał wpływ na cokolwiek”.

O ile Chybińska poddała się bez walki, o tyle wrocławska lewica spod znaku KOD i feministek uznała inwestyturę Schetyny dla Ujazdowskiego za policzek. „Schetyna wywrócił stolik, na którym targowano się, kto ma być kandydatem zjednoczonej opozycji. Nic dziwnego, że mamy prawo być wściekli” – mówi polityk Nowoczesnej. Władysław Frasyniuk zagrzmiał: „Rozczarowanie Kazimierza Ujazdowskiego faktem, że nie otrzymał propozycji stanowiska w rządzie PiS, nie może być dla niego przepustką do fotela prezydenta Wrocławia”. I dalej: „Potrzebujemy człowieka, który z mieszkańcami Wrocławia nie będzie się komunikował za pomocą kościelnej ambony”. Liderka czarnych marszów Marta Lempart ogłosiła, że wobec startu Ujazdowskiego rozważa własny start w wyborach.

Ideę startu nad Odrą kandydata lewicy na złość Schetynie wsparł Marek Beylin. Czołowy publicysta „Wyborczej” nazwał Ujazdowskiego „kandydatem przeszłości i politycznej rozpacz w Platformie”. I zawyrokował: „Wielu demokratycznych wyborców odstrasza jego niechęć do emancypacji, praw kobiet i mniejszości obyczajowych oraz antyaborcyjny fundamentalizm. [...] Jednak zamiast kląć i biadolić, powinny teraz dowieść, że stać je na własną politykę”.

Politycy wrocławskiej Platformy znający tutejsze realia wzruszają ramionami na takie rady z Warszawy. „Lewica się nie dogada – więcej tam wodzów niż Indian. A we Wrocławiu z PiS-em wygra tylko ktoś taki jak Ujazdowski, a nie jakaś feministyczna radykałka. A wrzaski Frasyniuka, że wystawiliśmy kandydata wspieranego z ambon, tylko nastawi dobrze do Ujazdowskiego wrocławski Kościół”.

Coś w tym jest. Sondaż Instytutu Badań Samorządowych ogłoszony 10 kwietnia wskazuje, że gdyby wybory we Wrocławiu odbyły się obecnie, w pierwszej turze nieznacznie zwyciężyłby kandydat PO Kazimierz Michał Ujazdowski (18,69 proc.) przed kandydatką PiS Mirosławą Stachowiak-Różecką (18,12 proc.). Mniejsze szanse miałby Michał Jaros wspierany przez Nowocze-

sną, SLD i PSL (14,02 proc.) i uznawany za kandydata Dutkiewicza – Jacek Sutryk (9,35 proc.), za którym stoi Dolnośląski Ruch Samorządowy.

Platformersi marzą, by K.M.U. dotarł do drugiej tury, licząc, że potem poprze go cała opozycja na zasadzie „każdy, byle nie PiS”. Tak być może, ale tak być nie musi.

Pytanie, kogo wystawi PiS. Za faworyta uważana jest posłanka Mirosława Stachowiak-Różecka, która cztery lata temu przegrała z Rafałem Dutkiewiczem stosunkiem 45,28 do 54,72 proc. Jednak są i tacy we wrocławskim PiS, którzy proponują wystawić Jarosława Obremkiego, dziś senatora rządzącej partii, ale wcześniej długoletniego współpracownika

**Ujazdowski deklaruje,
że niezwykle serio podchodzi
do obecnych wyborów.
Zapowiada oddanie mandatu
europoła**

Dutkiewicza we władzach miasta, a potem szefa wrocławskiej rady miejskiej. Zarówno będąca 10 lat radną Suchecka-Różecka, jak i znający miasto od podszewki Obremski mogą boleśnie punktować wiedzę Ujazdowskiego o problemach miasta.

Gdyby jednak Jarosław Kaczyński wystawił Suchecką-Różecką, to ta ma szansę na wspaniały plakat wyborczy. W listopadzie 2014 r. Ujazdowski, wówczas lojalny poseł PiS, ogłosił na Twitterze: „Jeśli chcesz, aby we Wrocławiu doszło do demokratycznego wyboru w II turze – głosuj teraz na Mirosławę Stachowiak-Różecką”.

Ujazdowski tweet sprzed lat skasował, ale internauci go na czas skopiowali. „Tylko brać na bannery” – śmieje się lokalny działacz PiS.

ISĆ NA CAŁOŚĆ

Ujazdowski deklaruje, że niezwykle serio podchodzi do obecnych wyborów. Zapowiada oddanie mandatu europoła. Jeśli przegra, to ma wycofać się z polityki na rzecz pracy uniwersyteckiej.

Jednak niewykluczone, że ma jeszcze bardziej dalekosiężne plany. Na konferencję w maju 2017 r. zaprosił do dyskusji przedstawicieli tych środowisk intelektualnych prawicy, które zachowują wobec PiS dystans i marzą o trze-

ciej drodze – poza rywalizację PO-PiS. Bliskim współpracownikiem K.M.U. jest Rafał Matyja, autor książki „Wyjście awaryjne”, w którym wzywa do racjonalizacji polskiej polityki wbrew zarówno Kaczyńskiemu, jak i liderom Platformy.

Tyle że Ujazdowski, przyjmując propozycję Schetyny, zbliżył się znacząco do PO. A w kampanii feministki będą egzaminować go z poprawnościowej ortodoksji. I tu kompromisy moralne Ujazdowskiego z Platformą nie będą łatwe. Niedawno Bartosz Arłukowicz, niegdyś SLD, a dziś w PO, ujawnił, że warunkiem udzielenia poparcia przez jego partię Ujazdowskiemu była jego deklaracja, że jeśli Rada Miasta Wrocławia przyjmie program współfinansowania zabiegów in vitro, to Ujazdowski miał obiecać, że nie zrobi nic, by ten program zablokować.

Sam Ujazdowski wyjaśnia swoje stanowisko tak: „Na razie Wrocław nie okazuje empatii wobec ludzi borykających się z bezpłodnością. Ja w żadnym razie nie będę oponował przeciwko decyzjom rady miasta, która będzie znajdować – mam nadzieję – skuteczne formy radzenia sobie z bezpłodnością”.

Taka ideowa elastyczność na pewno nie spodoba się konserwatywnym wyborcom, a feministek raczej tym nie kupi. Jednak K.M.U. liczy na wyborców środka i dodatkowo zerka ku wyborcom wyczulonym na kwestie społeczne.

Niedawno ogłosił, że jest gotowy do rozmów z wrocławską lewicą na temat „redukcji krzywdy społecznej”. Czy jednak lewicowcy zgodzą się na rozdzielanie kwestii społecznych od obyczajowych? Co robi, gdy lewica oprócz tematu „krzywdy społecznej” zapyta go o udział w miejskich homoparadach? Rok temu organizatorzy Marszu Równości zaproponowali na paradę prezydenta Dutkiewicza. Feministki uznały wystawienie K.M.U. za złamanie niepisanej zasady, że Platforma przesuwać może się tylko w lewo, i zapewne będą mu psuć kampanię. Jeśli „dziewuchy” będą to robić agresywnie, to Ujazdowski może tylko zyskać. Jeśli będą umiały punktować jego niekonsekwencje ideowe – to mogą być kłopotliwe.

Kampania będzie wreszcie testem dla charyzmy Ujazdowskiego, polityka dotąd nieznanego z jej nadmiaru. Z chwilą nominacji ze strony Schetyny zyskał chyba największą polityczną szansę życia. Jednak pocałunek PO może być też pocałunkiem śmierci w dalszej politycznej karierze.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wakacje z najlepszym #BluView nad Bałtykiem

Radisson Blu Resort Świnoujście, położony zaledwie 50 m od piaszczystej plaży, to ikona kurortu położonego na 44 wyspach. Pokoje z widokiem na Bałtyk, restauracje, bary, kawiarnia oraz basen z iluzją nieskończoności, jacuzzi i sauną zachęcają do wypoczynku oraz błogiego relaksu

POZWÓL OBUDZIĆ SIĘ MORSKIEJ BRYZIE

Hotel oferuje 340 pokoi i apartamentów, których aranżacja nawiązuje do świeżości żywiołu wody i płynnych kształtów dna morskiego. Z pokoi rozciąga się oszałamiający widok na morze, który można podziwiać z okien oraz prywatnego tarasu. Dach hotelu z basenem i panoramiczną sauną jest zarezerwowany wyłącznie dla gości hotelu. Dodatkową atrakcją – tylko dla odważnych – jest Sky Molo, szklany i podniebny taras położony 50 m n.p.m. Restauracja The Larder zachwyci pysznymi i zdrowymi posiłkami, a wyjątkowych doznań dostarczy wizyta w restauracji Oyster, która słynie z wyszukanych

amuse-bouche oraz z siedmiodaniowego menu degustacyjnego. Dopełnieniem wypoczynku będą kojące zabiegi i rytuały bazujące na naturalnych kosmetykach w luksusowym BluSPaCe wellness.

BLU DLA DZIECI

Radisson Blu Resort Świnoujście to nie tylko idealny hotel na rodzinny wypoczynek z najlepszym widokiem na Bałtyk. To przede wszystkim miejsce z wyjątkowymi atrakcjami dla najmłodszych, które gwarantują świetną zabawę. Znajdują się tutaj: Kids Club, ścianka wspinaczkowa, minikino, mały gaj, sala gier. Amatorzy wodnych przygód mogą skorzystać z Baltic Park Molo Aquapark z pierwszą w Polsce falą do surfingu.



Aby dokonać rezerwacji, skontaktuj się z nami bezpośrednio: 91 40 40 700 lub przez stronę reservations.swinoujscie@radissonblu.com. Więcej na: www.radissonblu.com/pl/resort-swinoujscie.

Z Adamem Andruszkiewiczem, posłem koła Wolni i Solidarni rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Gdy wstępował pan do koła Wolni i Solidarni, stwierdził pan: „Chciałbym być bliżej obozu Zjednoczonej Prawicy, aczkolwiek uważam, że muszę jeszcze troszeczkę nauczyć się tej pracy, zanim dołączę do obozu rządzącego”. Jak idzie nauka i kiedy jakiś egzamin?

ADAM ANDRUSZKIEWICZ: Myślę, że nauka idzie dobrze. Można to stwierdzić chociażby na podstawie mojej aktywności poselskiej. Jestem na podium, jeżeli chodzi o liczbę złożonych interpelacji. To pokazuje, że jestem w gronie najaktywniejszych posłów Sejmu RP.

Dobrze, ale z tej pańskiej deklaracji wynika, że chodzi nie tyle o naukę bycia posłem, ile o naukę bycia posłem dobrej zmiany. Kiedy zaszkodzi pan, by wstąpić do PiS?

W tym momencie nie mam takich planów. Odpowiada mi działalność w ramach Wolnych i Solidarnych. Pod kątem wolności i niezależności konkretnych posłów koło poselskie marszałka Morawieckiego przypomina mi trochę mój poprzedni klub, czyli Kukiz'15. Różnica polega na tym, że

Tylko dlaczego mieliby przechodzić akurat do kilkuosobowego koła WiS, zamiast od razu do PiS?

W ramach koła poselskiego łatwiej się przebić indywidualnie niż w ramach dużego ugrupowania, takiego jakim jest PiS. Ponadto PiS jako partia rządząca ma nieco inne ramy działania.

Według raportu, który na łamach „Do Rzeczy” przedstawił Marcin Makowski, jest pan najpopularniejszym polskim politykiem, przynajmniej w Internecie. Liczba polubień pańskich wpisów w mediach społecznościowych przewyższa liczbę polubień kancelarii premiera i partii PiS razem wziętych. Może w takim razie to jednak obóz rządzący mógłby się od pana czegoś nauczyć, a konkretnie: sprawnego poruszania się w świecie wirtualnym?

Ja oczywiście w pokorze i ze skromnością także służę swoją wiedzą i umiejętnościami docierania do społeczeństwa. Mam wrodzoną umiejętność komunikowania się z młodymi ludźmi. Społeczność internautów docenia nie tylko moją aktywność, lecz także autentyczność. Moja popularność w sieci wynika z tego, że jestem naturalny, że nie można mnie nazwać produktem

Paweł Kukiz

teraz mogę – kiedy uznaję za słuszne – wspierać polski rząd i nikomu nie muszę się z tego tłumaczyć. Dlatego inwestuję politycznie w Wolnych i Solidarnych. Jesteśmy niewielkim kołem, ale w ciągu pół roku udało nam się powiększyć stan osobowy o sto procent: było trzech, teraz jest sześciu posłów. To jednak nie koniec. Prowadzimy rozmowy z kolejnymi parlamentarzystami, których chcielibyśmy zaprosić do współpracy.

Z kim konkretnie?

Nie chcę w tej chwili ujawniać.

To z jakich ugrupowań?

Jesteśmy otwarci na różne ugrupowania. Marszałek Morawiecki ma tę zaletę, że potrafi łączyć ludzi bez względu na poglądy polityczne. Zgłaszają się do nas posłowie, którym nie do końca odpowiada sposób, w jaki funkcjonują ich ugrupowania. Tyle mogę powiedzieć.

jakiejś agencji marketingowej. Po prostu pozostałem sobą. Partie polityczne często zatrudniają speców od PR, którzy traktują człowieka jak towar do sprzedania. To nie działa. Trzeba być autentycznym.

A jednak popularność w świecie wirtualnym to jeszcze nie to samo, co poparcie w świecie realnym. Nie wiadomo, czy lajki w przyszłości przełożą się na głosy.

Internet już teraz odgrywa wielką rolę w polityce. To pokazał rok 2015. Popularność Andrzeja Dudy i PiS w Internecie przełożyła się w dużej mierze na ich zwycięstwa wyborcze. Mój najpopularniejszy w tym roku post dotyczył akcji German Death Camps i uzyskał zasięg 6 mln odbiorców. To tegoroczny rekord na polskim Facebooku. Przy czym nie ograniczam się wyłącznie do kontaktów wirtualnych. Jeżdżę po Polsce, spotykam się z sympatykami. Internetowa popularność zdecydowanie ma przełożenie na realne poparcie.

To może przydałby się pan PiS? Nie dość, że traci w Internecie, to jeszcze coraz częściej jest krytykowany za politykę ustępstw. A pan jest popularnym w świecie wirtualnym prawniczym radykałem. Jak znalazł...

Ja chcę się teraz skupić na budowie nowej siły na polskiej scenie politycznej. Uchylę rąbka tajemnicy – w maju ogłoszę powstanie nowego, własnego stowarzyszenia. W jego szeregach znajdzie się miejsce dla osób, które mają poglądy patriotyczne i chcą się zaangażować w działalność społeczną, niekoniecznie w sztywnych ramach partii, ale właśnie w takiej luźniejszej formule. Chcę policzyć szable – zobaczyć, jak dużą grupę uda mi się zmobilizować do działania pod wspólnym szyldem. Prognozuję, że będzie to kilka tysięcy osób. A to by oznaczało, że powstanie największe stowarzyszenie na polskiej prawicy. Mając za sobą taką siłę, będę mógł skuteczniej oddziaływać na polską scenę polityczną.

Kolejne stowarzyszenie na prawicy? A co z Endecją?

W jaki sposób? Zabierze pan ze sobą do nowego stowarzyszenia część Endecji? Czy do Wolnych i Solidarnych? Można już się pogubić w tych pańskich inicjatywach. Prawica, jak zwykle, dzieli się na coraz mniejsze grupy...

Wolni i Solidarni to narzędzie do zaistnienia w Sejmie. Natomiast ja zbuduję stowarzyszenie, które będzie adresowane do szerszego, ponadpartyjnego spektrum prawicy. I będzie dużą siłą.

A jaki program będzie miało to stowarzyszenie?

Chciałbym, aby stało się ono przede wszystkim platformą debaty programowej, bo – jak pan słusznie zauważył – prawica jest bardzo podzielona pod względem poglądów, chociażby gospodarczych. Punktem odniesienia do debaty może być chociażby plan Morawieckiego.

Czyli zamiast przedstawić konkretny program, wokół którego będzie się można zrzęzać, chce pan założyć de facto klub dyskusyjny dla prawnicowców?

Do polityki wszedłem poprzez czynną działalność w aktywnych organizacjach,

Adama Andruszkiewicza, Patryka Jakiego, Antoniego Macierewicza i Annę Sobecką: wszyscy są bardziej radykalni niż główny nurt PiS, wszyscy są też bardzo popularni w sieci. Według portalu to właśnie na tych nazwiskach oprze się nowa partia na prawo od PiS.

To bzdury... Nie zgadzam się, że łączy nas radykalizm. To są po prostu normalne poglądy. Wszystkich wymienionych polityków łączy postulat dokończenia rozliczeń. Jeżeli uznamy, że to jest postawa radykalna, to tym samym zepchniemy ją na margines. A przecież dokończenie rozliczeń i wymiana elit to niezbędne działania.

Zaprosi pan do swojego stowarzyszenia Macierewicza, Jakiego, Sobecką?

Zachęcam do współpracy każdego, kto będzie zainteresowany moją ofertą polityczną. Nie rozmawiałem natomiast z wymienionymi politykami – zależy mi bardziej na Polakach w terenie niż znanych nazwiskach.

Ostro krytykuje pan opozycję totalną. A ma pan coś do zarzucenia rządzącym?

nie podaje mi ręki

Problem w tym, że oprócz takich ludzi jak ja, wiążących przyszłość z WiS, zrzeszeni są w niej również politycy klubu Kukiz'15. A ja nie widzę w tej chwili możliwości współpracy z Pawłem Kukizem, bo dość mocno mi naubliżał, gdy odchodziłem z szeregów jego ruchu... Oczywiście dobro Polski jest ponad naszymi podziałami, dlatego kiedy będzie mowa o jakichś konkretnych projektach, będę jak najbardziej za tym, by dojść do jakiegoś porozumienia. Jak na razie jednak trudno mi sobie wyobrazić rozmowę z człowiekiem, który, gdy mijam go na sejmowym korytarzu, udaje, że mnie nie zna.

Paweł Kukiz nie podaje panu ręki?

Nie. A ja, w swojej skromności, nie mam zamiaru się narzucać. Nie będę za nim biegał. Natomiast z Endecją jest niewątpliwie problem, który jednak zostanie rozwiązany jeszcze w tym miesiącu.

a nie w klubach dyskusyjnych. W ramach stowarzyszenia z pewnością będziemy prowadzić różne akcje, w tym także uliczne, tyle że bez przemocy – to nie będą zadamy, bo nie zamierzamy zniżać się do poziomu Obywateli RP.

A z jakimi hasłami na sztandarach wejdziecie na scenę polityczną?

Dla mnie ważnym celem jest wymiana elit w państwie. Nie ukrywam, że swój przekaz będę adresować przede wszystkim do młodych ludzi. Na ich poparcie liczę. Chciałbym zbudować poważną akademię, która kształtowałaby nowe pokolenie. W Polsce jest wielu młodych ludzi, którzy mogliby efektywnie pracować dla państwa, ale nie mają siły przebicia. Chcę im w tym pomóc i być ich ambasadorem.

Portal OKO.press przeanalizował polski Internet prawnicowy. Wyszło mu, że wiele łączy

Według mnie PiS niepotrzebnie zakopał się w tematach historycznych. A przecież to właśnie rządzący mają narzędzia do narzucania konkretnych wątków w debacie publicznej. Historia jest ważna, ale nie może być tak, że przez pół roku rozmawiamy wyłącznie o ustawach związanych z polityką historyczną. Młodzież chce dyskutować o przyszłości, a nie o przeszłości. O tym, jak polepszyć warunki życia w Polsce. Nominacja Mateusza Morawieckiego na szefa rządu dawała nadzieję, że będziemy rozmawiać przede wszystkim o gospodarce. Widzę, że premier próbuje wrócić do tego tematu, ale PiS jest tak dużym ugrupowaniem, iż trudno wszystkim frakcjom narzucić jednolitą narrację, i dlatego wciąż na pierwszy plan wysuwają się kwestie historyczne. Niestety, PiS zaczyna się ludziom kojarzyć przede wszystkim z przeszłością. A to błąd, bo wyniki gospodarcze premiera Morawieckiego są bardzo dobre.

■ Za to gdyby pan miał wpływ na działania PiS, zapewne forsowałby pan program „Cela+”?

Ten program będę forsował zawsze, niezależnie od tego, w jakiej się znajdę organizacji. To będzie też jeden z priorytetów programowych mojego stowarzyszenia. W mojej opinii nie będzie silnego, suwerennego państwa bez rozliczeń, bo politycy, których ominęła karząca ręka sprawiedliwości, dalej będą funkcjonować w życiu publicznym i je psuć. Niedawno w sprawie korupcji zostali aresztowani byli prezydenci Francji i Korei Południowej. Nikt nie mówił, że to zamach na demokrację. Dlaczego my nie jesteśmy w stanie rozliczyć swoich skorumpowanych polityków?!

Zapowiedział pan, że zmobilizuje „tysiące młodych ludzi”, aby Donald Tusk nigdy nie odzyskał władzy w Polsce. Na razie pan ma dużo lajków, a Tusk – wysokie poparcie...

Donald Tusk w czasach swoich rządów zmobilizował wielu młodych ludzi do działania przeciwko niemu. Zasłużył na to tym, co zrobił z Polską – bezrobocie na poziomie 14 proc., masowe wyjazdy dziesiątków tysięcy Polaków za granicę, afery, katastrofa smoleńska... Nie można go lekceważyć. Nie jestem zwolennikiem teorii spiskowych, dlatego uważam, że jego wysokie sondaże nie są jedynie wynikiem jakichś manipulacji. Tusk to naprawdę niebezpieczny człowiek. Jego powrót do władzy byłby wielką katastrofą dla kraju. Jestem po wstępnych rozmowach i wiem, że uda mi się zmobilizować tysiące ludzi przeciwko Tuskowi. Zablokowanie jego powrotu do władzy będzie jednym z celów mojego stowarzyszenia.

Najpierw rejestracja stowarzyszenia. A co dalej? Wystartujecie w wyborach parlamentarnych jako partia?

Na pewno moim celem będzie wprowadzenie kilku nowych posłów do polskiego parlamentu w roku 2019, by pokazać nową jakość w polskiej polityce. Żeby mieć na to jakiegokolwiek szanse, będę rozważał sojusze taktyczne z innymi ugrupowaniami. Konkretnie decyzje zapadną po wyborach samorządowych, które według mnie przemeblują polską scenę polityczną.

Czy posłowie, którzy przechodzą z klubu do klubu, powinni być pozbawiani mandatu poselskiego? Paweł Kukiz twierdzi, że wyznawał pan takie poglądy, zanim sam pan zmienił barwy...

Wielokrotnie bezskutecznie apelowałem do niego, by udowodnił, że naprawdę tak mówiłem. To byłby szczyt tak potępia-

nej przez Kukiza partiokracji, gdyby poseł był związany z liderem tak mocno, że nie mógłby przejść do innego ugrupowania w przypadku, gdy lider zmienia poglądy. A przecież w jego otoczeniu są takie postaci jak Stanisław Tyszka, który wyraźnie dryfuje w kierunku opozycji totalnej, prowadzi konkretne działania kulturalne w tym kierunku...

Jakie?

Jeszcze będzie czas, by ewentualnie ujawnić konkrety. Na razie powiem tyle, że pan Tyszka próbował blokować mój udział w debacie publicznej, donosił na mnie Kukizowi, że chcę głosować za reformą sądownictwa, robił z tego wielką awanturę. Gdybym został w tym klubie, musiałbym zmienić poglądy.

Moim celem będzie wprowadzenie kilku nowych posłów do polskiego parlamentu w roku 2019, by pokazać nową jakość w polskiej polityce

Paweł Kukiz powiedział mi w wywiadzie: „Poseł Andruszkiewicz [...] bez żadnej mojej sugestii, publicznie deklarował, że nigdy nie opuściłby klubu Kukiz’15. Zapewniał mnie o swojej lojalności, zarzekał się, że nigdy w życiu nie potrafiłby zdradzić. [...] ludzi, którzy przechodzą z klubu do klubu, nazywał zdrajcami”. To prawda?

Paweł Kukiz zmienił podejście do mnie. Mniej więcej do wiosny zeszłego roku bardzo mocno promował mnie na swoim profilu facebookowym, udostępniał moje wypowiedzi i chwalił mnie, twierdząc, że jestem tą „nową jakością” w polskiej polityce, o którą mu chodziło. To pan Tyszka nastawił go przeciwko mnie. Nagle Paweł przestał mnie popierać i zaczął nalegać, bym nie pokazywał się w mediach. Uznałem więc, że mój czas w klubie Kukiz’15 dobiegł końca.

Pan zarzuca Tyszcze, że skręca w lewo, a sam pan skrzył w stronę PiS, i to miał być jeden z powodów pańskiego odejścia.

Nieprawda. Zawsze miałem takie same poglądy. Działam w polityce nie od momentu wejścia do Sejmu, ale od 15. roku życia.

Przed pańską nielojalnością publicznie ostrzegali Krzysztof Bosak. Rzeczywiście był pan już w Młodzieży Wszechpolskiej, Ruchu Narodowym, u Kukiza, teraz WiS i jeszcze nowe stowarzyszenie... Dużo tego.

Sam zrezygnowałem z funkcji, które pełniłem w MW i RN. Od dłuższego czasu miałem z narodowcami spór ideowy. Krytykowałem tak nieodpowiedzialne inicjatywy jak manifestacja pod ambasadą Izraela w atmosferze konfliktu wokół ustawy o IPN. Obawiałem się prowokacji wymierzonych w państwo polskie. Od dłuższego czasu wskazuję, że działania RN są po prostu głupie. W polityce trzeba iść do przodu i wyjść z piaskownicy. Jako uczestnik debaty publicznej biorę udział w poważnych dyskusjach, zarówno na antenie telewizji, jak i podczas spotkań z setkami ludzi w całej Polsce. Tymczasem RN dalej bawi się w politycznej piaskownicy, organizując niepoważne manifestacje, paląc flagi, pokazując się ze skandalicznymi transparentami, takimi jak ten, adresowany do prezydenta, o treści: „Zdejmij jarmułkę, podpisz ustawę”. To jest dziecinada, z którą nie chcę mieć nic wspólnego.

Co jakiś czas wypomina się panu „kilometrówki”. Trzeba było jeździć pociągami...

To był klasyczny fake news, mający oczernić mnie w oczach Polaków. Każdego, kto zarzuca mi defraudację, zachęcam, by poszedł z tym do prokuratury. Kancelaria Sejmu przyjęła moje rozliczenia. A mówienie, że wydałem na transport najwięcej z posłów, to obrzydliwe kłamstwo. Wydałem 38 tys. zł, podczas gdy np. pan Budka wydał aż 160 tys. na same przeloty! Takich przykładów jest więcej.

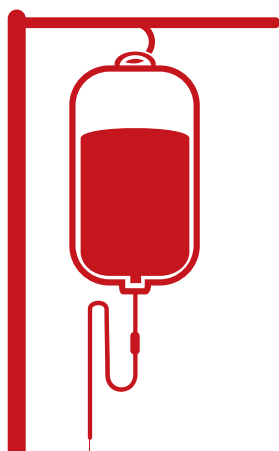
W jednym z wywiadów użył pan takiej oto metafory: Polska jest obecnie w przedpokoju, pytanie tylko, czy uda nam się wejść do salonu, czy wyproszą nas za drzwi... Czego nam brakuje, by odpowiedź była dla nas pozytywna?

Jesteśmy obciążeni myśleniem, że sojusze można budować na pięknej historii. Tymczasem podstawa to inwestycje, silna pozycja gospodarcza. Polska musi być logistycznym centrum Europy, musimy ściągać kapitał ludzki i finansowy. Potrzebne nam są Via Baltica i Via Carpatia, szybkie koleje. Jestem za niewidzialną ręką rynku, ale pod kontrolą widzialnej ręki państwa. Tylko potęga ekonomiczna pozwoli nam wejść na salony, czyli do pierwszej ligi europejskiej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

*Czasami
życie zależy
od rzeczy...*

1%



Wpłacając 1% dla Caritas Polska – **KRS 0000198645**,
wspierasz zakup specjalistycznego, kosztownego
sprzętu nierefundowanego przez NFZ, który będzie
dostępny dla wszystkich potrzebujących pomocy
w 114 wypożyczalniach Caritas na terenie całej Polski.

jedenprocent.caritas.pl



Przekaż 1% podatku dla Caritas Polska. Wpisz w formularzu PIT numer **KRS 0000198645**



Rafał A. Ziemkiewicz

Tyle już razy ogłaszano mnie antysemitą, a wciąż nie wiem, co to właściwie znaczy. Może dlatego, że rozmyte i niejasne jest znaczenie słowa „Żyd”?

Bo przecież, np., najbardziej krzykliwa część środowiska, które w Polsce korzysta z przywilejów tej samoidentyfikacji, w ogóle żadnymi Żydami nie jest.

Pamiętam, bo obserwowałem z niejakim rozbawieniem rodzenie się tego środowiska w latach 90. Pojawiła się grubsza kasa od różnych Lauderów czy Rudemanów, ruszyło odtwarzanie po dziesięcioleciach zmarłych wskutek historycznych tragedii żydowskich gmin oraz instytucji i nagle się okazało, że największą, nieprzewidzianą przeszkodą w tym dziele jest brak w Polsce Żydów. Trzeba więc było nieco spuścić z halachicznej surowości i brać każdego, kto zechciał odkryć u siebie żydowskie pochodzenie, mocno przymykając oko na szczegóły.

Przypominało to nieco falę poszukiwania niemieckich przodków po sławnym dealu Gierka z Brandtem, kiedy to w zamian za pożyczone dewizy pierwszy sekretarz zgodził się wypuszczać do Niemiec „przesiedleńców” (Kto zna tę śmieszno-straszną opowieść Pawła Konnaka o Polakach klnących w niemieckim archiwum najplugawszymi słowami nieżyjącego dziadka, bo właśnie okazało się, że tuż przed końcem wojny zdezerterował do Andersa, przekreślając tym nadzieje potomków na obywatelstwo „rajchu”?). Chociaż oczywiście, skala zjawiska była dużo mniejsza, ograniczona do elit. Ładnie nazywało się to „odzyskiwaniem rodzinnej pamięci” i było nawet, jako fenomen, tematem wielu publikacji w zachodniej prasie – oczywiście pomijających ten drobiazg, że „odkrycie żydowskich korzeni” daje wymierne korzyści. Na tyle wymierne, że kryteria żydowskości naciągano niekiedy bezlitośnie, a pewnie nie brak przypadków, gdy zmyślano ją w ogóle.

Niekoniecznie więc każdy, kto dzięki odzyskaniu pamięci zyskał możliwość korzystania z hojności mecenasów,



Chęć bezpieczeństwa

sponsorujących odtwarzanie wielusetletniej tradycji „polinu”, rzeczywiście miał coś wspólnego z judaizmem. Jednak za to nie miała ich część miała „background” komunistyczny. Jakoś tak się bowiem złożyło, że do kulturowania za pieniądze Lauderów i Rudemanów żydowskiego dziedzictwa szczególnie zapalę poczuł w tej dziejowej chwili potomkowie niepewnej swej przyszłości PRL-owskiej nomenklatury i oddanej sprawie socjalizmu części „inteligencji pracującej”.

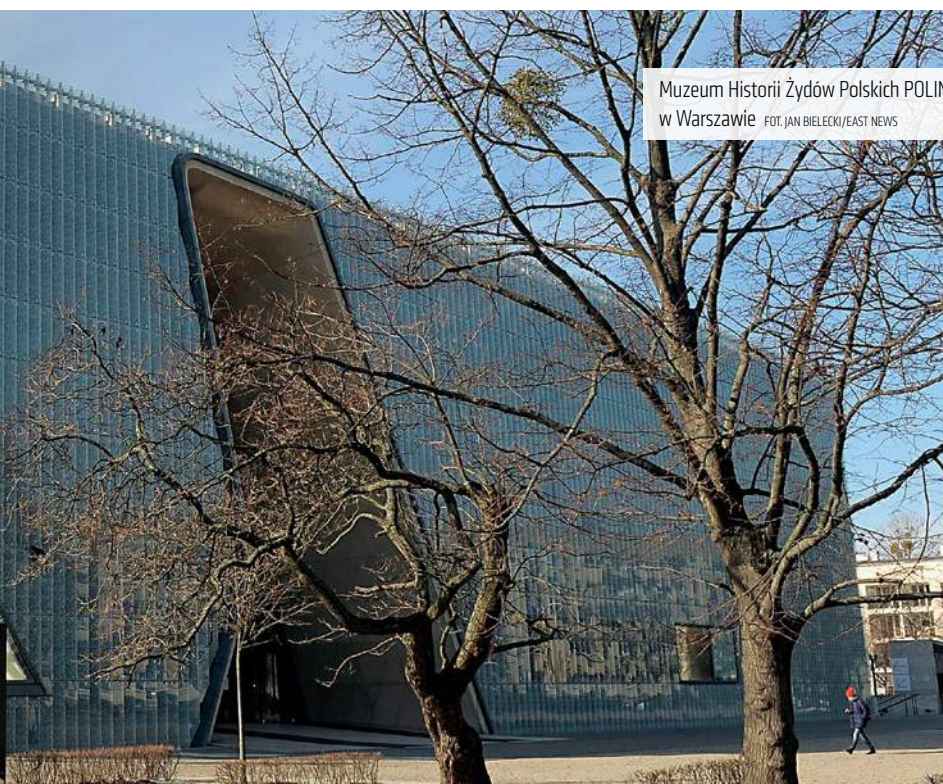
Typowy polski „Żyd zawodowy” (określenie Antoniego Marianowicza) nie wywodzi się więc od żadnego ze sławnych cadyków ani rabinów. Raczej od ludzi pokroju Jakuba Bermana, który przed wojną, choćby się musiał zapożyczyć, kupował zawsze w piątek kielbasę i demonstracyjnie obżerał się nią pod synagogą, tak żeby widział to jego wychodzący ze świątyni ojciec. I taki właśnie kulturowy „byt”, przez przedwojennych „antysemitów” nazwany „żydokomuną”, określa jego świadomość dużo bardziej niż Talmud i Tora.

@

Kiedy wydałem książkę „Michnikowszczyzna. Zapis choroby”, w świętoszkowatym „Tygodniku Powszechnym” prof. Michał Głowiński, specjalista od mowy nienawiści w teorii i praktyce,

raczył dać wykładnię interpretacyjną: Ziemkiewicz nienawidzi Michnika po pierwsze dlatego, że Michnik jest Żydem, a po drugie, z zawiści, że Michnik będąc Żydem, więcej osiągnął od etnicznego Polaka, Ziemkiewicza (skąd Głowiński wie, że jestem etnicznym Polakiem, pojęcia nie mam – może tam u nich też chodzą jakieś „listy Aryjczyków”?). Głowiński nie był z tą narracją odosobniony; od Stefana Bratkowskiego dowiedziałem się np., że jestem w jednej osobie Gontarz, Kur i jakiś pułkownik, nie pomnę nazwiska, równie jak dwaj pierwsi zasłużony w demaskowaniu „syjonistów” w marcu 1968 r. Bóg widzi – i każdy, kto pofatygował się przeczytać „Michnikowszczyznę”, wciąż dostępną w dobrych księgarniach – jak bardzo kojarzenie tej książki z antysemityzmem jest chybione, ale w debacie publicznej opartej na „dyskursie wykluczania” nie ma to przecież znaczenia. Kto krytykuje Michnika, nieważne za co i jak, ten antysemita. Także każdy, kto przeciwstawia się „Gazecie Wyborczej”, kto domaga się lustracji i dekomunizacji (bo wiadomo, że tylko nabiera w ten sposób rozpędu do przygotowywanych pogromów), kto 11 listopada chce maszerować, zamiast blokować, i tak dalej, i temu podobne.

Przez pewien czas, jak przystało na dobroduszną z natury polską pierdołę



(zdradzę, że prof. Głowacki z tym moim pochodzeniem trafił), tłumaczyłem to sobie naiwnie różnymi żydowskimi traumami i płynącym z nich przewrażliwieniem. Wierzyłem, że trzeba zatem spokojnie, rzeczowo tłumaczyć przeciwnikom, iż się mylą, i wskazywać dokładnie, o co naprawdę chodzi. Jednak lata mijają, prym w opisywanym środowisku przejęło pokolenie, które nigdy nie mogło od żadnych esbeków słyszeć, żeby „wyp... do Izraela”, a gorliwość w okładaniu Polaków pałąk oskarżeń o odpowiedzialność za antysemityzm i historyczne zbrodnie nie maleje. Trudno nie nabrać pewności, że mamy do czynienia po prostu z ludźmi złej woli, cynicznymi kłamcami, którzy w płaszczk żydowskości ubierają się dla realizacji swoich interesów – a te interesy mają naturę bardzo podłą i mafijną.

Zwracałem wielokrotnie uwagę na istotne zjawisko, które wciąż jest niedostrzegane – zapewne dlatego, że polska debata publiczna bazuje na podziałach prostych jak cepem w łeb, wszyscy jej uczestnicy przywykli do kreślenia czarno-białych schematów i uporczywie się ich trzymają. Otóż środowisko, z którym przychodzi się nam od czasu do czasu zderzyć w obronie elementarnych polskich interesów: prawdy historycznej i obrony przed rozkradzeniem polskiego

majątku – choć gorliwie utożsamia się z żydostwem i chce uchodzić za jedyną reprezentację polskich Żydów przed światem i przed państwem polskim, nie stawia wcale żydowskiej lojalności najwyżej. Wyżej od niej jest lojalność wobec międzynarodowej lewicy, z założenia kosmopolitycznej i antyreligijnej.

Kiedy np. pisarz Günter Grass atakuje ostro Izrael albo gdy lewicowe organizacje walczą z islamskim terroryzmem nazwą żydowskim nazizmem – „Gazeta Wyborcza” staje po stronie lewicy jednoznacznie i mocno bez chwili namysłu, samym instynktem. A pogarda dla przodków chałaciarzy pokazana np. przez dr. hab. Bilewicza, tego właśnie, który stał się jednym z filarów marcowej kampanii muzeum POLIN („wciąż nie uporaliśmy się z brudnym, nieogolonym, odmiennym cywilizacyjnie chasydem, siedzącym w naszych drzewach genealogicznych” – „Powrót wypartego chałaciara”, „Krytyka Polityczna”, lipiec 2013 r.) nie jest mniejsza od pogardy okazywanej „polskiemu ciemnogrodowi”, któremu insynuowanie „wtórnego antysemityzmu” stało się życiową i bardzo profitującą misją badacza.

Oczywiście stroją się i on, i jego przyjaciele z POLIN w ten brzydzący ich chałat, podobnie jak wielbiąc „czyn rewolucyjny” ludu palestyńskiego, stroją

się od czasu do czasu w szaty przyjaciół Izraela. Jednak tylko dlatego, że to w politycznej i propagandowej wojnie bardzo skuteczna zbroja.

@

Sytuacja jest nowa i dla wielu zaskakująca. Przez wiele stuleci bycie Żydem na tyle się poza gettem nie opłacało, że na różne sposoby – niekoniecznie tak skrajne, jak robił to wspomniany na wstępie Berman – od żydostwa uciekano i próbowano mu zaprzeczać. Stąd napaść POLIN na Magdę Ogórek, że ośmieliła się wypomnieć ukrywane pokrewieństwo z Bermanem panu Borowskiemu, bazująca na stereotypie, w którym pytanie: „A jak on się naprawdę nazywa?” jest z zasady wymierzone w Żyda. To akurat bzdura. Kiedyś zrobiłem sobie listę osób publicznych, które zmieniły nazwiska, bo jest takich sporo: żadna z nich nie ukryła w ten sposób pochodzenia żydowskiego. Po co niby, skoro to dziś sam czysty zysk? Wspomniane osoby ukryły nazwiska chłopskie, „chamskie”, w rodzaju Wałach, Cielebąk, Lichota, Sikorka czy Sroka. To jest dziś wstyd i obciach.

Wbrew zasałemu stereotypowi dziś przebranki mają cel dokładnie odwrotny. A jak się już za Żyda przebrało i załapało, to nic nie jest ważniejsze niż wraz z innymi przebierańcami udowodnić, że jest się straszliwie prześladowanym, że Polacy nic a nic się od czasów Holocaustu nie zmienili, że uporczywie odmawiają przyznania się do odpowiedzialności za coraz liczniejsze przypisywane im zbrodnie. W takiej logice też utrzymane było świętowanie przez POLIN, ale i przez np. twórców różnych „iwentów” teatralnych, rocznicy marca 1968 r. Nie o tamten, historyczny marzec szło, tylko o wykazanie sponсорom, że oni tu, w prawicowo-katolickiej Polsce, zagrożeni przez szalejący antysemityzm, nadal potrzebują hojnego wsparcia. A może o pokazanie, że gdyby dla jakichś polityczno-majątkowych gier trzeba było światowym graczom dowodów „polskiego antysemityzmu”, to oni zawsze je tu chętnie i szybko sprostują? A może o sprowokowanie Polaków do tego, by naprawdę zaczęli Żydów nienawidzić, bo nic by przecież przebierańców lepiej nie uzasadniło i uprawomocniło?

Pewnie po trochu o wszystko, i o jeszcze parę innych, równie szemranych, spraw.

Niosąc pomoc



Agnieszka Niewińska

Wiele rodzin z niepełnosprawnymi dziećmi może się nimi opiekować w domu dzięki wsparciu organizacji pozarządowych

Kiedy zaglądamy do Wiktorii, śledzi w telewizji program przyrodniczy. Filigranowy piesek ułożył się między jej stopami. Nieduży respirator, który pomaga Wiktorii oddychać, pracuje tak cicho, że mam wrażenie, iż 17-letnia gdynianka oddycha sama. – Jest podłączona do respiratora przez większość czasu – mówi Katarzyna Jendernalik, mama Wiktorii, która czuwa nad nią dzień i noc. Oprócz respiratora dziewczyna korzysta także z urządzenia, które rejestruje natlenienie krwi, akcję serca. Gdy coś jest nie tak, maszyna uruchamia alarm, ale pani Katarzyna często reaguje, zanim jeszcze zrobi to automat. Kiedy zaczyna głośniejsz warczeć, już wie, że trzeba pędzić do ssaka, który udrożni drogi oddechowe Wiktorii. A to

nie wszystkie maszyny, które pomagają dziewczynie. Nastolatka nie jest samodzielnie, jest karmiona dojelitowo.

TYLKO 700 GRAMÓW

Wiktorii od urodzenia cierpi na encefalopatię – głębokie uszkodzenie mózgu. Towarzyszą jej także inne schorzenia, m.in. padaczka. Urodziła się jako wcześniak. Ważyła zaledwie 700 gramów. – A z ciążą wszystko było w porządku, spodziewaliśmy się zdrowego dziecka – przyznaje pani Katarzyna. – Po urodzeniu Wiktorii przez trzy miesiące leżała w szpitalu – wspomina.

Jeszcze jako maluch przeszła poważną operację wszczepienia zastawki do mózgu. Pierwsze trzy lata były dla rodziny najtrudniejsze, dowiadawali się o kolejnych pro-

blemach zdrowotnych córki. Dziewczynce, która długo leżała w inkubatorze, odklejała się siatkówka, zapadały się płuca, wciąż łapała groźne w jej stanie infekcje. Wtedy jeszcze rodzice próbowali samodzielnie karmić córkę. – To nie przynosiło efektu. Był taki moment, kiedy dwuletnia Wiktorii ważyła zaledwie 5 kg. Skóra i kości, nie chcę nawet wracać do tych wspomnień, wyrzuciłam zdjęcia z tamtego czasu – opowiada pani Katarzyna. Unormować stan córki udało się dopiero, kiedy lekarze zdecydowali o tracheotomii i żywieniu dojelitowym. W rodzinnym archiwum jest aż 50 wypisów szpitalnych Wiktorii.

Pani Katarzyna musiała zrezygnować z pracy zawodowej i poświęcić się opiece nad dzieckiem. W tej czteroosobowej rodzinie – bo Wiktorii ma młodszą sio-



FOT. FOTOLIA

przeciwodleżynowym, ssak, respirator, wózek, leżak kąpielowy... – Zakup tych wszystkich sprzętów, bez których nie moglibyśmy funkcjonować, nie byłby możliwy, gdyby nie pomoc organizacji pozarządowych – przyznaje pani Katarzyna. Kwoty idą w tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy złotych. Schodołaz (dofinansowany częściowo przez PFRON) to koszt 18 tys. zł, leżak kąpielowy – 1,7 tys. zł.

– Wydatków w przypadku dziecka niepełnosprawnego jest bardzo dużo, nawet takich prozaicznych jak na pieluchomajtki. NFZ przewiduje, że ze zniżką można kupić dwie sztuki na dzień, a potrzebnych jest czasem aż 10 – przyznaje pani Katarzyna.

Aby rodzinny budżet się dopiął, zbierają 1 proc. podatku, który przeznaczają np. na dodatkowe godziny rehabilitacji dla córki. Od dwóch lat rodzina jest też pod opieką stowarzyszenia SPES, które wypłaca jej comiesięczne stypendium, a także wyposażało ich w potrzebny do opieki nad Wiktorią sprzęt.

Stowarzyszenie SPES w tym roku wspiera 24 rodziny w ramach ogólnopolskiego Programu Pomocy Dzieciom. To rodziny, w których dziecko jest w ciężkim stanie klinicznym, jego funkcje życiowe podtrzymuje sprzęt medyczny – jest podłączone do respiratora czy karmione dojelitowo. Część z nich od urodzenia walczy z chorobą, inne ucierpiały w wyniku wypadku. – W 2012 r. zgłosiła się do nas pierwsza rodzina z dzieckiem w ciężkim stanie klinicznym. Ich dziecko przebywa w domu, opieka nad nim jest kosztowna, wyczerpująca, potrzebny jest drogi sprzęt. Stan dziecka jest niestabilny. Nawet drobna infekcja może doprowadzić do śmierci. Okazało się, że dla rodzin w podobnej sytuacji pomoc systemowa jest niewystarczająca. Zauważyliśmy tę lukę i stąd pomysł na Program Pomocy Dzieciom – mówi Monika Pinkowska ze stowarzyszenia SPES.

W ramach udzielanej przez SPES pomocy rodziny otrzymują comiesięczne świadczenie. – To nie jest zasiłek, ale narzędzie do pokonywania piętrzących się trudności dnia codziennego – podkreśla Pinkowska. – Inaczej też niż w przypadku zbiorów indywidualnych SPES tworzy fundusz stypendialny: odciąża to opiekunów i wyrównuje szanse zwłaszcza tych rodzin, które mają niższy status społeczny, są z mniejszych miejscowości, terenów wiejskich, doświadczają niedostatku – mówi. Rodziny ze stypendium nie muszą się rozliczać, zbierać paragonów,

co zajęciem opieką nad dzieckiem dorosłym zabrałoby cenny czas. – Jedni będą potrzebowali wydać te środki na leki, a inni na czynsz za mieszkanie. Wiemy, że rodziny dobrze wykorzystają stypendium, bo zanim zostanie im ono przyznane, spotykamy się z nimi, nawiązujemy relację, długo rozmawiamy o potrzebach i wspólnie wyznaczamy cele stypendialne. Zależy nam na przyznawaniu stypendiów tym rodzinom, które deklarują gotowość aktywnego działania na rzecz trwałej poprawy swojej sytuacji życiowej, które jednocześnie mają mniej sił i zasobów, by przebić się z prośbą o pomoc do opinii publicznej – mówi koordynatorka Programu Pomocy Dzieciom.

SPES pomaga też rodzicom zdobyć nowe kwalifikacje do pracy czy zmienić zajęcie na lepiej płatne. Pomaga także wtedy, kiedy rodzina ma problemy mieszkaniowe. Dzięki staraniom stowarzyszenia rodzina z Pleszewa dostała od gminy lokal komunalny, który SPES wyremontował. W przypadku rodziny z Mazur współpraca z gminą nie przyniosła efektu, dlatego stowarzyszenie kupiło mieszkanie, przekształcając je w mieszkanie chronione, i udostępniło rodzinie po przeprowadzeniu remontu.

SPES wielu rodzinom pomógł w likwidowaniu barier architektonicznych w mieszkaniach. W gdyńskim lokum państwa Jendernalików dofinansował remont łazienki, wymianę instalacji grzewczej. – To jest dla mnie gigantyczna zmiana – mówi pani Katarzyna, otwierając drzwi do łazienki, w której nie ma ani wanny, ani brodzika, za to stanęła ogromna kabina, do której można wjechać z Wiktorią na leżaku kąpielowym.

Jendernalikowie mimo niepełnosprawności starszej córki starają się żyć normalnie. Spacerują, jeżdżą na wycieczki. – Wiktoria jest częścią naszego życia i tak długo, jak długo z nami będzie, chcę, żeby była szczęśliwa – mówi pani Katarzyna. Marzy jeszcze o urządzeniu, które pomoże przenosić Wiktorię z łóżka na wózek, i o rodzinnych wakacjach w miejscu bez architektonicznych barier, z lekarzem i pielęgniarką, która zostanie z Wiktorią, kiedy zechcą wyjść gdzieś wieczorem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

strę – pracuje tata, zawodowy kierowca. Wiktoria – choć nie chodzi, nie mówi – jest codziennym towarzyszem pani Katarzyny. – Dużo z nią rozmawiam, opowiadam jej różne historie. Kiedy zmywam, zabieram Wiktorię w wózku do kuchni, kiedy robię pranie – do łazienki, a ona z zainteresowaniem śledzi moje ruchy. Uwielbia chodzić na spacer, zaciękawiona obserwuje otoczenie. Dla niektórych to zaskakujące, ale my mamy z nią kontakt. Wiemy, kiedy jest zadowolona, kiedy coś ją zainteresowało. Potrafimy ją nawet rozmieszyć do łez – dodaje.

PIĘTRZĄCE SIĘ WYDATKI

Salon w mieszkaniu państwa Jendernalików to w dużej części królestwo Wiktorii. Stoją tu specjalne łóżko z materacem

Stowarzyszenie SPES można wesprzeć, przekazując 1 proc. podatku: KRS: 00000 14574 lub wpłacając darowiznę na konto o numerze: 80 1240 2959 1111 0010 2904 3289.

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Z ojczymem – Krzysztofem Komedą – miał pan relacje kumpłowskie?

TOMASZ LACH: Tak je wykreował, bazując na swej wiedzy dyplomowanego lekarza. Nie przewidział oporów czy też fanaberii powierzonego mu w opiekę krnąbrnego dziecka. Dzięki temu układowi znakomicie sobie jednak poradził. Zero sekretów, kłamstw i niedomówień – bo kumple, a nie relacja syn kontra ojciec. Przeżyłem ponad 65 lat, wychowałem dwoje znakomicie radzących sobie w życiu dzieci, mam wspaniałych wnuków.... i nadal Krzysztofa podziwiam, dziękując mu za ten mój czas teraźniejszy, zwłaszcza że w swoich działaniach wychowawczych i opiekuńczych wielokrotnie był bardziej wiarygodny i skuteczniejszy od mojej potwornie zapracowanej, na okrągło nieobecnej Mamy.

Pomagał w nauce, chodził na wywiadówki?

Odrabiania przeze mnie lekcji nawet nie dostrzegał, a w mojej szkole był raptem dwa razy, kiedy Mama akurat nie mogła.

Rozmawialiście przy muzyce o sporcie?

Nie był kibicem, choć uprawiał pływanie i narciarstwo. I to nawet ekstremalnie, wręcz ryzykując zdrowiem, a czasami nawet życiem. Myślę, że walczył w ten sposób z własną słabością, skutkami choroby Heinego-Medina, którą przeszedł w dzieciństwie. Rywalizowaliśmy w gimnastyce domowej. Liczbie przysiadów, pompek, scyzoryków. Sprawność fizyczna była dla niego – być może w związku z traumą po polio – priorytetem. Kupił mi sportowy rower, a kiedy pokazywał, jak potrafi na nim jeździć, przewrócił się, nieumiejętnie hamując na widok czarnej kotki przebiegającej przez uliczkę. Nauczył mnie – na sucho, leżąc na dywaniku – technik pływania, a potem kontynuował te lekcje podczas wakacji nad Bałtykiem. Próbował opowiadać o dźwiękach, ale szybko przestał, ponieważ zauważył, że mam drewniane ucho. Zabierał mnie jednak na koncerty: własne, filharmoniczne oraz festiwale Jazz Jamboree.

Dziecko nie przeszkadzało mu komponować w ciasnym lokum?

Żoliborskie mieszkanie to dwudziestokilkumetrowy pokój – będący sypialnią, jadalnią, salonem i pracownią



Z Tomaszem Lachem, autorem książki „Kumpel. O Komedzie, Zoście i innych” rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Zazdrość, jazz i medycyna

Krzysztof Komeda podczas koncertu w 1960 r. FOT. ANDRZEJ DĄBROWSKI/FOTONOVA

Krzysztofa – logia balkonowa, korytarzyk z wielką szafą, malutka łazienka oraz kuchnia z mym dwumetrowym kącikiem we wnęce za drzwiami.

Zasiadając do komponowania, pozostawał w pokoju sam. Obowiązywały bezwzględne, nadzorowane przez Matkę, rygory. Cisza, spokój, omijanie zamkniętych drzwi do pokoju i niezagadywanie – gdy wchodził w sprawie herbaty, kawy, papierosów czy też posiłku do kuchni. Nie mieliśmy telewizora, gdyż mógłby przeszkadzać. Radio stojące na parapecie kuchennym grało cichutko jedynie wieczorem, kiedy Matka słuchała Wolnej Europy. Głośniej, gdy Krzysztof robił sobie ok. półgodzinne przerwy w pracy, włączając jakąś zachodnioeuropejską tudzież amerykańską rozgłośnię emitującą jazz. Rankiem, po długiej kąpieli w wannie, pojawiał się w kuchni na śniadaniu. Zawsze identycznym: kajzerka z masłem, plasterki żółtego sera, jajko na miękko albo dwa w szklance, kawa, względnie herbata. A potem do pokoju, i praca. Nawet nocami, do rana, a niekiedy kilkudobowa. Matka spała wraz ze mną w kuchni. Ona w moim łóżku, a ja na dmuchanym materacu pod stołem. Kiedy komponował, odpalał papierosa od papierosa, chociaż się nie zaciągał. To nie był nałóg, raczej katalizator twórczy. Nałogiem było skrupulatne mycie dłoni. Rodzaj jakiegoś natręctwa, a może forma odreagowania.

Jak, kiedy i gdzie poznał pana mamę?

Doktor laryngologii Krzysztof Trzciński poznał Zofię Lach w Krakowie, wiosną 1956 r., aczkolwiek widywali się wcześniej przy okazji wydarzeń jazzowych. On był początkującym jazzowym pianistą amatorem. Ona – dwa lata od niego starsza, z fatalnym balastem osobistych przeżyć – już znakomicie rozpoznawalną w powstającym środowisku jazzowym, pierwszą w PRL kobietą impresario. Zaiskrzyło, i to wręcz błyskawicznie, w trakcie wiosennego turnieju jazzowego w Nowej Hucie, w 1956 r.

Kilka miesięcy później zagościł w pańskim życiu...

Komedę, a były to pierwsze dni używania przez niego tego artystycznego pseudonimu, poznałem – jako przyprorowadzonego do mnie przez Matkę, na plażę w Sopocie kolegę jazzmana, latem 1956 r., w trakcie pierwszego festiwalu

jazzowego. Zaakceptowałem – to mało. Stał się natychmiast elementem pamięci i marzeń pięciolatka, ponieważ był pierwszym mężczyzną, jakiego zobaczyłem przy Matce. Biologicznego ojca znałem tylko z opowiadań, a spotkałem, dopiero będąc nastolatkiem. Krzysztof wypełnił lukę, stał się w wyobrażeniu dziecka ojcem. Takim, jakich widziałem w rodzinach kolegów. Myślę, że Krzysztof – na miarę swoich możliwości oraz czasu – bardzo pracował na tę akceptację. Poświęcał mi dużo czasu, czasami nawet więcej niż Matce. Starał się, uczył sprawności, wsłuchiwał w moje marzenia. Dla Zofii zawsze najważniejszy był dom rodzinny. Taki, jaki zapamiętała z dzieciństwa. W ciągu tych paru lat, które spędziliśmy razem na warszawskim Żoliborzu, mieszkanko stało się oazą rodziny, z tradycyjnymi niedzielnymi obiadami, nastrojowymi kościelnymi świętami i typowymi domowymi rytgorami.

Zasiadając do komponowania, pozostawał w pokoju sam. Obowiązywały bezwzględne rygory. Cisza, spokój, omijanie zamkniętych drzwi

Sądząc z fotograficznego archiwum, najczulsze chwile spędzali w Tatrach.

Zdjęcie z łóżkiem i saksofonem, wykonane przez Wojciecha Plewińskiego podczas zorganizowanego przez Jana Zylbera Jazz Campingu Kalatówki w roku 1959 r., to spontaniczny, uwieczniony przez wspaniałego fotografa moment, ulotna chwila miłości dwojga ludzi oraz towarzyszącej im nierozrwalnie muzyki. Pierwsze lata związku Komedów, jak to wspominała Matka, to był biedny, wręcz głodujący, lecz najszczęśliwszy okres ich małżeństwa. Wspaniałe krakowskie środowisko artystyczne, plany, marzenia, pierwsze sukcesy. Młodzi, pełni wiary, otoczeni przyjaciółmi, których większość znajdowała się w podobnej bytowo sytuacji. Wola zwycięstwa wbrew socrealistycznym normom – jazzowe tony właśnie opuszczały katakumby. Byli szczęśliwi oraz na swój sposób wolni. A i coraz bardziej popularni. Z czasem traktowani jak dzisiejsi celebryci.

Nie jest sekretem, że związek Krzysztofa i Zofii u schyłku lat 60. przeżywał kryzys. Czym spowodowany?

Mówiąc kolokwialnie – zaślepieniem sukcesem. Zabiegały o jego względy początkujące aktorki. Znacznie atrakcyjniejsze od poznanej już na wszystkie sposoby Zośki, która pewnie dążyła do rekompensującej ból zemsty – nie do końca chciane odreagowywania zdradzonej małżonki, spontaniczne reakcje na środowiskowe plotki. Następny powód narastającego konfliktu – w mojej ocenie ważny – to różnica wieku oraz pochodzenia. On był po studiach, miał znakomity zawód, do którego, jak i do swojego rodzinnego domu, mógł zawsze wrócić. Ona... rozwódka z małym dzieckiem, do 1958 r. – poza działalnością w środowisku jazzowym – pracownica krakowskiej spółdzielni produkującej bombki choinkowe, z dyplomem technikum krawieckiego, mieszkająca w 20-metrowej norze stanowiącej służbową kwaterę. Odwiedzająca we wsi Białośliwie swego syna, wychowywanego tam do 10. roku życia przez jej matkę, moją babcię. To, co dla większości raczkujących jazzmanów było wspólną zabawą, z której w każdej chwili mogli się wycofać – wielu tak uczyniło – dla Zofii było jedynym akceptowanym planem na nowe życie. Dlatego stworzyła ze swoich działań impresaryjnych oraz z pracowitości i talentu Krzysztofa swoistą instytucję twórczą. Nigdy nie przestawała być przede wszystkim menedżerką męża, a dopiero potem rodzi-ny. I zapewne również to ciągle napięcie emocjonalne oraz gonitwa za kolejnymi sukcesami skutkowały konfliktami w ich małżeństwie.

Wyjazd do USA nie tylko otwierał Komedzie wrota do kolebki jazzu i filmu. Dawał też chyba czas do namysłu w sprawach osobistych.

Wyprawa za Atlantyk w grudniu 1967 r. stanowiła ukoronowanie jego kariery kompozytora muzycznych ilustracji filmowych. Zwłaszcza że był twórcą spoza „żelaznej kurtyny”. Pozostawiał za sobą świetną, dynamicznie rozwijającą się twórczość europejskiego jazzmana. Czy ten odlot do mekki światowej kinematografii uruchomił w nim jakieś refleksje? Raczej decyzyje. Sądzę, że po pierwszym sukcesie – muzyce do filmu Romana Polańskiego „Rosemary’s Baby” – postanowił osiąść w Stanach Zjednoczonych. Tak wynika z analizy jego zachowań, działań

oraz korespondencji. Natomiast Zofia nadal marzyła o domowym zaciszu, z niewielkim ogrodem, dostatkiem i spokojem. Być może nie w komunistycznej Polsce, ale na zachodzie Europy. Rozglądała się za domkiem na Żoliborzu, ale też coraz częściej mówiła o ewentualnej przeprowadzce do Włoch. Jeżeli nawet dostrzegała narastający kryzys małżeński, to wierzyła w swą siłę i nienaruszalną pozycję. Dopiero pobyt w Hollywood, gdzie spędziła z Krzysztofem parę miesięcy, uświadomił jej, że na szczycie filmowej drabiny sukcesu zabrakło dla niej miejsca. Wróciła do Polski, pozostawiając męża samego. Być może sądziła, że tym szantażem skłoni go do powrotu. Przegrała. Związał się z kochanką. Bardzo to przeżyła, była tą kolejną zdradą kompletnie załamana, myśląc, że to pewnie koniec miłości.

Ona – jedna z najurodziwszych kobiet epoki, on – renomowany muzyk. Nic dziwnego, że stali się obiektem adoracji płci przeciwnej.

Komeda wpadał w oko paniom – chociaż Zofia nazywała to dosadniej: „zdradzieckimi podchodami tych wrednych kurewek” – praktycznie od początku muzycznej przygody. Drobny, blond rudawy, zazwyczaj sympatycznie uśmiechnięty, małomówny, uprzedzająco uprzejmy, trochę zagubiony i rozkojarzony... A do tego wspaniale zapowiadający się artysta. Zwłaszcza kiedy pojawił się w środowisku filmowym i zaczął jeździć coraz lepszymi samochodami. Dla młodszych, marzących o karierze lub też samym pobycie w tym środowisku kobiet łakomy kasek. Ponieważ to i duże pieniądze, i pozycja na parniasie, i wyjazdy zagraniczne. Kłopot, który cyklicznie zaburzał nasze życie rodzinne, polegał na tym, że Krzysztof takie zaloty kupował. Może nawet lubił, a może ryzykowne, ponieważ zawsze kończące się tragicznymi wpadkami, romansowanie stanowiło jeden z elementów jego skrytej natury. Jako dziecko byłem świadkiem kilku koszmarnych rodzinnych awantur, które jednakowoż niczego nie zmieniały pomimo cyklicznych zapewnień, a i przysięg wierności, które Krzysztof składał Mamie.

Zofia też miała zalotników. I to brylujących w ówczesnym artystycznym środowisku. Wiem to, ponieważ parokrotnie

Krzysztof robił jej sceny zazdrości. Jednak raczej o to, że przetańczyła z kimś cały wieczór (Krzysztof, w związku ze swoją ułomnością, chociaż potrafił, to nie lubił tańczyć), o to, że się z kimś znowu spiła i przegadała pół nocy, czy też, że nagle i niespodziewanie wyjechała na kilka dni. Jaka w wypadku mojej Matki była prawda, tego nie wiem. Nigdy nie odważyłem się o to jej zapytać, a Ona nie opowiadała.

Dlaczego nie przyjęto go do Związku Kompozytorów Polskich?

Jego kompozycje były czymś nowym, dotychczas niespotykanym. Wspaniale komponował, lecz miał zrazu spore problemy z poprawnymi zapisami

nutowymi, co być może wpłynęło na odrzucenie kandydatury Komedy przez komisję decydentów. Zapewne w grę wchodziła również zawodowa zazdrość, którą wzbudzał w środowisku swą dynamiczną karierą. Mama wspominała, że Krzysztof bardzo to odrzucenie przeżył. Pewnie dla niego, kiedyś obiecującego lekarza, przyjęcie do ZKP stanowiłoby swoisty ekwiwalent dyplomu i potwierdzało pozycję, jaką osiągnął w nowym dla niego środowisku.

O śmierć przyjaciela obwiniał się Marek Hłasko.

Tragiczny wypadek Komedy w Hollywood, wielomiesięczna choroba i śmierć nadal okrywa mgłą tajemnicy. Pomimo drobniagowych dochodzeń przeprowadzanych przez moją Matkę nadal pojawiają się kolejne informacje, zgłaszają teoretyczni świadkowie i publikowane są alternatywne wersje wydarzeń. Bezpośrednim powodem incydentu, skutkiem którego Krzysztof spadł z niewysokiej, kilkumetrowej skarpy i doznał zakończono-ego wylewem do mózgu urazu głowy, była chłopięco-alkoholowa przepychanka z Markiem Hłaską. Krzysztof leżał w amerykańskim szpitalu ponad trzy miesiące. Nieprzytomny, w śpiączce, z fatalnymi rokowaniami. Zofia przyjechała do Los Angeles natychmiast po otrzymaniu wiadomości o jego stanie. Opiekowała się nim, próbując ratować. Wielokrotnie rozmawiała z Hłaską, również odwiedzającym Krzysztofa w szpitalu. Opowiedział jej swoją wersję

wydarzenia, rozpacział, bardzo cierpiał. Jego przyjaźń z Krzysztofem, jak to wspominały inne obecne tam osoby, była wyjątkowa, bardzo bliska. Po tragicznej śmierci Hłaski Matka doszła do wniosku, że podkreślenie środkami uspokajającymi i nasennymi upicie się pisarza to była udana próba samobójcza, ponieważ zaciążyła na nim śmierć Krzysztofa. Tak narodziła się ta czarna legenda.

Czy nie było błędem sprowadzenie pozbawionego świadomości pacjenta do Polski? Medycyna w USA jest bardziej zaawansowana.

Jednak też znacznie kosztowniejsza. Trzymiesięczny pobyt Krzysztofa w izolatorce, podłączonego do specjalistycznej aparatury i z 24-godzinną fachową opieką medyczną, kosztował wtedy, w 1969 r., grubo ponad 40 tys. dol. Komedowie mieli odłożone wypłaty za dwa amerykańskie filmy, co wystarczyło na pierwszy miesiąc, a potem pojawiły się długi. Niwelowane początkowo dzięki pożyczkom, składkom i zapomogom przyjaciół. Wytwórnice filmowe nie poczuwały się do pomocy. W końcu szpital, w którym leżał Krzysztof, zaczął dopominać się o spłatę narastającego zadłużenia, grożąc przeniesieniem pacjenta do kliniki publicznej, co byłoby dlań natychmiastowym wyrokiem śmierci. Zofia walczyła, ale była w tych staraniach coraz bardziej osamotniona. Odmówiono podjęcia próby kolejnej terapii, operacji na otwartej czaszce, twierdząc, że stan pacjenta jest finalny, zejściowy. Przeszła transportować go do Polski na skutek rad bliskich oraz finansowej i logistycznej pomocy amerykańskiego doradcy Krzysztofa, prawnika Wally'ego Wolfa, który w potrzebie okazał się wspaniałym i ofiarnym przyjacielem. Niestety, Komeda nie doczekał planowanej w warszawskim szpitalu operacji. Trzeciego dnia po przylocie zmarł z powodu spowodowanego długotrwałą śpiączką i brakiem odporności organizmu obustronnego zapalenia płuc.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**TOMASZ LACH
„KUMPEL.
O KOMEDZIE,
ZOŚCE I INNYCH”
MUZA 2017**



Tomasz Lach (ur. 1952), plastyk, fotograf, instruktor sportowy. Uczył się w Liceum Sztuk Plastycznych w Zakopanem i Krakowie. Syn Zosi Komedowej. Od piątego roku życia wychowywany również przez Krzysztofa Komedę-Trzcirskiego.

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



**TYLKO
U NAS!**
**WYWIAD
Z WETERANEM
SPOD
MONTE CASSINO!**

Piotr Zychowicz – Jak Churchill wykiwał Polskę
Douglas Smith – Mroczne tajemnice Rasputina
Marcin Bartnicki – Jak polski konsul ratował Żydów
Sławomir Cenckiewicz – Marzec '68 i Jaruzelski
Grzegorz Wołk – Polski kamrat Che Guevary
Barbara Hulanicki – Komuniści zgładzili mojego ojca
Arkadiusz Karbowski – NSZ kontra AL pod Rzębce
Sławomir Koper – Romanse Bolesława Leśmiana

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Krezus i pijawki



Piotr Gociek

Samobójstwo, nałogi, rozwody, kalabryjska mafia porywająca dziedzica fortuny – historia rodu Gettych dowodzi, że pieniądze szczęścia nie dają



FOT. KURT SWANENKO

Na zdjęciach z pierwszej wersji filmu Ridleya Scotta miliarder J. Paul Getty wygląda na brzydala i rozpustnika, co samo w sobie jest odpowiedzią, dlaczego reżyser widział w tej roli Kevina Spaceya. Gwiazdor serialu „House of Cards” padł jednak ofiarą cenzorskich nożyc, kiedy w ramach akcji #MeToo usłyszał poważne zarzuty (molestowanie i zmuszanie do seksu nastoletnich chłopców). Ridley Scott usunął Spaceya z obsady i powierzył rolę Christophorowi Plummerowi, kręcąc od nowa duże partie filmu. Opłaciło się, bo Plummer został nominowany do Złotego Globu i do Oscara (kategoria – najlepszy aktor drugoplanowy).

Danny Boyle, twórca serialu „Trust” opowiadającego o tych samych wydarzeniach – porwaniu wnuka naftowego

miliardera w roku 1973 – nie miał podobnych problemów. Zgodnie z planem w jego wersji sagi o imperium Gettych nestora rodu zagrał Donald Sutherland, aktorski zawodnik wagi ciężkiej, aczkolwiek patrząc na fotografie prawdziwego Getty’ego można się zastanawiać, na ile prócz talentu o tej decyzji zadecydowało po prostu podobieństwo: wielki nochal i odstające uszy.

Kto wypadł lepiej, porównaj widzowie, także polscy – serial „Trust”, wyprodukowany przez FX (amerykański płatny kanał należący do 21st Century Fox) emitowany jest od kilku tygodni przez polskie HBO, z kolei „Wszystkie pieniądze świata”, czyli film Ridleya Scotta, w połowie maja pojawi się na DVD. Do tego książka Johna Pearsona pod tym samym tytułem, która oferuje dużo więcej, bo jest opowieścią o trzech

pokoleniach Gettych, podczas gdy Scott i Boyle koncentrują się na porwaniu.

PONURY BAGAŻ

Książkę Pearsona czytałem z uwagą, film Scotta oglądałem z przyjemnością, serial Boyle’a śledzę z zainteresowaniem, ale w głowie wciąż tkwi mi inny obraz. Ilustracja, którą opatrzył kilka lat temu swój artykuł o Gettych magazyn „Forbes”. Podstarzały krezus nie przypomina ani Spaceya, ani Sutherlanda, ani Plummera. Widzimy człowieka o zaciętej twarzy, bardzo pospolitej urodzie i minie okrutnika. W dodatku John Pearson dowodził w swojej książce, że mimo gigantycznego majątku człowiek ów był niesłychanie niedojrzały emocjonalnie. Radził sobie świetnie w biznesie, lecz w obliczu kłopotów i wyzwań w życiu osobistym reagował lękiem lub wyparciem, prze-

milczał problemy, a przyparty do muru wracał zawsze do tego samego: pieniądze są lekarstwem na wszystko.

Kilka słów o faktach. Rzym, roku 1973. Szesnastoletni wnuk Getty'ego, znany w kręgach bohemy jako chłopiec rozrywki, niestroniący od używek i pięknych dziewcząt, znika w tajemniczych okolicznościach. Nieco wcześniej porzucił szkołę. Ma trochę ambicji artystycznych, niewiele pieniędzy, dużo fantazji, wielki apetyt na życie i cieszy się ksywą „Złoty hippis” – to od bujnej, „dziewczyńskiej”, jak sam mówi, fryzury i mocno luźnego stylu bycia. Zdaniem matki (z którą zgadza się biograf rodziny) jest dojrzały ponad swój wiek.

Jednocześnie trzeba wskazać, że już jako nastolatek niesie ciężki, ponury bagaż. Bycie Gettym oznacza nie tylko pokorne czekanie w kolejce na spadek oraz zainteresowanie mediów. To także udziały w innego rodzaju dziedzictwie, najkrócej ujmując, właściwie wszyscy wychowujący się w cieniu Wielkiego Paula (tak w rodzinie mówi się na założyciela dynastii) są mocno popaprani. W królestwie Gettych pretendenci do tronu wiodą żywot rozwodników, nieudaczników, alkoholików, narkomanów oraz samobójców. Serial „Trust” zaczyna się od samobójstwa syna Wielkiego Paula, George'a. Wiele wskazuje na to, że jedną z głównych przyczyn tego kroku było demonstracyjne lekceważenie okazywane przez ojca.

TO SAMO, ALE INACZEJ

Co łączy, a co dzieli „Wszystkie pieniądze świata” oraz serial „Trust”? Wychodząc od tej samej, autentycznej przeciwieś historii, siłą rzeczy obracają się w kręgu tych samych rozwiązań fabularnych i zwrotów akcji. Ridley Scott, kręcąc dwugodzinny film kinowy, musiał jednak upraszczać i skracać. Skoncentrował się na dramacie osamotnionej matki młodego Paula, zgodnie zresztą z tym, o czym pisał Pearson: „Nikt z rodziny Gettych nie wspierał Gail, kiedy szalała z niepokoju i nękały ją media, kiedy resztką sił starała się zadbać o resztę dzieci, jednocześnie pertraktując z porywaczami”.

U Scotta w roli Gail pojawia się Michelle Williams. Najbardziej intrygującą postacią jest jednak stary Getty – to w jego cieniu wszystko się rozgrywa. Krezus, który wierzył, że jest nowym wcieleniem rzymskiego cesarza Hadriana. Dusigrosz, który kazał w rezydencji zainstalować budkę telefoniczną dla gości, bo pozo-

stawiali po sobie zbyt wysokie rachunki telefoniczne. Nabywca najdroższych dzieł sztuki i osobnik piorący własnoręcznie gacie w łazience luksusowego hotelowego apartamentu, bo tak może oszczędzić na rachunku za pranie. Na wieść o porwaniu wnuka oznajmił, że nie zapłaci ani centa. Wariat? Skąpiec? Tyran o sercu zimnym jak lód?

Danny Boyle w serialu „Trust” poświęca dużo więcej miejsca całej rodzinie Gettych, kreśli portrety tych, których dla ekonomii opowiadania musiał ominąć Scott. Bardziej podobała mi się jego Gail – wybrał Hilary Swank – bo prócz aktorskiego talentu wniosła na ekran także wiarygodność w kwestii fizycznego podobieństwa do porwanego syna. Przede wszystkim jednak Boyle szaleje w charakterystycznym dla siebie stylu. Bawi się montażem, muzyką, proponuje nielinearną narrację, która pozwala zwiększyć liczbę punktów zwrotnych. Obficie sięga po humor, oczywiście czarny, a ponieważ ma do dyspozycji dziesięć odcinków, to znajduje i miejsce na świetnie skrojone postaci epizodyczne. Ma też większe ambicje, bo historię porwania młodego Getty'ego osadza bardziej w historii, kreśląc obraz dzikich lat 70. we Włoszech – to w końcu czas Czerwonych Brygad, starć ulicznych, niezwyklej aktywności partii komunistycznej, nieustannych kryzysów politycznych, konsumowania przez Europę po swojemu spóźnionej ery dzieci kwiatów i wreszcie czas, kiedy włoska mafia sprofesjonalizowała porwania, czyniąc z nich stałe źródło dobrego zarobku.

W obu wersjach ważną personą jest Fletcher Chase, szef ochrony starego Getty'ego, były agent CIA, który wydelegowany został do Włoch, żeby ustalić, co właściwie się dzieje. U Scotta gra go sympatyczny Mark Wahlberg, u Boyle'a – niespodzianka: Brendan Fraser, znany głównie z trylogii „Mumia”. I kolejna niespodzianka – Fraser wypada rewelacyjnie, najlepiej z całej obsady „Trustu”. Bufonowaty,

twardy, zabawny, przełamujący czwartą ścianę i odzywający się wprost do widza, odgrywa czasem rolę chóru z antycznych dramatów. Okaze się też jedynym, prócz Gail Getty, porządnym gościem w całej historii. Wbrew faktom, bo Pearson

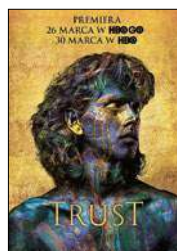
opisywał z kolei, jak łatwo ten lis wywiadu dał się zwieść włoskiej policji i lokalnej kochance, która wkładała mu do głowy odpowiednie rzeczy.

Podstawowa różnica między dwiema opowieściami jest taka, że świat przedstawiony przez Boyle'a w „Truście” jest mimo całego humoru dużo bardziej ponury. Głównym bohaterem jest pieniądź, który niczym zabójczy wirus sieje nieodwracalne spustoszenie w organizmie każdego, kogo dotknie. Uczynił potwora ze starego Getty'ego, okaleczył jego synów, ale wżarł się i w duszę porwanego młodzieńca (sami zobaczcie dlaczego), nie pozostawił też w spokoju tych, którzy bogactwa nie mają, ale o bogatych się ocierają. W tym świecie jesteś albo dawcą, albo pijawką, trzeciej drogi nie ma. I może to sprawia, że mimo całej warsztatowej bieguności serial „Trust” bywa nużący. A to dopiero początek – Danny Boyle opowiada, że szykuje się na trzy sezony historii rodu Gettych.

„Wszystkie pieniądze świata” Scotta to z kolei dzieło po hollywoodzku gładkie, aż za gładkie, bo po chwili niewiele z niego zostaje w pamięci. W stosunku do kreacji Sutherlanda bogacz Getty grany przez Plummera ma nazbyt szlachetne rysy i jest za bardzo stylizowany na współczesnego Scrooge'a. A jednocześnie jeden i drugi są na ekranie i tak bardziej sympatyczni od oryginału – takie przynajmniej wnioski wysnułem z książki Johna Pearsona. To zrozumiałe: skoro pieniądze niszczą, to ten, kto ma ich najwięcej, musi być zniszczony najbardziej. Pozostaje pytanie bez odpowiedzi: czy żeby zdobyć fortunę, musisz nie mieć serca, czy tracisz je dopiero wtedy, jak już ją zdobędziesz.



★★★★★
REŻ. RIDLEY SCOTT
„WSZYSTKIE PIENIĄDZE ŚWIATA” („ALL THE MONEY IN THE WORLD”)
USA 2017, DYSTR. MONOLITH



★★★★★
„TRUST”, SEZON 1
USA 2018, EMISJA W HBO W PIĄTKI O GODZ. 21.10



★★★★★
JOHN PEARSON
„WSZYSTKIE PIENIĄDZE ŚWIATA”
HARPERCOLLINS 2018

KRZYSZTOF MASŁOŃ: Działania Instytutu miały zapobiec spadkowi czytelnictwa w Polsce. Można wprawdzie powiedzieć, że fatalny trend został zahamowany, ale z najnowszych badań Biblioteki Narodowej wynika, że o ile w 2016 r. 37 proc. naszych rodaków przeczytało jedną książkę, o tyle w roku 2017 – 38 proc. W takim tempie zadowalający wskaźnik osiągniemy raczej w odległej przyszłości. Pan jest zadowolony?

DARIUSZ JAWORSKI: Nie jestem, bo chciałbym, żeby ten wzrost wyniósł 2–3 pkt proc., a nie 1, czyli w granicach błędu statystycznego. Jednakże trzeci rok z rzędu statystyka czytelnicza utrzymuje się na podobnym poziomie, a to znamienuje, że trend spadkowy lat poprzednich został zahamowany. I mimo wszystko cieszy mnie, że jest to 38, a nie 36 proc., co też przecież mieściłoby się w granicach badawczego błędu. Tak się dzieje – co obserwujemy nie tylko w Polsce – że czytelnictwo poprawia się w okresie gospodarczej i społecznej koniunktury. I właśnie w takim momencie obecnie jesteśmy. Do tego dochodzi fakt, że o tym problemie coraz częściej – i to nie tylko okazjonalnie – mówimy oraz coraz więcej robimy. I mam tu na myśli zarówno wszelkie działania instytucjonalne, jak i poszczególnych osób. Słabe czytelnictwo to w Polsce problem społeczny, który tylko kompleksowymi i konsekwentnymi działaniami da się przezwyciężyć. I jeśliby nawet co roku tylko 1 proc. Polaków więcej przeczytało jakąś książkę, to wolę choć taki minimalny przyrost niż trwanie w bezruchu, nie mówiąc już o spadkach.

Czy jest pan zwolennikiem zwiększenia czytania w ogóle, czy raczej zintensyfikowania lektur bardziej wartościowych?

Tutaj moje chcenie, czy – jak mawiał Melchior Wańkowicz – chciejstwo, nie ma nic do rzeczy. Poza tym nie lubię dycho-tomizowania czytelniczej rzeczywistości na ścieżkę elitarną i egalitarną, bo one są komplementarne... Odpowiadając jednak na pańskie pytanie: oczywiście, zależałoby mi na tym, by Polacy sięgali do całego spectrum gatunków literackich i by masowo czytali książki z najwyższej półki. Jednak tak nie jest. I dlatego trzeba ich przede wszystkim przekonać, żeby w ogóle czytali. A przekonywać należy najlepszymi literackimi wzorcami, adekwatnymi jednak do aktualnej sytuacji i uwzględniającymi stan świadomości czytelniczej poszczególnych grup i osób. Krótko mówiąc: kogoś, kto nie czyta, raczej nie zachęć do tego, podsuwając mu wybitną, ale trudną lekturę. Jednak



**Z Dariuszem Jaworskim,
dyrektorem Instytutu Książki
rozmawia Krzysztof Masłoń**

POczytanki

nie powinienem też przekonywać go książkami bezwartościowymi.

Badania prowadzone przez Bibliotekę Narodową – mimo ciągłych sporów co do ich metodologii – potwierdzają jednak smutne obserwacje. Na przykład to, że od lat 90. spada poziom czytelnictwa w grupie tzw. kadry zarządzającej, czyli swoistej społecznej elity. Obserwuję to bardzo często, jeżdżąc pociągami: może co 10. tzw. menedżer sięga po tradycyjną czy elektroniczną książkę. Reszta, owszem, zatopiona jest w komputerach, ale raczej w Excelach itp.

Inny przykład: banałem jest stwierdzenie, że wzorce rodzinne i towarzyskie mają wpływ na zachowania czytelnicze. Potwierdzają to badania – spośród osób wychodzących z domu czytającego 82 proc. czytać będzie nadal, a spośród tych, w których domach się nie czytało, po książkę sięgnie zaledwie 13 proc. Znow więc cofamy się do tego, co jest podstawą naszego funkcjonowania społecznego w świecie: do rodziny, do relacji międzyludzkich, oparcia się na prawdziwych wartościach. Jeśli następuje degradacja tych sfer, to nie dziwny się, że odbija się to także na czytelnictwie...

... które zaczyna się wcześniej, bo w szkole...

... znacznie wcześniej – od kołyski. Czytanie dziecku od urodzenia buduje więzi, tworzy poczucie bliskości i bezpieczeństwa z rodzicami, kształtuje wartości, rozwija umysł i wszelkie sprawności dziecka: od mowy i melodii języka, do kojarzenia faktów i wnioskowania, do starcza wiedzy o świecie. Mając tego świadomość, pod koniec ubiegłego roku przygotowaliśmy dla rodziców czytelniczą wyprawkę

ich dziecka. Na oddziałach położniczych zdecydowanej większości polskich szpitali – jeszcze nie wszystkich, ale dojdziemy do tego – znalazły się pierwsze dziecięce „przewodniki literackie”. Są to przygotowane przez Instytut Książki i grono fachowców oraz wydane przez nas „Pierwsze



wiersze” – wybór obejmujący m.in. poezję Juliana Tuwima i Jana Brzechwy, Danuty Wawilow i Joanny Papużyńskiej, Józefa Czechowicza i Ludwika Jerzego Kerna. Wiersze te przepięknie zilustrowali Ewa Kozyra-Pawlak i Paweł Pawlak, a książka ma dwie wersje: z okładką dla dziewczynki i chłopców.

W jednym pakiecie rodzice dostają i „Pierwsze wiersze”, i skierowaną już wprost do nich broszurę-przewodnik „Książką połączeni, czyli o roli czytania w życiu dziecka”.

Kieruje pan Instytutem Książki od dwóch lat. Wcześniej takim flagowym okrętem tej placówki były Dyskusyjne Kluby Książki, które mnożyły się jak grzyby po deszczu. Co z nimi?

Nadal funkcjonują z powodzeniem i stale ich przybywa – obecnie działa 1613 klubów. W organizowanych przez nich spotkaniach regularnie uczestniczy co roku ponad 16 tys. osób. Średnio w ciągu roku wszystkie kluby spotykają się ponad 14 tys. razy. Statystyka wygląda zatem imponująco. Jest jednak pewne „ale”... Staliśmy się trochę ofiarami tego sukcesu, bo klubów przybywa, ale budżet na nie pozostaje na tym samym poziomie, co powoduje, że pojedyncze kluby otrzymują mniej pieniędzy. Poza tym np. analiza spotkań autorskich w klubach pokazuje, że zapraszani są na nie głównie twórcy, mówiąc eufemistycznie, lżejszej literatury...

Działania Instytutu dzielą się na krajowe i zagraniczne...

Powiedziałbym nawet, że jeszcze nie tak dawno te drugie wyraźnie dominowały, a krajowe były realizowane przede wszystkim poprzez programy ministra kultury. Tymczasem głównym celem działań Instytutu jest promocja polskiej literatury w kraju i za granicą oraz promocja czytelnictwa. Pomiedzy „krajem” i „zagranicą” jest więc spójnik, co czyni te działania równoważnymi i komplementarnymi.

mi. Jedne z drugich wynikają i jedne drugie warunkują.

Co nie zmienia faktu, że np. zeszłoroczne Targi Książki w Londynie, których Polska była gościem specjalnym, zaowocowały czymś, co nazwane zostało „Polską półką”.

To tylko jeden z owoców, bo skutki – które są naprawdę bardzo obiecujące – bycia gościem honorowym podsumujemy w tym roku. Polish Bookshelf Project realizujemy wspólnie z Ambasadą RP w Londynie, Instytutem Polskim w tym samym mieście, ze stowarzyszeniem Literka, European’s Welfare Association oraz Polską Macierzą Szkolną. Wspólnie zakupiliśmy 120 tytułów w prawie 1,5 tys. egzemplarzach. Są to książki autorów anglojęzycznych, które przybliżają polską kulturę i historię, książki autorów polskich w tłumaczeniu na angielski i wybrane tytuły w języku polskim. Trafiły one już do niektórych bibliotek, np. w Londynie i Norwich, lub za chwilę tam się znajdą. Plan jest taki, aby „Polskie półki” znalazły się w 150–200 brytyjskich bibliotekach. Za tym pójść inne działania, np. spotkania z autorami w tych właśnie bibliotekach.

Jeśli ten projekt się uda – a wszystko jest na dobrej drodze, aby tak się stało – to chcielibyśmy „Polską półkę” wyeksportować również do innych krajów. I to nie tylko europejskich.

A co z tłumaczeniami literatury polskiej?

Te realizujemy poprzez nasz Program Translatorski ©POLAND. Wniosków na tłumaczenia napływa coraz więcej. Na przykład w roku 2015 było ich 268, a w ubiegłym już 369. Udało nam się zmienić regulamin na bardziej atrakcyjny dla zagranicznych wydawców – m.in. wydłużyliśmy z roku do dwóch lat czas na wydanie danej książki. Jednak – niestety – i tutaj stajemy się „ofiara” tych działań. Wprawdzie w roku 2016, dzięki pani wiceminister Magdalenie Gawin, budżet programu został zwiększony o pół miliona złotych, ale jest to nadal za mało, aby spełnić oczekiwania zagranicznych wydawców. Ratujemy się więc, np. wprowadzając pewne limity: finansowe lub w liczbach składanych wniosków. To z kolei osłabia naszą wiarygodność, a przecież nam przede wszystkim zależy na tym, aby polska literatura była czytana poza naszymi granicami.

Ranga targów książki jest dziś inna niż przed laty; konkretne transakcje dopina się niekiedy we Frankfurcie, w Paryżu czy Londynie. Jednak

zaskakuje obecność Polski jako głównego gościa rozpoczynających się 25 kwietnia Targów Książki w Abu Zabi. Niezależnie od wysokiej rangi tej imprezy w świecie arabskim to jednak dla nas kierunek wielce egzotyczny.

Nie chciałbym się tłumaczyć, ale stosowna umowa podpisana została w kwietniu 2016 r. przez Ambasadę RP w Abu Zabi i The Abu Dhabi Tourism & Culture Authority. Nikt mnie o tym nie poinformował, choć właśnie wtedy zostałem dyrektorem Instytutu Książki, który to Instytut – co wynika z umowy – miał wziąć na siebie ciężar zorganizowania naszego wystąpienia w Emiratach. Do tego, że mamy zostać gościem honorowym targów, doprowadziła może w dobrej wierze, ale z pewnością z niejaką dezynwolturą, ówczesna chargée d’affaires naszej ambasady w Abu Zabi. Nowy ambasador RP w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Robert Rostek, który wcześniej dał się poznać ze świetnej pracy w Katarze, przyjął na siebie obowiązki wynikające z umowy i znalazł się w trudnej sytuacji, podobnie jak Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Na szczęście było jeszcze trochę czasu i zmontowaliśmy naszą prezentację, wspólnie z Instytutem Adama Mickiewicza i Biblioteką Narodową.

Rozumiem, że nie będzie ona ograniczona tylko do przedstawienia naszej literatury, lecz także szeroko pojętej kultury.

To oczywiście. Kultura polska nie jest zbyt rozpoznawalna w arabskim świecie, dlatego też chcemy ją przybliżyć na wielu poziomach, nie tylko literackim. I tak o polskiej muzyce mówić będzie Marcin Trzęsiok, o teatrze Jacek Kopciński, o filmie Mateusz Werner; Andrzej Szczerski o polskiej sztuce, a Maciej Urbanowski o literaturze. Krzysztof Koehler przedstawi wprowadzenie do kultury polskiej: od Gotfreda do Gombrowicza, od chrztu Polski do Solidarności, Janusz Danecki ma ukazać wzajemne relacje polsko-arabskie, a Tomasz Makowski – dyrektor Biblioteki Narodowej – opowie o skarbach, jakie gromadzi kierowana przez niego placówka.

Będą więc wykłady i prezentacje, warsztaty i seminaria, koncerty i wystawy – wszystko od 25 kwietnia do 1 maja.

A którzy pisarze pojadą do Emiratów?

Małgorzata Lebda, Wioletta Grzegorzewska, Wojciech Chmielarz, Dariusz Karłowicz, Rafał Kosik, Antoni Libera, Jakub Małecki, Andrzej Sapkowski i Wojciech Tomczyk. To naprawdę godna reprezentacja.



Film „Twarz” Małgorzaty Szumowskiej ukazuje negatywne stereotypy o polskiej prowincji

FOT. BARTOSZ MROZOWSKI/MATERIAŁY PRASOWE

Kino moralnej patologii



Remigiusz Włast-Matuszak

Nagradzanie i nagłaśnianie kina polskiej patologii skutkuje przyjmowaniem go jako drogowaskazu, mody i obowiązującego trendu w kinematografii

Było kino moralnego niepokoju – umiarkowany, kontrolowany bunt moralny filmowców w najweselejszym baraku obozu KDL. Lata 1975–1981 – dzisiaj to legenda kombatancka. Zmarły niedawno (w ciszy medialnej) Piotr Andrejew to autor filmu „Klincz”, Feliks Falk to „Wodzirej”, Agnieszka Holland – „Mężczyzna niepotrzebny” – pierwszy, ostry głos antyaborcyjny i „Aktorzy prowincjonalni”. Najzdolniejszym i najpłodniejszym twórcą nurtu KMN był Krzysztof Kieślowski. Wojciech Marczewski zrealizował kultowe „Dreszcze”, Andrzej Wajda „Człowieka z marmuru”. Zapomniany i wygumkowany Wojciech Wiszniewski stworzył „Elementarz”, a dopieszczany na każdym etapie polskiej historii Krzysztof Zanussi – „Barwy ochronne”.

Kino moralnego niepokoju doczekało się kilkuset opracowań i kilku książek. Od kuriozalnie „subiektywnych” narracji Mieczysława Wojtczaka – byłego I zastępcy ministra kultury i sztuki, szefa kinematografii oraz kierownika Wydziału Kultury

KC PZPR, przedstawiającego się dzisiaj jako ojciec KMN („Kronika nie tylko filmowa” i „O kinie moralnego niepokoju... nie tylko”), do obiektywnej i niedocenionej książki Andrzeja Krajewskiego „Między współpracą a oporem (1975–1980)” nieodżałowanego wydawnictwa Trio.

LEWY PROFIL

Po latach transformacji kinematograficznej wizjonerskiej kaście filmowców udało się wrócić na garnuszek państwowych dotacji PISF, MKiDN i pomniejszych „korytek” (każdy marszałek województwa, każdy samorządowiec rozdziela dotacje filmowe, oczywiście znajomym i rodzinie królika). Pan płaci, pan wymaga – dlatego też już na początku drugiej kadencji PO-PSL wykiełkowało nam kino moralnej patologii. Na razie kwitnie i roztacza swoje czary, by w 2018 r. eksplodować „Twarzą” Małgorzaty Szumowskiej na lewackim Berlinale.

Szumowska to zasłużona twórczyni m.in. „Sponsoringu” z niezapomnianą sceną, gdy w zbliżeniu na linoleum w kuchni stary Żyd sika wprost na gołe piersi polskiej studentki (Odwroćmy sytuację – stary Polak sika na piersi młodej Żydówki. Łoj! To „myślzobrodnia” i antysemickie „haniebne zbydlęcenie”!). W jej ponurym studium polskiej patologii pt. „Body/Ciało” młoda Polka porzuca zamordowany płód w publicznym kiblu. Właśnie wprowadza na polskie ekrany głośną już „Twarz”.

Oddajmy głos I wicepremierowi RP Piotrowi Glińskiemu: „„Twarz» to

klasyczny film festiwalowy, sprawnie zrobiony, dobrze zagrany, a jednocześnie karykatura. [...] z tezą, że polskie społeczeństwo to kupa prymitywnych ksenofobicznych kretynów, do tego brzydkich nie tylko moralnie, lecz także fizycznie”. Nawet nie spodziewałem się, że pan profesor, szef Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, zna tak mocne określenia i potrafi ich użyć w publicznym wywiadzie prasowym. („Sieci” nr 12/2018). Żywię pewność, że dzieło „Twarz” to jeden z nielicznych nowych polskich filmów, który prof. Piotr Gliński osobiście zobaczył albo który pozwolono panu profesorowi obejrzeć. Sugeruję panu ministrowi zobaczenie „Zgody” – filmu o „polskim obozie koncentracyjnym (!) w Świętochłowicach” prowadzonym przez osławionego Salomona Morela – oraz dzieło Jagody Szelc (tej, która z Kasią Adamik nie chciała stać na gali w Gdyni obok pana profesora i demonstracyjnie uciekła na drugi koniec sceny) pt. „Wieża. Jasny dzień”. Po tych projekcjach minister Piotr Gliński mógłby przypuszczalnie posunąć się nawet do „grózb karalnych” wobec autorów sponsorowanych przez PISF arcydzieł filmowych, wyznaczających drogę polskiej kinematografii.

MISTRZOWIE I WSCHODZĄCE GWIAZDY

Cofnijmy się tylko do 2011 r. – „Sponsoring” Małgorzaty Szumowskiej – film bardziej instruktażowy niż „negliżujący”

postawy młodych Polek pracujących w krajach starej Unii. Film obsypano nagrodami, wywołał zachwyt i był początkiem kariery reżyserki. Rok 2012, rok „Pokłosa”, w którym pokazano, jak prymitywni polscy chłopcy wymordowali przodujących w okolicy rolników – Żydów – i zagarnęli ich gospodarstwa.

Rok 2012 to też kuriozalny film „Bez wstydu” – propagujący stosunki kazirodczne. Obraz wywołał jednak taki niesmak, że nikt już nie kontynuował tegoż „postępowego” wątku. Rok 2013 – apogeum liberalnej kultury PO/PSL/UE – „Ida”. Ponownie polski chłop morduje żydowskie dzieci, by zagarnąć ich dom i ziemię. A pani prokurator, nie chcąc dalej żyć w tak antysemitycznym kraju, wyskakuje przez okno.

Rok ów to również dzieło Małgorzaty Szumowskiej pt. „W imię...” o księdzu przeżywającym rozterki homoseksualne. 2014 – „Obywatel” Jerzego Stuha – to „ważny głos” o polskiej głupocie przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Rok 2015 – „Body/Ciało” – Małgorzata Szumowska w dobrej formie, polski śmietnik moralny, ale Berlin zachwycony. 2016 – „Ostatnia rodzina” – arcydzieło moralnej patologii, które otworzyło młodemu reżyserowi Janowi P. Matuszyńskiemu wszystkie drzwi, nawet do kasy Netflixa. Na Off Camera w Krakowie Agnieszka Holland nagradza reżysera czekiem na 100 tys. dol. od Europejskiej Akademii Filmowej, a arendarka PISF, Magdalena Sroka, milionem złotych na przyszłą produkcję. Mamy też „Zjednoczone stany miłości” – przegląd polskiego społeczeństwa i ani jednej normalnej osoby. No i w końcu 2017 r. – „Pokot” – Polacy jako prymitywni mordercy i dręczyciele zwierzę, alkoholicy – jak to na polskiej wsi.

Po mistrzyni Agnieszce Holland i Małgorzacie Szumowskiej mamy wschodzące gwiazdy kina moralnej patologii – Jan P.



Matuszyński i Jagoda Szalc. Jej „Wieża. Jasny dzień” to co prawda amatorszczyzna realizacyjna, ale jakże głęboka narracja o utracie mocy przez Kościół katolicki i budzącym się zdrowym pogaństwie. A praktycznie „Wieża...” to druga część „Pokotu”, z cytatami z „Bliskich spotkań trzeciego stopnia” i z 10 innych francuskich oraz amerykańskich filmów SF, a także opowieści o zjazdach rodzinnych. Chciała też artystka przelicytować Szumowską ze „Sponsoringu”. Scena z „Wieży...” – mąż mówi do żony sikającej do muszli klozetowej: „Pokaż mi choć trochę, jak to robisz”. Cudny jest jeszcze drugi żarcik na temat „stawiania kupy” i mediów reżimowych. Publiczność już czeka na zapowiedziany metahorror artystki Szalc pt. „Monument”. Czyżby o budowie pomnika Wielkiego Fallusa o czterech twarzach? Powrót Światowida na ziemię Europy Środkowej?

Nagradzanie i nagłaśnianie kina polskiej patologii skutkuje przyjmowaniem go jako drogowskazu, mody i obowiązującego trendu w kinematografii. Zaczyna się licytacja – im wredniej i podłej, tym większe nagrody, paszporty, laurki i granty z Zachodu. Zaproszenia na Biennale do Wenecji, na Berlinale do Berlina. Role i kontrakty. A kto z krytyków filmowych nie zachwyca

się tymi arcydziełami, ten się po prostu nie zna – jest ksenofobem, faszolem, pisiosem i niedouczonej troglodytą.

SEKS NA PLAŻY

Doktor Joseph Goebbels, scenarzysta filmowy, tudzież minister oświecenia publicznego i propagandy III Rzeszy, stwierdził: „Opinia Führera o Polakach jest miażdżąca. Bardziej zwierzęta niż ludzie, całkiem tępi, bez wyrazu. Obok nich warstwa rządząca będąca przynajmniej produktem mieszaniny klas niższych z aryjską rasą panów. Brud Polaków jest wprost niewyobrażalny. Również ich zdolność dokonywania ocen jest równa zeru”. Te stwierdzenia ilustruje Matuszyński w „Ostatniej rodzinie”, Agnieszka Holland w „Pokocie”, Jagoda Szalc w „Wieży...” i Małgorzata Szumowska w „Twarzy”.

Polscy filmowcy kręcą polakożercze filmy, dokładnie według dyrektyw kulturkampfu III Rzeszy. Jest nowa dyrekcja PISF. Nowy szef PISF czeka na „profesjonalne filmy, z dopracowanymi, pogłębionymi scenariuszami” („Gazeta Polska” nr 13/2018). Aż dreszcz człowieka przechodzą, gdy słyszy takie mocne deklaracje.

Na razie to w 2018 r. czeka nas wysyp dalszego ciągu filmów kina moralnej patologii: „3” Smarzowskiego o trzech księżach pedofilach, „Ptak malowany” o polskich chłopach znęcających się nad żydowską sierotą oraz „Volterra” Jacka Borcucha, w którym grająca główną rolę Krystyna Janda będzie przeżywać romans z 20-letnim Somalijczykiem pod niebem Toskanii. Seks na plaży w zbliżeniach? Dlaczego nie? Polską patologię należy pokazywać często, długo i dokładnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



„Sponsoring” był początkiem kariery Małgorzaty Szumowskiej
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Autor jest publicystą i poetą, recenzentem filmowym i redaktorem Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego. Był sekretarzem jury konkursu na film o historii Polski w MKiDN.



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Oni nas **usłyszą**

Minał już rok z hakiem, odkąd światem rządzi zasada: „Bądź cicho, a może przeżyjesz”. Ludzkość przegrała wojnę z drapieżnymi bestiami, mającymi zęby jak piranie i pazury rozrywające stalowe płyty. Monstra są ślepe, lecz obdarzone znakomitą słuchem. Gadatliwi i zakatarzeni zginęli w pierwszej kolejności. Hekatombe przetrwała jedynie garstka milczków, którzy posiadli umiejętność bezszelestnego przemieszczania się, zdobywania, spożywania i wydalania pokarmów. O zmierzchu rozpalają na dachach ogniska, by się policzyć.

Wśród niedobitków jest małżeństwo z trojgiem dzieci (czwarte w drodze), szukające schronienia na farmie. Abbottowie porozumiewają się językiem migowym, chodzą na bosaka po ścieżkach, wysypanych piaskiem. Jednak nawet

bezwzględne przestrzeganie reguł bezpieczeństwa nie pomoże, gdy córka się buntuje, a synek umiera ze strachu. Potwory zaś rozlały się po całej planecie i nie oszczędzają nawet szczurów.

Kino o zagładzie ludzkości kojarzy się z wypasionymi superprodukcjami w gwiazdorskiej obsadzie, wspieranymi przez armię fachowców od grafiki komputerowej i efektów wizualnych. Niestety, ich wysiłek zwykle niweczą producenci, sparaliżowani wizją kasowej porażki. Im większy budżet filmu, tym trudniej wznieść się ponad banał i powielanie sprawdzonych patentów. Na szczęście od czasu do czasu pojawiają się projekty skromniejsze, w których akcja rozgrywa się już po apokalipsie. Dla nich wzorcem w większym stopniu niż „Wojna światów” Wellsa są horrory z czasów zimnej wojny o małomiasteczko-

wych społecznościach, na które znienacka spada plaga w postaci zmutowanych mrówek, pajaków lub innych robali, bazujące na sprawdzonym motywie: rodzina w niebezpieczeństwie.

„Ciche miejsce” to właśnie taki rodzinny survival, skutecznie szarpiący nerwy, lecz nie przesadzający z brutalnością. John Krasinski napisał scenariusz, wyreżyserował i zagrał główną rolę, z żoną u boku. Dobrze chociaż, że oszczędzili stresu trzyletniej córce. Film, zrealizowany w naturalnej scenerii i z minimalną obsadą kosztem 17 mln dol., już w pierwszy weekend zarobił 50 mln. Prostota górą, nie należy jednak oczekiwać, by ktoś w Hollywood poczuł się z tego powodu wstrząśnięty i zmieszany. Prędzej doczekamy się inwazji krwiożerczych żółwi błotnych, niż przemysł filmowy zacznie działać wbrew swojej naturze.

Krasinski ponoć ma polskie korzenie, lecz nie utrzymuje kontaktów z ojczyzną przodków. Inaczej dałby się pewnie namówić, by w finale „Cichego miejsca” zamiast zgrzytliwej muzyki Marco Beltramiego pojawił się przebój Maanam: „O! Nie rób tyle hałasu”. ©©



★★★★★

REŻ. JOHN
KRASINSKI
„CICHE MIEJSCE”
USA 2018

wyst. Emily Blunt,
John Krasinski,
Millicent Simmonds



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „WYSPA PSÓW”

Utalentowany ekscentryk amerykańskiego kina (m.in. „Grand Budapest Hotel”) po raz kolejny próbuje sił w animacji kukiełkowej („Wspaniały Pan Lis”, otrzymał dwie oscarowe nominacje). „Wyspa psów”, film o niebezpiecznej wyprawie 12-letniego Atariego, poszukującego swego pupila, to hołd dla japońskiej popkultury, ze

szczególnym uwzględnieniem dorobku Hayao Miyazakiego (choć on specjalizował się w filmach rysunkowych). Efekt jest tyleż surrealistyczny, co kontrowersyjny. ©©

Piotr Gociek

• „Wyspa psów”, reż. Wes Anderson,
wyst. Bryan Cranston, Koyu Rankin,
Edward Norton, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Nie jestem czarownicą”, reż. Rungano Nyoni, Wielka Brytania/Francja 2017
- „Dziewczyna we mgle”, (recenzja na sąsiedniej stronie)
- „Raz się żyje”, reż. Nash Edgerton, USA 2018
- „Wielka wyprawa Oskara”, reż. Torfinn Iversen, Norwegia 2017

Krew na plecaku

Film nakręcony przez pisarza na podstawie własnej powieści? Takie rzeczy są możliwe tylko w starej Europie. Jak łatwo się domyślić, akcja „Dziewczyny we mgle” rozgrywa się w zgoła nieamerykańskim tempie, zaś dialogi są kwieciste i pełne ukrytych znaczeń.

Nauczyciel literatury, podejrzany o uprowadzenie nastolatki, która w przededniu Wigilii zniknęła w drodze z domu do kościoła, twierdzi, że siłą napędową udanego kryminału jest zło. W historii, wymyślonej przez Carrisiego, czarnych charakterów nie brakuje. Ich listę otwiera cyniczny inspektor Vogel, działający w stylu polskiego detektywa bez licencji. Bardziej niż

na rozwiązaniu zagadki zależy mu na sławie. Rozgrywa gońiące za sensacją media, choć sam również jest przez nie rozgrywany. Dziennikarskie hieny mogą zniszczyć niewinnego człowieka i uniewinnić zwyrodnialca, zrobić z bogobojnej miejsciny włoski odpowiednik Twin Peaks.



★★★★★
REŻ. DONATO CARRISI
„DZIEWCZYNA WE MGLE”
WŁOCHY/FRANCJA/NIEMCY 2017

wyst. Toni Servillo, Alessio Boni, Galatea Ranzi

Na szczęście statystyczny morderca popełnia 20 błędów i grzeszy pychą. Po co być diabłem, skoro nikomu nie można się tym pochwalić? Fani dreszczowców dość łatwo zidentyfikują owego szatana, lecz trzeba przyznać, że autor „Dziewczyny we mgle” w przewrotności nie ustępuje swym bohaterom, a czasem ich nawet przewyższa. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „A WAY OUT”

„Originals” to ciekawy projekt giganta gier komputerowych – Electronic Arts – w którym niezależni twórcy wydają niesztampowe produkcje, przy jednoczesnym wsparciu dystrybucyjnym. Właśnie takim oryginalnym podejściem do zgranego tematu ucieczki z więzienia okazało się „A Way

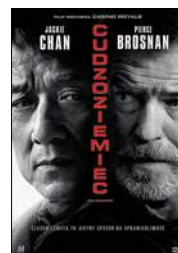
Out”. Dwóch bohaterów – porywczy kryminalista Leo i chłodny bankier Vincent – połączeni jednym celem i (jak się okazuje) wspólnym wrogiem w pogoni za zemstą muszą ze sobą współpracować. I tutaj pojawia się cała magia produkcji: muszą, ponieważ gra przeznaczona jest wyłącznie dla



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PRAWO OJCA

Pomysł jest perwersyjnie wręcz atrakcyjny: a gdyby tak tym, którzy podkładają bomby, odpłacić w ten sam sposób? W „Cudzoziemcu” ściganymi stają się zamachowcy z IRA. Oczywiście brytyjskim władzom taka forma odpłaty nie przystoi, ale samotny mściciel może robić, co chce. Mścicielem jest niepozorny, starzejący się Chińczyk (Jackie Chan), którego córka zginęła w zamachu IRA w Londynie. Chan wyrusza do Irlandii dobrać się sprawcom do skóry, ale najpierw musi zmierzyć się z dwulicowym politykiem o terrorystycznej przeszłości (Pierce Brosnan), który ma własny plan wykorzystania kryzysu bombowego. Kino zemsty to od dawna osobny i popularny podgatunek, w którym niełatwo błysnąć. Film Martina Campbella wypada na tle konkurencji dobrze, choć pod koniec robi się nieco zbyt skomplikowany. Jest jednak niezłe napisany, dobrze opowiedziany, a pojedynek sprytu i woli między Chanem i Brosnanem trzyma w napięciu do końca. ©©



wyst. Jackie Chan, Pierce Brosnan

★★★★★
REŻ. MARTIN CAMPBELL
„CUDZOZIEMIEC”
WIELKA BRYTANIA/CHINY 2017, MONOLITH

JAK DALEKO DO CLOVERFIELD

Nieodległa przyszłość. Ziemia cierpi z powodu braku energii. Nadzieją ludzkości jest kosmiczna stacja orbitalna, na której prowadzone są eksperymenty fizyczne, których celem jest znalezienie nowego źródła zasilania. Międzynarodowa załoga jest na skraju wyczerpania nerwowego, ale uwaga – gdy nadejdzie sukces, okaże się to początkiem jeszcze większych kłopotów, z pojawieniem się alternatywnego wszechświata włącznie. Film na siłę doklejony jest do nieformalnej serii („Projekt: Monster” i „Cloverfield Lane 10”), ale nie dorasta im do pięt. Po pierwsze, bo to recykling motywów znanych z innych filmów i seriali SF (od „Ukrytego horyzontu”, przez „Obcego”, do „Star Trek”). Po drugie, bo zagrany i opowiedziany jest z nonszalancją, która nie przystoi klasowym produkcjom. Nic dziwnego, że studio Paramount, które wyprodukowało to dzieło, zrezygnowało z wprowadzania go do kin i od razu sprzedało Netflixowi – podobno za 50 mln dol.



wyst. Gugu Mbatha-Raw, David Oyelowo, Daniel Brühl

★★★★★
REŻ. JULIUS ONAH
„PARADOX CLOVERFIELD”
USA 2018, NETFLIX

©© recenzuje Piotr Gociek

dwóch osób. Intrygujący eksperyment. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Akcja
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Hazelight/EA
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 18+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Demony Leonor Fini

Nasza chata z kraja. Iskry wydały bardzo ciekawą książkę o Leonor Fini, znanej malarce, ale przede wszystkim przyjaciółce i kochance wielkich artystów, prowokatorce i celebrytce, ulubienicy projektantów mody i designerów wszelkiej maści, kobiecie wyzwolonej i demonicznej. Tymczasem pierwsi czytelnicy tego literackiego portretu (nie jest to biografia w ścisłym tego słowa znaczeniu) Leonor Fini skupiają się na jednym jego wątku, a mianowicie na związku bohaterki z Konstantym „Kotem” Jeleńskim. A dokładnie na tym zdaniu z końca książki, w którym wprost mówi się o przyczynie śmierci „Kota”. A zmarł on na AIDS.

Naturalnie bez polskich odniesień taka książka jak ta, która wyszła spod pióra Doroty Hartwich, nie byłaby możliwa. Ale też protagonistką historii opowiedzianej tutaj jest Leonor Fini – w młodości uważana za piękną przyjaciółkę Picassa i Bressona, romansująca z Maksem Ernstem, podziwiana przez Diora, Rochasa, a po latach przez Geneta, a w końcu i przez Madonnę. Z Jeleńskim przeżyła bez mała 40 lat; z nim i z włoskim malarzem Stanisłao Leprim. Tworzyli trójkąt, homoseksualizm Jeleńskiego nie przeszkadzał jej. Leonor Fini dożyła 89 lat. Pochowano ją na cmentarzu w Saint-Dyé-sur-Loire w 1996 r. obok spoczywającego tam od roku 1980 Stanisłao i „Kota”, zmarłego w 1987 r. w wieku 65 lat.

Urodziła się w Buenos Aires w Argentynie, dzieciństwo spędziła w Trieście, następnie mieszkała w Mediolanie i Paryżu. Czuła się obywatelką świata, wiecznie poszukującą wolności, choć na tej drodze dokonywała niekiedy zaskakujących wyborów, np. zbliżając się w młodości do grupy artystów Novecento Italiano, z czasem ewoluującej w stronę faszyzmu. Jednak wtedy Fini znajdowała się już pod



FOT. ARCHIWUM DOROTY HARTWICH

innymi wpływami. Nigdy nie były one ani długotrwałe, ani silne. Błędnie łączono też jej nazwisko z surrealizmem, choć sama często przeciwko temu protestowała. Jej obrazy zawsze epatowały seksualnością, a fascynacja ciałem, szczególnie kobiecym, nie opuszczała jej.

Projektowała kostiumy dla teatru i filmu, malowała portrety i pozowała do zdjęć, w końcu nawet napisała trzy książki, nieszczególnie poczytne. Przez krótki czas była żoną Federico Venezianiego; zdecydowanie lepiej czuła się w nieoficjalnych związkach. Ciekawe, że feminizm był jej obcy; jeśli o coś walczyła – a walczyła – to o równouprawnienie artystyczne, nie równouprawnienie płciowe.

Była obiektem pożądania i fascynacji, ale do czasu. Później coraz więcej osób, niegdyś bliskich, zarzucało jej zaborczość, wywieranie złego wpływu na takich ludzi jak choćby „Kot” Jeleński. Nienawidziła jej matka „Kota”, ale krytycznie postrzegana była – wprawdzie w różnym czasie – przez Jerzego Giedroyc czy Jarosława Iwaszkiewicza. Niewątpliwie na takich ocenach ważyło postrzeganie twórczości – i Fini, i Jeleńskiego. Giedroyc na przykład uważał go

za najwybitniejszego polskiego krytyka i znawcę literatury i sztuki. Gdy jednak położy się na szali życia organizacyjne osiągnięcia „Kota”, jego starania o wylansowanie na Zachodzie kilku sławnych potem pisarzy polskich, z Gombrowiczem na czele, a na drugiej szali dorobek pisarski Jeleńskiego, wniosek może być tylko jeden: że był improduktywem. A tego dowcipem o tym, że na świecie powstaje zbyt wiele książek, nie da się wytłumaczyć.

Mniej czy bardziej otwarci wrogowie Leonor Fini powinni jednak pamiętać, że w późnych, „chudych” latach „Kota” żył on za jej pieniądze i to one dawały mu stabilizację finansową. Giedroyc, jak najszuszej, miał do niego pretensje o zbyt małe zaangażowanie w działania dla dobra wolnej Polski, z trudnością znosił też jego coraz bardziej widoczny kosmopolityzm.

Agnieszka Holland – rozumiem, że przepytana na tę okoliczność przez autorkę książki o Leonor Fini – orzekła: „Kot miał w sobie wielką otwartość, chłonność, ale nie był, przy silnym moralnym kręgosłupie, osądzający, jak na przykład Herling-Grudziński czy Giedroyc. Z jednej strony był nobliwy, z drugiej strony miał w sobie mocno wyczuwalną ludyczność”. Jeśli zatem weźmiemy te słowa za dobrą monetę, to Leonor Fini „zabezpieczała” mu tę ludyczną stronę życia.

A Czesław Miłosz, który też nie mało Jeleńskiemu zawdzięczał, w jednym ze swoich ostatnich wierszy, zatytułowanym nie inaczej jak „Leonor Fini” napisał:

*Byłaś starsza od niego o czterdzieści lat.
Choć kiedy go poznałaś,
każda kobieta mogła ci pozazdrościć,
bo on był naprawdę pięknym
mężczyzną,
o nieco chłopięcej urodzie.
Przyjaciele nie lubili tego związku
Nie wiem, czy po włosku macie takie
powiedzenie: ty z piczki
nie rób kapłaczki. ©©*



★★★★★
DOROTA
HARTWICH
„GATTORA. ŻYCIE
LEONOR FINI”
ISKRY 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kontinuum Gibsona

Nie do wiary – w przyszłym roku minie 35 lat od premiery powieści „Neuromancer”, książki, która odmieniła świat. William Gibson nie tylko stworzył podgatunek fantastyki zwany cyberpunkiem, lecz także zrewolucjonizował masową wyobraźnię i mnóstwo tego, co widzimy do dziś w książkach, komiksach, serialach, grach komputerowych, to dziedzictwo jego wyobraźni.

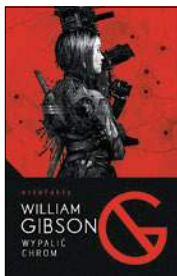
Zanim został wziętym powieściopisarzem (jest nim do dziś), tak jak każdy porządny fantasta terminował, pisząc opowiadania. Jego jedyny zbiór ukazał się w Polsce jako „Johnny Mnemonic”, a dziś trafia na rynek pod oryginalnym tytułem „Wypalić chrom” z jedną istotną zmianą – tym razem wszystkie teksty przełożył Piotr W. Cholewa, etatowy tłumacz Gibsona, który znakomicie oddaje specyfikę prozy amerykańskiego pisarza (sam Cholewa porównał je kiedyś do haiku).

Książka ma też nową przedmowę (oprócz oryginalnej, zachowanej, Bruce’a Sterlinga), w której autor zdradza, że bardziej fascynowała go w tamtym czasie proza bitników, ze szczególnym uwzględnieniem Williama Burroughsa i Jacka Kerouaca, a klasycy fantastyki, tacy jak Asimov czy Heinlein, zużyli go niepomnie.

Te inspiracje widać w opowiadaniach, które składają się moim zdaniem na jeden z najlepszych tomów krótkiej formy, jakie kiedykolwiek opublikował pisarz zaliczany do szeroko pojętej fantastyki. To znakomita literatura, czasami trochę eksperymentalna, precyzyjna, a zarazem wieloznaczna. I bardzo nastrojowa. Najbliższa „typowej” fantastyce tam, gdzie Gibson współpracował z innymi pisarzami (w tomie są trzy efekty takich kolaboracji).

Tam, gdzie dostajemy Gibsona w stanie czystym, widać od razu, że to ekstraklasa i literatura – bez przymiotników. „Hotel New Rose” włożyłbym bez wahania do antologii najlepszych amerykańskich opowiadań między Chandlera i Hemingwaya, z „Kontinuum Gernsbacka” dumny byłby Harlan Ellison, gdyby zaproponowano je kiedyś do głośnej antologii „Niebezpiecznych wizji”.

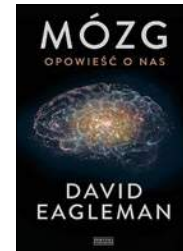
Nie zwracajcie uwagi na kiepskie ekranizacje prozy Gibsona, jest na ekranie nieprzekładalna (dowodem „Johnny Mnemonic” z Keanu Reevesem oraz „Hotel New Rose” w reżyserii Abila Ferrary), sięgnijcie do źródeł. Odkrycie pisarza, który obok Ursuli Le Guin czy J.G. Ballarda godzien jest miana giganta fantastyki czasów współczesnych. I podobnie jak oni jest w literaturze całym osobnym światem. © ©



★★★★★
WILLIAM GIBSON
„WYPALIĆ
CHROM”
MAG 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Skąd nasze zamiłowanie do ekstremalnych rozrywek? A do wojen? Dlaczego postrzegamy rzeczywistość tak, a nie inaczej? Co w głowach zmieni nam postęp technologiczny? Ilustrowany wywód znanego neurologa, współpracownika BBC.



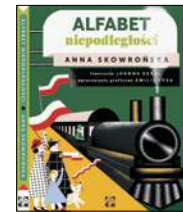
DAVID EAGLEMAN
„MÓZG.
OPOWIEŚĆ
O NAS”
ZYSK I S-KA

Pierwszy tom serii „Verlaque i Bonnet”, kryminalnych powieści, których akcja rozgrywa się w Prowansji. On to sędzia, ona jest profesorem prawa. Sympatyczne czytało kanadyjskiej autorki, trochę w duchu Donny Leon.



M.L. LONGWORTH
„ŚMIERĆ
W CHÂTEAU
BREMONT”
SMAK SŁOWA

Od „A jak arcyksiążę Ferdynand” do „Z jak zło-tówka” – krótka edukacyjna opowieść w hasłach dla młodszych czytelników o narodzinach II Rzeczypospolitej. Plus znakomite ilustracje Joanny Gębal.



ANNA SKOWROŃSKA
„ALFABET
NIEPODLEGŁOŚCI”
MUCHOMOR

Cudeńko dla miłośników polskiej klasyki komiksu. Zbiór prac jednego z najoryginalniejszych twórców gatunku (znanego z „Alfy” i „Relaxu”), wybitnego ilustratora. Plus galeria szkiców i komiksy dotąd niepublikowane. © ©



WALDEMAR ANDRZEJEWSKI
„WEHIKUŁ
CZASU I INNE
OPOWIEŚCI”
EGMONT

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Małgorzata Musierowicz „Ciotka zgryzotka” (Akapit-Press)** – 22. już tom cyklu „Jeźdzjada”, jedyne w swoim rodzaju fenomenu literackiego.
2. **Wojciech Młynarski „Rozmowy” (Prószyński i S-ka)** – wywiady z ostatnich lat życia artysty, przeprowadzone przez dziennikarzy i przez córkę Agatę.
3. **Piotr Zychowicz „Skazy na pancerniach” (Rebis)** – nowa książka autora „Do Rzeczy”, opowieść o mniej chlubnych kartach w historii żołnierzy wyklętych.
4. **Beata Anna Dąbrowska „Dieta warzywno-owocowa dr Ewy Dąbrowskiej” (WAM)** – zbiór przepisów opartych na popularnej diecie, autorką jest synowa lekarki.
5. **Remigiusz Mróz „Testament” (Czwarta Strona)** – siódmy tom kryminalnego cyklu, którego bohaterem jest Joanna Chyłka.

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej BookBook od 16 do 31 marca 2018 r.)

Jeśli sugerować się typowaniami bukmacherów, to Polska ma niewielkie szanse na wysoką lokatę w Eurowizji 2018. Jeśli wziąć pod uwagę reakcje publiczności na koncertach poprzedzających plebiscyt, to nie należy z góry skreślać polsko-szwedzkiego duetu. „Light Me Up” jeszcze przed plebiscytem cieszy się zainteresowaniem jak chyba żaden dotychczasowy polski utwór eurowizyjny.

Kawałek w wykonaniu duetu Gromee i Lukas Meijer był w pierwszym tygodniu kwietnia najczęściej graną piosenką w polskich rozgłoszeniach radiowych. Nie jest to bynajmniej przejaw patriotyzmu rozgłośni, „Light Me Up” po prostu stał się nad Wisłą hitem, którego Polacy chcą słuchać. Dobre recenzje polski producent i szwedzki wokalista zebrali po występie na London Eurovision Party 2018 – jednej z najpopularniejszych imprez poprzedzających

Gromee (z lewej) i Lukas Meijer FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER



Rozgrzewka przed Eurowizją

Eurowizję. Komentatorzy przyglądający się występowi w Café de Paris zwracali uwagę na dobry odbiór „Light Me Up” przez publiczność, nowoczesne brzmienie utworu i poprawę wokalną Maijera.

Konkurencja będzie bardzo duża. Wśród faworytów wymienia się Izrael z piosenką „Toy” Netty. Oryginalny, energetyczny, zdecydowanie wyróżniający się na tle innych propozycji, w którym woka-

listka popisuje się nie tylko ciekawym głosem, lecz także umiejętnością uczynienia z niego dodatkowego instrumentu, wydając różne dźwięki, a nawet... gładząc niczym kura. Spore szanse na zwycięstwo mają według bukmacherów również Estonia i Czechy.

My oczywiście trzymamy kciuki za Polskę. Tym bardziej że twórczość Gromee’ego była doceniana przez Europejczyków. Jego singiel „Follow

You” był w pierwszej setce najchętniej granych piosenek w Europie w 2015 r. i uzyskał status Złotej Płyty. W 2017 r. „Spirit” Gromee’ego i Mahan Moin zajęło 13. miejsce na liście najczęściej granych piosenek w polskich rozgłoszeniach. „Light Me Up” również ma potencjał.

Koncerty eurowizyjne w stolicy Portugalii odbędą się 8, 10 i 12 maja. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Hendrix **wiecznie żywy**

Zmarł 48 lat temu. Za życia wydał cztery albumy. Po śmierci ukazało się grubo ponad 200 składanek wirtuozu gitary, płyt koncertowych i ze studyjnymi odrzutami oraz albumów, na których Jimi akompaniował innym.

W 1995 r., po procesie sądowym, prawa do nagrań Hendriksa przejęła fundacja Experience Hendrix L.L.C., którą obecnie zawiaduje przyrodnia siostra gitarzysty Janie. Dopiero wtedy z pietyzmem ponownie wydano oryginalne albumy oraz niepublikowane nagrania koncertowe. Pod nadzorem Eddiego Kramera, producenta Jimiego, przeszukano taśmy i skompilowano kilka albumów z nieznanym materiałem studyjnym.

„Both Sides of the Sky” jest ponoć ostatnim wydawnictwem z takimi nagraniami. To nierówna płyta, ale znajduje się na niej kilka perełek. Przede wszystkim pełna wersja brawurowo zagranej „Mannish Boy” Muddy’ego Watersa, ogniste wykonany blues „Hear My Train a Comin” oraz przepiękny instrumental „Cherokee Mist”, który kończy album.

Inną atrakcją są nagrania dokonane przez Hendriksa z innymi gwiazdami rocka. Dostajemy dwie piosenki zaśpiewane przez Stephena Stillsa, w tym „Woodstock”, który został zarejestrowany, zanim stał się hitem supergrupy C.S.N.&Y. Johnny Winter gra techniką slide w „Things I Used to Do”, a Lonnie Youngblood śpiewa i gra na saksofonie w „Georgia Blues”. ©©



★★★★★
JIMI HENDRIX
„BOTH SIDES OF THE SKY”
EXPERIENCE HENDRIX



★★★★★
GEORGE EZRA
„STAYING AT TAMARA'S”
SONY

W wieku 19 lat obwołano go nowym Dylanem. Jego debiut był w Anglii trzecim najpopularniejszym krążkiem 2014 r. Wciąż czaruje przyćmionym barytonem, tyle że jego nowe kołyszące piosenki wyraźnie kierują się do żeńskiej klienteli. Na wakacje. ©©



★★★★★
L.U.C.
„GOOD L.U.C.K.”
SOUNDTRAK

Łukasz „L.U.C.” Rostkowski łączy jazzowy chillout ze światem kina. Sample z lat 70. mieszają się z deklamacjami Tomasza Kota, Arka Jakubika, Katarzyny Figury, rapami ES.CE i Cezika, wokalami Bovskiej i Sarsy oraz zaśpiewami Laboratorium Pieśni. ©©

RMF FM

Numer 1 wśród mediów opiniotwórczych

wg Instytutu Monitorowania Mediów



**Robert Mazurek
zapraszam o 8:02**

Rano...

2 495 000
słuchaczy

**Poranna
Rozmowa
RMF**

1 239 000
słuchaczy
Gość Radia Zet

735 000
słuchaczy
Salon Polityczny
Trójki

293 000
słuchaczy
Gość Poranka
(Tok FM 7:45)

... i po południu

1 222 000
słuchaczy
Popołudniowa
Rozmowa
RMF

351 000
słuchaczy
Puls Trójki

347 000
słuchaczy
Debate Jedynki

105 000
słuchaczy
Wywiad
Polityczny
Tok FM



**Marcin Zaborski
zapraszam o 18:02**

Źródła:

– Najbardziej opiniotwórcze polskie media w lutym 2018 roku" Instytut Monitorowania Mediów.
– Radio Track, Kantar MillwardBrown, 12.2017-02.2018, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie, wszyscy 15-75 lat.

S I E Ć

[UŁATWIENIE
UWIĘZIENIE
UMOCZENIE]



fot. Grijbert van der Waal

Pytanie czytelnika dotyczące savoir-vivre'u: „Przy uroczystych rodzinnych posiłkach kładziemy smartfony na obrusie lub blacie stołu z lewej, czy z prawej strony talerza?”.



Waldemar
Łysiak

Wygląda na to, że do końca życia będę musiał tłumaczyć się z nieposiadania komputera i smartfona, czyli z bycia „offline”, ciągle bowiem ktoś wielce zdumiony (czasami wręcz zszokowany) zaczepia mnie o ten brak dyskwalifikujący człowieka modernistycznie, technologicznie, elektronicznie, towarzysko, w ogóle życiowo. Przestałem już odpowiadać sarkazmami (że lubię żyć w XIX wieku, itp.) — odburkuję, że nie pcha mnie ku temu żadna potrzeba. Czego pytający też nie rozumieją, bo przecież cała ludzka wiedza jest „online” w „Sieci”, starczy kliknąć i korzystać. Nie rozumieją zatem, że ja czerpię z mojej głowy lub z mojej bibliotecznej półki (to trochę tak jak w przypadku Einsteina — „toutes proportions gardées” — który, gdy go jakaś akademicka komisja żartobliwie zapytała czy zna będący bazą teo-

rii względności wzór na energię, odparł, iż nie pamięta, ale pamięta gdzie może znaleźć książkę mówiącą o tym).

Jako taki — nie akceptuję egzegezy politologa/filozofa Grzegorza Lewickiego, który pisze: „*Gdyby odłączyć dziś światu prąd, cofnęlibyśmy się do średniowiecza. Tak samo jest z internetem, nie potrafimy bez niego żyć*” (2017). To nonsens, czego ja jestem dowodem, bo nigdy nie miałem komputera (ani telefonu komórkowego, ani kart kredytowych, itp.), a żyje mi się całkiem zdrowo. Owszem, mam pełną świadomość, że bez komputeryzacji nie potrafią dzisiaj żyć miliardy mieszkańców padołu ziemskiego (zwłaszcza młodzież — do czego niżej wrócę), ale nie można tego uzależnienia rozciągać na wszystkich „*homines sapientes*”. Pan Lewicki konkluduje, iż „ *kto nie będzie miał dostępu do sieci oraz wiedzy i narzędzi oferowanych za jej pośrednictwem, stanie się analfabetą na podobieństwo średniowiecznych chłopów*”. Ciekawe, bo ja „*nie mając dostępu*”, jestem mimo wszystko gramotny, i na życie zarabiam pisaniem (miast średniowieczną sochą). Nie tylko pisaniem prasowych artykułów i felietonów — bez komputera spłodziłem m.in. kilkanaście woluminów historiograficz-

nych (głównie o tematyce napoleońskiej) plus osiem tomów relacjonujących dzieje malarstwa europejskiego i dwa o dawnym polskim malarstwie. Więc nie chrań pan, że to niemożliwe bez internetu. Bez internetu czuję się bardziej komfortowo, gdyż jestem bardziej bezpieczny i (co stanowi dla mnie wartość fundamentalną) bardziej wolny!

Wolny w mojej — póki co — rzeczywistości, mimo iż ta nie moja pełni się wokół mnie niby bezkresny areał chwastów. O tej drugiej celnie się wyraził znany socjolog Andrzej Zybertowicz (jeden z najlepszych europejskich komentatorów spraw/problemów dotyczących „Sieci”): „ — *Poprzez internet powołaliśmy do życia całkiem nową rzeczywistość, która kieruje się nowymi prawami, a te są w dużej mierze dla nas nieprzejryste (...)* Nicolas Carr w głośnej książce *«Płytki umysł. Jak internet wpływa na nasz mózg»* pokazał, iż jednym z efektów internetowej rewolucji jest to, że interesują nas dziś głównie krótkie informacje, tytuły, leady, obrazki. Internet unieważnił utopijną wizję, że wszyscy będziemy oświeconą elitą, bo prawie nikt nie chce już gruntownie pogłębiać swej wiedzy, to zbyt uciążliwe. Po co ciężko pracować, by osiągnąć jakąś satysfakcję obcowania



FOT. SHUTTERSTOCK



■ z kulturą wyższą, jeśli po dwóch minutach surfowania..." (2017).

LOGOWANIE NA GŁUPIENIE

Analizowanie przez Carra i przywołanie przez Zybertowicza spłaszczenia („spłykania”) umysłu walcem internetu nie jest w ich wykonaniu żadnym „odkry-

waniem Ameryki”, gdyż to nieszczęsne zjawisko komentowano (jako bezsporne) prawie od samego początku internetowej rewolucji. Już Stanisław Lem ubolewał: „Dopóki nie skorzystałem z internetu, nie wiedziałem, że na świecie jest aż tylu idiotów”. W ostatnich paru latach takie opinie mnożą się jak przysłowiowe grzyby po deszczu. Izraelski publicysta Katav Zarbiadoli, że na „sieciowych” forach masowo

popisują się „z trudem gramotni internauci, debilątka” (2015). Czołowe media załamują ręce — tygodnik „Der Spiegel”: „Manfred Spitzer, neurolog z Ulm i autor poczytnych książek, jest przekonany, że współczesny człowiek zmierza ku cyfrowej demencji. Mówiąc krótko: komputery i smartfony ogłupiają ludzi, ich wpływ na człowieka jest negatywny bez dwóch zdań” (2016). Istotnie — potwierdzają to m.in. skandynawskie badania wpływu na mózg fal emitowanych przez smartfony, tudzież statystyki (IQ statystycznego Francuza spadło od roku 2009 o 12 punktów). Trudno się dziwić, że względem cyfrowej cywilizacji padają już apokaliptyczne określenia typu: „infokalipsa” i „cyfrokalipsa”.

Specjalistów trwoży przede wszystkim negatywny wpływ internetu na dzieciaki i młodzież. Każdemu, kto wątpi w to pejoratywne oddziaływanie na juniorskie umysły, warto poradzić, by zastanowił się czemu Jeff Bezos, właściciel Amazona i „The Washington Post”, najbogatszy (obok Billa Gatesa) człowiek świata, nie pozwala czwórce swoich nastoletnich dzieci mieć smartfonów i spędzać dużo czasu przy komputerze. Zbuntowany przeciwko Markowi Zuckerbergowi były dyrektor wykonawczy Facebooka, Chamath Palihapitiya: „Pilnuję moje dzieci, nie zezwalając, by korzystały z tego gówna.

FOT. DADO RIVIC/REUTERS/PERLUM



Tak dbam o ich mózgi i o ich zdrowie psychiczne” (2017).

Ilu rodziców wykazuje analogiczną kontrinternetową dbałość o swoje potomstwo? Bardzo niewielu. Z czego rodzi się swoista wewnątrzfamilijna przepaść. Dzisiejszy nastolatek, będący już nie właścicielem, lecz atrybutem/elementem smartfona, żyje dużo częściej/intensywniej w świecie wirtualnym niż realnym. Karen Armstrong (brytyjska eseistka, autorka m.in. „**Krótkiej historii mitu**”) udzielając wywiadu dla „**Los Angeles Times**” narzekała jako delegatka milionów stroskanych „zgreków”: „— *Widok młodych ludzi siedzących przy stole, którzy zamiast ze sobą rozmawiać wpatrzeni są w ekrany swoich smartfonów, jest bolesny. Wygląda to dziwacznie — jakby opuszczali własne ciała*” (2017). Mówiąc ściślej: opuszczają swoje mózgi. Amerykańska lekarka (psychiatra) Suzana E. Flores opublikowała dwa lata temu relację ze swej praktyki klinicznej (ratuje depresyjne dzieci, bliskie samobójstwa na skutek „wkłęcia się” w Facebook) pt. „**Facehooked**” („**Sfejsowani**”). Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) chce wpisać uzależnienie od komputera na listę chorób psychicznych. Pewną tego formę (ciężką postać izolacji społecznej, objawiającą się skrajną niechęcią do kontaktów ze światem zewnętrznym i wegetacją tylko w wirtualnym świecie gier komputerowych oraz internetu) nazwano z japońska: „**hikikomori**”. Magazyn „**European Psychiatry**” (organ Stowarzyszenia Europejskich Psychiatrików) opublikował (kwiecień 2017) alarmujący tekst pt. „**Hikikomori Goes Global**”, bo to już są miliony, miliony chorych, a wkrótce mogą być miliardy.

FOT. DAVID PAUL MORRIS/BLUMBERG/GETTY IMAGES



Mark Zuckerberg

ZE ŚMIERTELNEGO ZIMNA

Tytuł, który dałem pierwszemu rozdziałkowi tego eseju („**Logowanie na głupienie**”), może budzić sprzeciw, bo w końcu młody człowiek sięgając do internetu po odpowiedź na jakieś znaki zapytania — zwiększa swoją wiedzę, alias: rozbudowuje swą erudycję (choćaby o znajomość takich trudnych słów). Nic bardziej złudnego! — mówią krytycy internetu, twierdząc, że doraźne zaabsorbowanie z „**Sieci**” którejś historycznej daty czy dziejowego faktu (bitwy, wynalazku, pierwodruku, etc.) to pokarm równie jałowy co chwilowopamięciowe wkuwanie faktów i dat do nowoczesnych egzaminów „**testowych**” (odpowiedź: „**tak**” lub „**nie**”), które sprawiły, że dzisiejsza szkoła nie

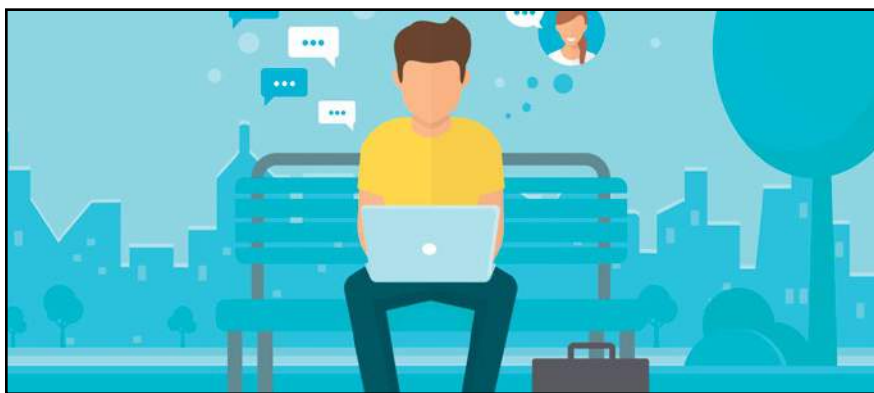
uczy już (prócz czytania, pisania i liczenia) prawie niczego.

Identycznie jest — według krytyków internetu — z „**sieciowym**” uwrażliwianiem młodych użytkowników na więzi rodzinne czy społeczne. Sławny brytyjski autor powieści szpiegowskich, John Le Carré („**Ze śmiertelnego zimna**”, etc.), parsknął niedawno: „— *Przekleństwem Wielkiej Brytanii są internaty przyszłokole, które masowo produkują ludzi nieczujących więzi z własnymi rodzicami*” (2017). Dokładnie to samo, co o internatach, mówi się o internecie (podobieństwo etymologiczne przypadek?) — że psuje lub rozluźnia więzy, miast je zacieśniać. Cytowany już dyrektor wykonawczy największego serwisu społecznościowego (Facebooka), Chamath Palihapitiya, po zerwaniu z tą firmą bił się w piersi: „— *Czuję ogromną winę za to, że współtworzyłem globalne narzędzie, które wbrew swym deklarowanym celom niszczy społeczne więzi*” (2017). Inny współzałożyciel Facebooka, Sean Parker, przyznał: „*Wiedzieliśmy z Markiem [Zuckerbergiem], że Facebook będzie negatywnie zmieniał relacje między ludźmi, paszorytując na wrażliwych punktach psychiki ludzkiej — ale i tak zrobiliśmy to! Skutki są złe i nie do końca jeszcze rozpoznane. Bóg jeden wie co Facebook robi z mózgiem naszych dzieci*” (2017). Wreszcie były menadżer Facebooka, Antonio Garcia Martinez, wydał w zeszłym roku autobiografię „**Małpy chaosu**”, demaskując tam „*bezlitosne wykorzystywanie przez serwis słabości użytkowników*”.

Chyba nie tylko „**Bóg to wie**” — diabeł wiedział to wcześniej, bo musiał maczać w tym palce, czyniąc internetowe dzie-



FOT. SCOTT GUNN



FOT. 123RF

lenie ludzi zjawiskiem „ze śmiertelnego zimna” aspołecznego. Rzecz prosta — daje się też bronić przyjaznej strony internetu wskazywaniem choćby „portali randkowych”, które trwale łączą pary. Niewiele jest wszelako tych małżeństw, dużo więcej jest tam okazjonalnych „numerków”, czyli promocji rozwiązłości postmodernistycznej, uskrzydlającej elektronicznie „wolną miłość” marki rewolucji obyczajowej '68. Rozrasta się „sieciami” również obszar „polubień” w ramach lubieżnych „wieszów społecznych” z nieletnimi, czyli internetowy raj pedofilów.

PIEKŁO INTERNETU

O diable napomknąłem wyżej nieprzypadkowo. Mam bowiem solenne przekonanie, że internet to czempion wśród nowoczesnych wcieleń szatana. Ludzie, próbując przez długie stulecia wyobrazić sobie jak wygląda piekło, rzucali różne pomysły. Niektóre były dostatecznie głupie, by piekło się rozgniewało i postanowiło ukazać. Tak zjawił się internet. Co doskonale rozumie każdy, kto został zhejtowany przynajmniej raz, zaś stale hejtowani wiedzą o tym do szczęścia. Inna sprawa, że niektórzy sami się o hejt proszą. Weźmy taką Magdalenę Ogórek. Jakby nie dość było, że jest zbyt piękna, to na dodatek jest również zbyt inteligentna i zbyt pryncypialna, a to już gruba przesada! Gdy jeszcze dodamy czwartą jej wadę, antysalonowość (vel konserwatywność plus prawicowość) — zmasowany hejt ma wszelkie podstawy, vulgo: jest usprawiedliwiony całkowicie (podobnie jak odmowy obsługiwanie pani Magdaleny przez platformerskie właścicielki sklepów bądź ekspedientki, co się już kilka razy — łącznie z wyproszeniem ze sklepu! — wydarzyło).

Serio zaś mówiąc znowu: internetowy hejt to globalna zaraza, z którą poszczególne państwa próbują walczyć administracyjnie, ale skutek restrykcji

jest mierny, hejt kwitnie, stymulowany anonimowością, która kreuje pseudoodwagę popaprańców. Komentatorzy załamują ręce — Karen Armstrong: „— Sieć napawa mnie lękiem ogromnym. Weźmy Twitter, a ściślej falę hejtu, jaka wylewa się z tego portalu codziennie. Ludzie porozumiewają się za pomocą Twittera nie widząc swoich twarzy, i to «ćwierkanie» ma ich rzekomo łączyć, ale w rzeczywistości wydobywa z nich najgorsze cechy” (2017). Andrzej Zybertowicz: „— Media społecznościowe stały się przestrzenią hejtu i trollowania. Prócz płatnego trollingu, kupowanego przez korporacje, przez Rosjan, Chińczyków czy PR-owców partii politycznych — mamy gigantyczne fale hejtu «amatorskiego» alias «rekreacyjnego». To odreagowanie braku bezpieczeństwa ontologicznego w realu. Hejt często daje poczucie sprawczości. Gdy kogoś obrażam, a ta osoba reaguje, albo gdy ktoś zauważa mój hejt i przesyła go dalej, przestaje być kimś bez znaczenia. Znajduję sobie pole podmiotowości. Ja, mały żuczek, przekazuję wszystkie szczeble drabiny społecznej, mogę zaatakować kogoś potężnego. Wystarczy, że zrobię mema, który się rozprzestrzeni...” (2016).

Albo że puszcza „fake newsa”, czyli baka internetowego. Według niejednego eksperta „Sieć” właśnie przez „fałszywki” stanowi groźbę dla liberalnej demokracji, bo szaremu obywatelowi trudno odróżniać „newsy” prawdziwe od „fake newsów” (Zybertowicz: „W oceanie zgietku mamy tyle różnych warstw, że ci, którzy dezinformują, radzą sobie lepiej”). „Fake'owa” groźba wzrosła zresztą (i to koszmarne) odkąd pojawiła się technologia, która zezwala dopasować ruch warg sfilmowanej osoby do fałszywego tekstu. Ta nowość może szerzyć kalumniejne spustoszenia, oszczerzy już się nią cieszą.

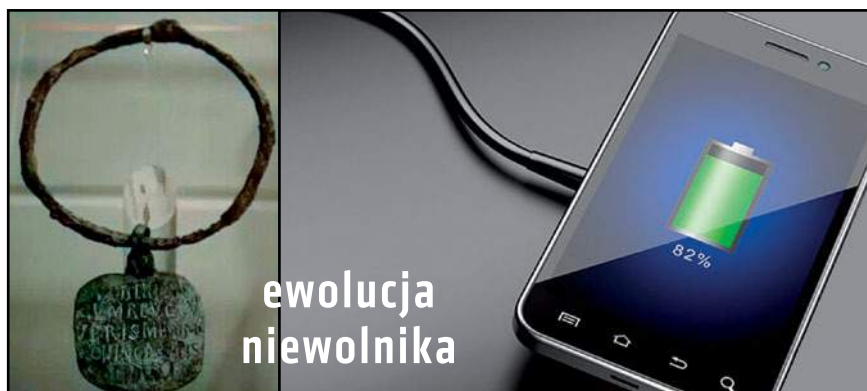
Świetnie też sobie radzą deprawatorzy korzystający z internetu. Dziś kilkuletnie dzieci jednym kliknięciem mogą przywołać „oral” i „anal” (badania Instytutu

Profilaktyki Zintegrowanej dowodzą, że za sprawą internetu 61% chłopców i 42% dziewcząt ma pierwszy kontakt z pornografią nim ukończy 12 lat; według badań cudzoziemskich połowa 13–14-letnich chłopców ogląda internetową pornografię, a co siódmy robi to każdego dnia). Teolog Jacek Kaniewski: „— Pokolenie urodzone w latach 90. i późniejszych nazywam pokoleniem porno. Problem zmagania z wyuzdaną seksualnością jest oczywiście wieczny, ale do tej pory w skali społecznej dotyczył świata dorosłych, natomiast od momentu pojawienia się internetu przestał być marginalny, jest zmorem całego młodego pokolenia. W erze smartfonów dzieci mają przez 24 godziny na dobę dostęp do pornografii o wiele łatwiejszy niż do jakiegokolwiek innej «substancji» uzależniającej” (2017). Tylko degeneraci synonimują taką łatwość dostępu z wolnością:

STĄD DO WOLNOŚCI

Główne hasło, którym szermują w polemice obrońcy internetu, nie brzmi nawet: „wiedza” (poszerzanie wiedzy) lub: „przedsiębiorczość” (łatwiejsze robienie interesów), lecz: „wolność” — „Sieć” poszerza według nich obszar/rozmiar indywidualnej wolności jednostek. Oponenti dowodzą wszakże, iż jest to wolność pozorna li tylko. Wybitny plakacista Andrzej Pągowski: „— Im większą mamy tę pozorną wolność, tym bardziej jesteśmy uwiązani do internetu, do smartfonów... Za komuny przynajmniej wiedzieliśmy, że jesteśmy zniewoleni — dzisiaj myślimy, że jesteśmy wolni” (wywiad dla „Rzeczypospolitej”, 2017). Peruwianczyk Mario Vargas Llosa (laureat literackiego Nobla 2010): „— Internet zwiększa wiedzę, ale ogranicza myślenie. Rozwija kulturę, lecz alienuje człowieka. Utrudnia cenzurę, jednak ułatwia manipulację. Sprawia, że plotki posiadają większą ciężar gatunkowy od faktów. To miękka dyktatura — bez czołgów na ulicach, lecz z orwellizmem w głowach. Media społecznościowe stają się zatem swoistą apokalipsą niwelowania wolności” (wywiad dla francuskiego „Le Point”, 2017).

Startujące na początku ostatniej dekady XX wieku (wraz z upadkiem komunizmu) pokolenie „młodych wielkomiejskich” doczekało się własnych chodzących do szkół dzieciaków, które są pokoleniem smartfonoholików zwanych „head down generation”, bo permanentnie mają łepetynę spuszczonej ku ekranowi świadrowanemu wzrokiem. Esemesy zubożyły język tego pokolenia



ewolucja niewolnika

do lapidarności barbarzyńskiej niczym u zwierząt wydających proste pomruki. Chatowy/fejsowy/instagramowy wszechświat wbił te kaleki umysłowe do komórek i przymknął drzwi, które odemknąć od wewnątrz byłoby równie łatwo jak owcom pchnąć lekko przymknięte wrota zagrody, ale z zewnątrz już się nie daje, bo owce zakluczyły solidnie swoje więzienie i nie dopuszczają ratowników. Globalna generacja intelektualnie „sprawnych inaczej”, wykluczająca jakikolwiek „rehab”. Wolność à rebours.

Oraz potop ekshibicjonizmu mylnie utożsamianego z eksplozją wolności. Internet zdemaskował ludzki gatunek pod względem bahawiorystycznym tout court. Wcześniej przez długi czas utożsamiano ekshibicjonizm wyłącznie z facetami, którzy nosząc na gołym ciele płaszcz rozchylali jego poły przed napotkaną kobietą. Teraz — dzięki „Sieci” — okazało się, że ludzkość w bardzo dużej mierze składa się z ekshibicjonistów, którzy gotowi są pokazać wszystkim wszystko, od wnętrza swego mózdzku poprzez rozchylone płaty, do wnętrza swego kroczka poprzez rozchylone uda. Przodują na tej estradzie młodzi i jeszcze nie starzy.

BOLESNE WPADKI

Bolesne wpadki, które przytrafiają się użytkownikom „Sieci”, nie są zwykłymi „zawieszeniami” komputera czy chwiloowymi wyłączeniami serwera, lecz sprawami dużo poważniejszymi, aczkolwiek bywa też, że komicznymi, czasami o globalnym zasięgu. Exemplum wpadka Briana Cullinana, „playmakera” gali wręczania Oscarów, przez którego A.D. 2017 Warren Beatty miał odczytać tytuł zwycięskiego filmu — wyjął z koperty nazwisko zwycięskiej aktorki i zbaraniał. Cały oglądający to świat zanosił się śmiechem, kompromitacja była straszliwa. Przeprowadzone później śledztwo wykazało, że rozdający koperty (za kulisami) Cullinan pomylił

się, bo akurat „energicznie tweetował”, mając wzrok wbity w smartfon. Niejeden (niejedna) taki smartfonowo zagapiony wpada na ulicy pod samochód lub robi stłuczkę (bądź coś gorszego) własnym samochodem. Miliony „zagapiają” się przed komputerem w domu tak mocno, że istnieje dla nich wyłącznie świat wirtualny, a znika z ich życia realny. Co jest nie tylko kwestią wyzbywania się wolności, ale i kwestią wyzbywania się intymności — użytkownik internetowych aparatów i gadżetów stanowi łatwusieńki obiekt inwigilacji/kontroli, sam się na prześwietlenie wystawia.

Współczesna zachodnia cywilizacja sama się wystawiła postępowi elektronicznemu na dużo większe niż przedinternetowe zagrożenie terrorystyczne, choćby ze strony islamu. Myślała, że komputery ułatwią jej prewencję i ściganie terrorystów, lecz okazało się, że bardziej ułatwiły robotę zamachowcom. I werbownikom zamachowców, gdyż adepci radykalizują

się oglądając materiały propagandowe plus szkoleniowe na YouTube, łącznie z poradnikami „jak się to robi” czy instrukcjami konstruowania bomb. Michał Szułdrzyński: „Zdaniem «The Times» wszystkiemu winne są nowoczesne technologie. Brytyjskie służby przyznają, że krwawym atakom w ostatnich latach nie udało się zapobiec tylko dlatego, iż terroryści byli o krok przed śledczymi, używając szyfrowanej komunikacji, przez którą nie dawano się ich odpowiednio wcześniej wyłapać. Nie ulega wątpliwości, że internet zmienił ich sposób działania, pytanie jednak czy sam internet jest temu winien?” (2017). Odpowiedź brzmi: może nie sam, lecz w decydującym stopniu.

Źródłem bolesnych wpadek dla władz, dla przedstawicieli prawa, dla wszelkich policji, żandarmerii i służb specjalnych jest również istnienie „cebulki” vel „ukrytego internetu”, zwanego na Zachodzie „Deepwebem” (Głęboką siecią) lub „Darknetem” (Mroczną siecią, Ciemnym internetem). Dostęp tam jest bardzo trudny. Oskar Górczyński: „Są w internecie miejsca, do których nie trafi się używając zwykłej przeglądarki, i gdzie jeszcze można być naprawdę anonimowym. Lubią je przestępcy, hakerzy, oszuści, paranoicy, anarchiści, pedofile i wszyscy dbający o prywatność. To osobny świat, z własnymi zasadami (a raczej ich brakiem), kulturą i nawet walutą. Są tam firmy zajmujące się praniem brudnych pieniędzy, znajdziemy też pełną gamę brudnych tematów: od tego jak przeprowadzić oszustwo, poprzez ofertę «długów», «organów» i «żywego

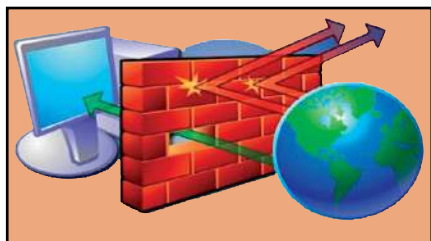




towaru», aż do porady jak pozbyć się zwłok — grubo ponad połowa stron, które można tam znaleźć, jest poświęcona działaniom nielegalnym, choćby pornografii dziecięcej” (2012).

GOLIZNA ZABEZPIECZONYCH

Fantomem, złudzeniem, klasycznym „wishful thinking” (myśleniem życzeniowym, o którym nad Wisłą się mówi: „pobożne życzenia”) jest też sfera bezpieczeństwa zawartości komputerów czyli



„twardych dysków”. Wszelkie „firewalls”, czy jak je tam zwał. Nawet te topowo wyrafinowane — rzekomo „nie do złamania” — można połtuc o przysłowiowy „kant dupy” (delikatniejsi mówią: „o kant stołu”). Genialni hakerzy bez trudu (bądź z trudem, ale jednak) penetrują Pentagon

lub wykradają pilnie strzeżone sekrety wielkich korporacji — żaden rząd, żadna agencja, żadna służba wywiadowcza nie daje rady przeciwstawić się temu, „Sieć” bowiem ma zawsze oczka (jak to sieć), czyli luki, którymi można się prześlizgnąć i wślizgnąć, czemu w penetrowanych firmach sprzyja „czynnik ludzki” — pośród dużej grupy pracowników zawsze znajdzie się idiota lub roztrzepaniec, który coś zlekceważy, coś zapomni, coś przeoczy, vulgo: zrobi błąd, otwierając furtkę dla hakerów. Zabezpieczenia, „mury”, „tarcze” itp. — zapomnij!

O jakich zabezpieczeniach komputera przed obcą penetracją można mówić, jeśli nawet specjalne cybercentrum hakerskie NSA (National Security Agency — Agencja Bezpieczeństwa Narodowego), najbardziej skrytej instytucji wywiadowczej Stanów Zjednoczonych, zostało całkowicie zhakowane (2016) przez nierozpoznanych do dzisiaj hakerów, którzy nie tylko przełamali najnowocześniejsze „*firewalls*”, nie tylko wykradli Agencji mnóstwo jej sekretów, ale ujawnili też z całą precyzją jej własne techniki (triki) hakerskie, zaprojektowane przez wybitnych specjalistów. Identycznie została ośmieszona CIA, której Ośrodek Wywiadu Cybernetycznego złośliwi anonimowi hakerzy prześwietili do cna. Drogi użytkowniku „*Sieci*” — przestań się łudzić, że zabezpieczyłeś cokolwiek we wnętrzu swojego komputera. On służy podglądaniu ciebie i rozbieraniu ciebie, golasie.

Jeżeli ktoś uważa, że takie wpadki, jak wyżej opisane kompromitacje CIA i NSA, czegoś uczą, coś poprawiają, udoskonalają w sferze bezpieczeństwa interneto-

wego — to taki optymista grubo się myli. Rok później (jesienią 2017) hakerzy północnokoreańscy wdarli się do południowokoreańskiego Centrum Danych Służb Obrony, kradnąc ważne dane, w tym seulsko-waszyngtoński Plan Operacyjny 5015 (czyli najnowszy sojuszniczy scenariusz wojny z Koreą Płn.), szczególnie procedury bieżących działań przeciw reżimowi Kim Dzong Una, plany awaryjne południowokoreańskich sił specjalnych, plus detaliczne informacje o kluczowych obiektach wojskowych i elektrowniach. Słowem: wszystko co trzeba. W tym kontekście — prorokowana wojna nuklearna chowu koreańskiego zapowiada się ciekawiej niż myśłano przed wyczynem czerwonych hakerów.

Jeśli od wrogiej penetracji nie dają rady uchronić się potęgi rządowe, to tym bardziej stoją na straconej pozycji poszczególni osobnicy, choćby byli super-specjalistami, jak John McAfee, jeden z pionierów komputerowych zabezpieczeń, który u schyłku roku 2017 przyznał, że jego konto na Twitterze opasowali hakerzy i opublikowali tam fałszywe posty o kryptowalutach, podszywając się pod niego. Naczelny redaktor „**Rzeczypospolitej**”, Bogusław Chrobot: „*Coś się zmienia ostatnio. Mam coraz częściej wrażenie, że coś mnie śledzi, kontroluje moje wybory. Zaczynam ostrożniej posługiwać się wyszukawką i telefonem...*” (2018). Istnieją dziś wszakże nie tylko pesymistyczne teorie na temat zabezpieczeń, mówiące, że pod tym względem będzie tylko gorzej, bo ludzkość kupiła „*bilet w jedną stronę*” żeniąc się z panią elektroniką. Teorie optymistyczne widzą promyki nadziei choćby w takich technologiach jak „*blockchain*” (krytycznie zabezpieczona baza danych składająca się z bloków informacji połączonych niby ogniwa łańcucha — rzecz ponoć hakeroodporna). Pożyjemy, zobaczymy.

* * * * *

Osobiście mam wobec internetu dwa przemyślenia generalne. Za jego największy sukces uważam zdemaskowanie ekshibicyjnych ciagot ludzkiej natury (o czym pisałem wyżej), a za jego największą wadę fakt, że stał się bezbrzeżną kaskadą bla-bla-bla, znaczy słowotoku. Kolumbijski mędrzec Nicolás Gómez Dávila przewidział to ponad trzy dekady temu, pisząc: „*Pustosłowie wyzwolone przez nieograniczoną wolność wypowiedzi kończą się sprowadzeniem zarówno prawd, jak i błędów, do tej samej sfery nieważności*” (tłum. Krzysztof Urbanek). ©©





SZEWACH WEISS

Rok 1948

Niektóre wydarzenia pamięta się z fotograficzną dokładnością przez całe życie.

W moim przypadku jest to m.in. 14 maja 1948 r., kiedy w muzeum w Tel Awiwie podpisano Deklarację Niepodległości państwa żydowskiego. Miałem wtedy 13 lat, do Palestyny przybyłem pół roku wcześniej. Jako pierwszy z mojej rodziny postawiłem stopy na brzegu ziemi obiecanej. Dopłynąłem tam przedwojennym statkiem rumuńskim z sześciorgiem innych dzieci z Polski ocalonych z Holocaustu. Statek dopłynął do portu w Hajfie w sobotę wieczorem, kiedy nie zajmowano się już pasażerami. Musieliśmy czekać do rana. Chyba potrzeba poezji, by opisać tę sytuację, kiedy siedmioro dzieci (pięcioro to sieroty) ocalonych z Holocaustu po tak długiej drodze widzi z pokładu statku tę ziemię, ale jeszcze nie może na niej stanąć i jej ucałować. Czuliśmy się wtedy, o czym rozmawialiśmy między sobą, bo nie mogliśmy spać całą noc, tak jak Mojżesz, który widział z góry Ziemię Obiecaną, ale nie mógł tam dotrzeć. Kiedy w niedzielę rano zeszliśmy ze statku, każdy z nas ucałował ziemię. Do dziś pamiętam zapach całowanego, portowego asfaltu. Potem instytucje syjonistyczne zajęły się nami.

Ja trafiłem do internatu Hadasim przy szkole rolniczej. Znałem już hebrajski, bo po ucieczce mojej rodziny z Polski w 1946 r. uczono nas języka. Pierwsze dźwięki żywego hebrajskiego nie były dla mnie obce, a Hadassim stało się moją pierwszą małą żydowską ojczyzną. Czułem się tam jak w domu. Ten, kto nie doświadczył, co to znaczy być obcym, co znaczy żyć w ciągłym strachu, w atmosferze i warunkach, w których człowiek stał się muchą i w każdej sekundzie można go było zamordować, męczyć, spalić, wrzucić żywcem do grobu, zadusić, pozwolić umrzeć z głodu, ten nigdy nie zrozumie, jakie znaczenie ma

poczucie wolności, jakie znaczenie ma pożegnanie się z uczuciem bycia kimś obcym.

Jednak mam i smutne wspomnienia z tamtych czasów. Każdy z naszej siódemki przypłynął tu z bagażem osobistej, rodzinnej i narodowej tragedii. Piątka z nas, dzieci, straciła całą rodzinę. Ja tylko dlatego nie byłem sierotą, że miałem to szczęście i nasi sąsiedzi w Borysławiu uratowali część mojej rodziny – matkę, ojca, siostrę, brata, mnie, kuzyna i ciocię. Tato leczył się w Austrii, bo przebywając w kanałach, nabawił się gruźlicy. Mamusia była przy nim. Moja siostra czekała na rodziców we Włoszech, a mój brat podczas próby przedostania się do Palestyny został zatrzymany przez brytyjską marynarkę i trafił na Cypr. Myślałem o nich cały czas.

14 maja 1948 r. uczniowie z mojego szkoły usiedli pod domem naszego ukochanego nauczyciela Michaela Kasztana, by wysłuchać przemówienia Dawida Ben Guriona. Słuchaliśmy w napięciu odczytywanie Deklaracji Niepodległości z odbiornika radiowego ustawionego na parapecie. A nasz nauczyciel notował każde słowo. Jeszcze tego samego dnia wieczorem w naszym internacie zorganizowano uroczystość z okazji ogłoszenia deklaracji utworzenia państwa Izrael. Nasz nauczyciel Michael Kasztan zwrócił się do mnie: „Szewachu, ty odczytasz Deklarację Niepodległości na naszej uroczystości”. Aby miało to podniosły charakter, miałem wejść na ponad 20-metrową wieżę. Dla mnie wtedy była jak drapacz chmur. Boże mój, instynktownie chciałem odmówić, powiedzieć, jak bardzo się boję, ale nie miałem wtedy odwagi na... strach. Czułem, jak symboliczna jest to chwila, czułem, że ten mały Szewach, który jeszcze kilka lat temu ukrywał się w ciasnej piwnicy i między podwójną ścianą, musi wejść, zapalić pochodnię i odczytać Deklarację

Niepodległości. Dla siebie i dla swojej rodziny. I mimo strachu mi się udało.

W sobotę 15 maja 1948 r. część państw arabskich napadła na Izrael. „Oficjalnie” rozpoczęła się wojna o niepodległość. Jej skutki są powszechnie znane, ponad rok walk pochłonął wiele ofiar. Po stronie izraelskiej życie straciło m.in. ponad tysiąc młodych dziewcząt i chłopców ocalonych z Holocaustu. Po otwarciu granic dotarł z Cypru mój starszy brat Lonek, który od razu został wysłany na front. Zobaczyłem go dopiero dwa miesiące później, gdy dostał pierwszą przepustkę.

Ja w sobotę rano usiadłem z moim przyjacielem, dzieckiem Holocaustu z Rumunii, i pierwszy raz napisaliśmy artykuł. Nadaliśmy mu bombastyczny tytuł „Słońce nad wolnym Izraelem”. Po kilku dniach opublikowało go syjonistyczne pismo, które wskazało nam nasz nauczyciel Michael Kasztan. Prawdopodobnie wtedy narodził się taki mały dziennikarz, który dorósł, a teraz jest z Wami od lat w „Do Rzeczy”. © © **oprac. raw**

„Do Rzeczy” poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weissa**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną**, by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.



Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl, tel. 22 529 12 00



Łukasz Warzecha

Rywalizacja w populizmie ma to do siebie, że trudno ją zakończyć. Dotyczy to także rywalizacji na skromność, a raczej na dziadostwo, rozpoczętej deklaracją Jarosława Kaczyńskiego

FOT. KRYSZTOF MAJ/FORUM

Fachowcy za grosze?

Populizm to przyjmowanie rozważań lub głoszenie pomysłów, co do których skutków ich autor wie, że będą złe dla państwa i wspólnoty, ale forsuje je mimo to tylko dlatego, że przynoszą mu bieżącą polityczną korzyść – podobają się grupie wyborców. Ludzie niezajmujący się bliżej polityką nie muszą sobie zdawać sprawy ze skutków danego rozwiązania. Od odpowiedzialności rządzących zależy, czy – mając wiedzę większą niż przeciętny wyborca – będą je wprowadzali, czy nie.

Wiadomo oczywiście, czemu miała służyć zapowiedziana przez Kaczyńskiego ofensywa skromności (a w istocie działości). Nie sposób jednak zrozumieć, dlaczego nie załatwił sprawy od razu znacznie mniejszym kosztem dla partii, a przede wszystkim dla państwa, lecz początkowo bronił przyznanych przez Beatę Szydło nagród, pozwalając również jej samej przyjąć taką linię.

MINISTROWIE I INNI

Na razie mamy tylko deklarację prezesa, która musi dopiero zostać zamieniona w ustawy. Kaczyński żąda, żeby stało się to szybko. Nie dotyczy to kwestii zwrotu nagród – tu mamy tylko polecenie „szeregowego posła”. Nie wiadomo, jak będzie z jego wypełnieniem. Ministrowie wiedzieli, że nagrody mają oddać, ale już wiceministrowie nie mieli jasności, zwłaszcza że pieniądze oddał np. wiceminister spraw wewnętrznych Paweł Szefernaker, który ma rangę sekretarza stanu. Wiceministrowie w randze podsekretarzy stanu początkowo byli zdezorientowani. Sądząc, że i ich dotyczy polecenie zwrotu nagród, czuli żal, bo wielu z nich zostało nagrodzonych (raczej skromnymi sumami) za konkretne projekty. Dopiero po ponad

tygodniu od wypowiedzi Kaczyńskiego pojawiły się typowe i podsekretarze stanu mogli odetchnąć z ulgą: nagród oddawać nie muszą.

A co z tymi, którzy w rządzie byli i nagrody dostawali, ale już ministrami nie są, a członkami PiS nie byli nigdy? Jakie konsekwencje miałyby wyciągać rządząca partia wobec nich oraz jakie zamierzałaby wyciągnąć wobec tych, którzy w rządzie są, ale nagród nie są w stanie zwrócić lub zwyczajnie nie chcą? Wątpliwości budzi też sytuacja, w której polecenie ministrom i wiceministrom wydaje osoba niebędąca przecież ich przełożonym. Czy członkowie rządu mają nosić na Nowogrodzką potwierdzenia dokonania przelewu? Nie wiadomo.

Pierwsze uderzenie w kadrę ministerialną – w tym tę bardziej fachową, a mniej polityczną, czyli wiceministrów – wymierzył premier Morawiecki, zamrażając nagrody i zarazem nie proponując w to miejsce żadnej rekompensaty ani głębszej reformy systemu wynagrodzeń w administracji, gdzie wiele wynagrodzeń stoi w miejscu od lat. Tymczasem zarobki wiceministrów (podstawowa stawka sięga raptem 6 tys. zł netto) są w Polsce nieproporcjonalnie niskie w stosunku do obciążenia pracą i przyjmowanej odpowiedzialności (pisałem o tym szerzej w jednym z ostatnich numerów „Do Rzeczy”).

POSŁOWIE I SAMORZĄDOWCY

Druga kwestia to parlamentarzyści. Tutaj Kaczyński trafił w społeczne emocje bez pudła i jeśli po jego decyzji PiS odnotuje wzrost, to zapewne głównie ze względu na ten jej element. Ani bowiem posłowie, ani senatorowie nie budzą wśród wyborców powszechnej sympatii, co ma odbicie w sondażach zaufania do poszczególnych instytucji

państwa. Sejm i Senat odnotowują regularnie dobre oceny w granicach najwyżej 30 proc., przy ocenach negatywnych, przekraczających na ogół 50 proc. W połowie 2016 r. deputowani spróbowali wpisać podwyżkę dla siebie do ustawy podnoszącej wynagrodzenia w administracji oraz ustanawiającej wynagrodzenie dla pierwszych dam, wywołując tak powszechny sprzeciw, że PiS wycofało cały projekt, wlewając dziecko z kąpielą.

Jak zauważył sam Kaczyński, po obniżce polscy posłowie i senatorowie będą zarabiać dużo mniej niż dwukrotność średniej krajowej, choć – jak dodał prezes PiS – jeszcze kilka lat temu ich pensja była sześciokrotnością średniej. Opisując zarobki parlamentarzystów (składające się faktycznie z pensji, dodatków np. za przewodniczenie komisjom oraz diety), można przyjąć kilka kryteriów.

To, którym posługuje się Kaczyński, jest i tak łaskawe, bo średnia krajowa jest wyższa (wynosi ok. 4 tys. zł) niż bardziej reprezentatywna mediana, sięgająca zaledwie nieco ponad 2 tys. zł. Prawdą jest też, że relacja między wynagrodzeniem parlamentarzystów a średnią pensją wygląda w różnych krajach bardzo różnie. Jedną z najwyższych jest we Włoszech. Tam pensja posła to ponad pięciokrotność przeciętnego wynagrodzenia. Na Litwie to 4,3, w Estonii – 4, w Austrii – 3,1, na Węgrzech – 2,9, w Szwecji – 2, w Luksemburgu – 1,5, w Hiszpanii – 1,2. Po obniżce Polska znajdzie się na dole skali, a przy tym nie można zapominać, że ten parametr jest bardzo złudny, bo przecież liczy się siła nabywcza pieniądza oraz poziom życia, jaki zapewnia przeciętne wynagrodzenie. W Polsce, w Warszawie, wynagrodzenie rządu 6–8 tys. zł, jakkol-

REKLAMA

Dołącz do ludzi
o WIELKICH sercach
Przeznacz 1% podatku KRS: 000 000 4522



www.hospicjum.lublin.pl  **Lubelskie Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia**

Materiał promocyjny został sfinansowany ze środków finansowych pochodzących z 1% podatku dochodowego od osób fizycznych.

■ wiek szokująco wysokie dla mieszkańca małego miasta czy wsi w biedniejszym regionie Polski, nie jest szczególnie wysokie.

Trzeci element planu Kaczyńskiego to wprowadzenie nowego limitu w przypadku wynagrodzeń wójtów, starostów, burmistrzów, prezydentów miast, marszałków sejmików wojewódzkich oraz ich zastępców. Podstawowe pensje samorządowców są już ograniczone do siedmiokrotności kwoty bazowej, wynoszącej obecnie niespełna 1,8 tys. zł. Gdzie prezes PiS chciałby postawić nową granicę – o ile w ogóle ta zapowiedź miałaby przybrać formę ustawy – nie wiadomo. Czy nowe reguły uzależniałyby wynagrodzenie od wielkości miejscowości? Również nie wiadomo. A przecież czym innym jest kierowanie samorządem w miasteczku z 20 tys. mieszkańców, a czym innym Warszawą, Poznaniem czy Łodzią. Byłoby to też znaczące – i kolejne za rządów PiS – zaprzeczenie zasadzie subsydiarności. Jakkolwiek wysokość wynagrodzeń niektórych samorządowców mogła budzić oburzenie, to jednak nie jest sprawą władzy centralnej regulować je jeszcze bardziej.

Przede wszystkim mamy zmarnowaną szansę na naprawienie ważnego dla państwa mechanizmu. Afera z nagrodami stanowiła okazję, żeby zająć się na serio kwestią wynagrodzeń władzy. Zamiast tego prezes PiS wybrał metodę szybkiego, nieprzemyślanego, reaktywnego i krótkodystansowego gaszenia pożaru, które w dłuższej perspektywie psuje państwo.

Tymczasem można założyć, że jeśli wyborców zirytowały nagrody dla ministrów, to nie dlatego, że ci zarobili więcej, ale dlatego, że regularna, przyznawana z automatu premia nazywa się właśnie „nagrodą”,

choć jako żywo żadną nagrodą nie jest. Gdyby Kaczyński przedstawił koncepcję możliwie obiektywnego sposobu oceny osiągnięć ministrów i wiceministrów oraz nagradzania ich proporcjonalnie do tych osiągnięć, łącząc ją z propozycją podniesienia wynagrodzeń pracownikom administracji, sprzeciw byłby zapewne nikły.

Podobnie rzecz ma się z posłami. Gdyby padła propozycja podniesienia poselskich uposażeń w połączeniu z zapowiedzią zmniejszenia liczby posłów w ramach reformy konstytucyjnej (liczba posłów jest zapisana w art. 96 polskiej ustawy zasadniczej), mogłoby to zyskać akceptację wyborców. Tymczasem spauperyzowani posłowie będą jeszcze mniej samodzielni, bo to ostatecznie od partyjnego lidera będzie zależało, czy zarobią dodatkowe pieniądze w radach

Afera z nagrodami stanowiła okazję, żeby zająć się na serio kwestią wynagrodzeń władzy

nadzorczych spółek Skarbu Państwa, w organach w rodzaju Rady Mediów Narodowych albo kierując sejmowymi komisjami. Nie mówiąc już o tym, że rozziw pomiędzy wynagrodzeniem posła i senatora RP a europosła stanie się tak gigantyczny, iż kandydaci do PE nie będą już w ogóle musieli mieć jakichkolwiek kompetencji, głównym kryterium ich wyznaczania będą bowiem lojalność i zasługi.

Jest w tym paradoks. Posłowie pozbawieni są już dziś samodzielności, zmuszani dyscypliną partyjną do głosowania wbrew swoim poglądom, tłamszeni, traktowani

jak maszynka do przyciskania guzików – i pozwalają się tak traktować. Można więc uznać, że większość z nich nie zasługuje nawet na te pieniądze, które dziś zarabiają. Tyle że obniżka poselskich wynagrodzeń jeszcze bardziej obniży jakość przedstawicieli narodu. To błędne koło.

KWESTIA KORUPCJI

A to przecież od posłów zależy jakość wprowadzanego w Polsce prawa. Od ministrów, a zwłaszcza wiceministrów – jego stosowanie, a także projektowanie (rządowe projekty ustaw stanowią ogromną część prawa). Od samorządowców z kolei zależy, jak traktowani będą obywatele na lokalnym poziomie. I tu pojawia się kwestia korupcji. Być może w oczach Jarosława Kaczyńskiego skłonność do brania łapówek zależy wyłącznie od charakteru, a jedynym sposobem walki z tym procederem jest postawienie na zaufanych towarzyszy oraz mianowanie „Robespierre’a” zwierzchnikami służb antykorupcyjnych. Jednak korelacja pomiędzy wysokością wynagrodzeń a poziomem korupcji jest badana przez naukowców od dawna, zaś analizy wskazują, że te dwie zmienne są szczególnie silnie połączone w krajach rozwijających się oraz tam, gdzie wynagrodzenia w administracji są niskie. Polska zrobiła właśnie krok, aby znaleźć się zdecydowanie w tej drugiej kategorii.

Ma wprowadzić rację Jarosław Kaczyński, mówiąc, że polityka nie powinna służyć dorabianiu się, ale wydaje się mylić dorabianie się z godnym życiem. Gdy powiada, że do polityki powinni iść ludzie już posiadający jakiś dorobek – w domyśle: finansowy – wykazuje się albo naiwnością, albo skrajnym cynizmem. Polska nie jest Stanami Zjednoczonymi. Nie mamy dużej grupy wystarczająco zamożnych

osób, zainteresowanych życiem publicznym, aby obsadzić nimi najważniejsze stanowiska w administracji, samorządzie i parlamencie. Jest wręcz przeciwnie: większość ludzi wystarczająco operatywnych i zdolnych, by sprostać wyzwaniom służby publicznej, nie ma ochoty pakować się w polityczne bagienko. Wolą robić pieniądze, a jeśli mają potrzebę uczestniczenia w życiu publicznym, to mają na to sto innych sposobów niż start w wyborach albo przyjmowanie kiepsko płatnej posady wiceministra. Zresztą w słowach Kaczyńskiego pobrzmiewa hipokryzja. Czy prezes PiS, będący w swoim ugrupowaniu jedynowładcą, naprawdę chętnie wzięłby na pokład ludzi, którzy ze względu na swoje wcześniejsze osiągnięcia byłiby niezależni i trudni do utemperowania? Wątpię. Tę koncepcję można zatem włożyć między bajki.

Podobnie fantasmagoryczne jest przekonanie, że praca w administracji – bo przecież nie dotyczy to posłów – będzie atrakcyjna dla osób na dorobku, których potrzeby materialne są mniejsze. Nie tylko dlatego, że na wiceministra nie bierze się świeżego absolwenta uniwersytetu, lecz także dlatego, że ci, którzy są naprawdę zdolni i kompetentni, już podczas studiów dostają oferty wielokrotnie przebijające finansowo pracę dla rządu. Brak reformy wynagrodzeń będzie sprzyjał negatywnej selekcji.

Nie można oczekiwać, że ludzie, mający już doświadczenie, ale i życiowe zobowiązania oraz niedysponujący stanem konta porównywalnym z zasobnością Mateusza Morawieckiego, będą do polityki dokładać. Jarosław Kaczyński, który takich zobowiązań nigdy nie miał, a od lat żyje wyłącznie z polityki, może tego nie rozumieć. Na tym braku zrozumienia traci niestety państwo.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Grunt to rozsądek

Pewną sławę zdobył ostatnio w Warszawie kierowca Ubera, który nie wozi zwolenników PiS. Najpierw pyta o sympatie partyjne, a potem decyduje: wiezie czy nie wiezie.

To trochę tak jak taksówkarze z czasów PRL. Oni jeździli tam, gdzie im pasowało, a nie tam, gdzie chcieli klienci. Na Ochotę, owszem, pojadę, ale na Ursynów już nie. Wypraszam sobie, mam swoją godność. A jednak ci taryfiarze jak z Barei wydają mi się sympatyczniejszymi postaciami niż pan z Ubera, który bierze udział w radosnym ideologizowaniu każdego aspektu naszego życia.

Pisałem już kiedyś o tym zjawisku przy okazji bohaterstwa prawnicowego kuriera, któremu sumienie nie pozwoliło wnieść paczki do siedziby „Gazety Wyborczej” bodaj we Wrocławiu. W tzw. międzyczasie (który zdaniem językoznawców nie istnieje) polityzacja niepolitycznych sfer życia uczyniła wielkie postępy, o czym świadczy choćby słynna historia z Trójmiasta, gdy na drzwiach prywatnego gabinetu lekarskiego wywieszono informację o nieprzyjmowaniu pacjentów głoszących na PiS.

To jest o tyle absurdalne oraz przerażające, że bez wypychania polityki w każdy zakątek rzeczywistości naprawdę można funkcjonować. I to nawet w sprawach nieco bardziej skomplikowanych niż przewozy samochodem osobowym. Optymistycznym dowodem na to jest społeczność rodziców, jaka wytworzyła się wokół klasy, do której chodzi

mój syn. Są tam ludzie z bardzo różnych bajek. Jest gość, który współpracował kiedyś z Ewą Kopacz. Są sympatyczni małżonkowie, którzy dziarsko maszerowali na marsze KOD, zanim ta zabawna inicjatywa poległa. Są zatwardziali ateści i jest historyk z IPN. I jestem ja, niewątpliwie oklejony etykietką prawicowego zakapiora i poplecznika Kaczyńskiego.

Wszyscy oni, czy może raczej wszyscy my, mają jakieś poglądy. I one kompletnie, ale to kompletnie nie rzutują na nasze relacje. Wszyscy chyba dość słusznie założyli, że zamiast kłócić się o to, czy rządy PiS są faszystowskie, czy tylko klero-nacjonalistyczne, mamy do zrobienia pewną pracę. Mówiąc górnolotnie, za co przepraszam, bo nie tego oczekują czytelnicy felietonów, uznaliśmy, że sprawa, która nas łączy – czyli nasze dzieci – jest znacznie istotniejsza niż to, kto na kogo głosował i dlaczego. Skupiamy się na tym, żeby dzieciaki miały jak najwięcej pouczających atrakcji, fajnych wycieczek i żeby podczas tych eskapad miały zapewnioną jak najlepszą opiekę. O dziwo – bo może to kogoś zaskoczy – w tych działaniach mało istotne jest, czy ktoś kiedyś pracował dla Kopacz, czy dla redaktora Lisickiego.

Jednak to znaczy, że zdrowy rozsądek istnieje i ma się całkiem dobrze. A tacy goście jak ten z Ubera to jednak odizolowane przypadki psychiatryczne nagłaśniane w mediach społecznościami przez podobnych im świrów. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Podłość

Wyznam, że nie do końca rozumiem istotę „przemysłu pogardy”. Niezależnie od tego, co naprawdę stało się w Smoleńsku, z punktu widzenia interesów przeciwników PiS 10 kwietnia 2010 r. zostały osiągnięte podstawowe cele krajowe i zagraniczne. Przejęto pełną kontrolę nad wszystkimi instytucjami państwa, a zrazem zniknął mąż stanu, przeszkadzający w maksymalnym stopniu imperialnym planom ościennego mocarstwa. Logika nakazywałaby więc działania

Małość, szykany, toporna propaganda wywoływały spontaniczne reakcje społeczeństwa

uspokajające. Należało zagospodarować ból, rozpacz, dumę narodową.

Tusk wprawdzie nie bardzo się do tego nadawał, ale nieuniknany w bieżącej politykę Komorowski... Zdrowy rozsądek podpowiadał przejęcie przez niego roli głównego koncelebransa żałoby. Jeśli społeczeństwo chciało krzyży, to należało mu na to pozwolić, ba, postawić tyle krzyży, ile by tylko zechciano. Podobnie z pomnikami – Gronkiewicz-Waltz pierwsza powinna wyskoczyć z inicjatywą. Ulice Kaczyńskiego? A niech będą w każdym mieście. Ból spowszednieje, a w ostatecznym rozrachunku

liczy się realna władza, a nie ulica, przy której stoi urząd.

Uczyniono dokładnie odwrotnie, toteż małość, szykany, toporna propaganda wywoływały spontaniczne reakcje społeczeństwa. Plu-gastwa Palikota zmuszały do odpowiedzi, zalew kłamstwa do samoorganizacji.

Pozostaje pytanie: Czy tylko polityczna ślepota i przekonanie „nie mamy z kim przegrać” napędzały kampanię nienawiści?

Najprostszym wyjaśnieniem jest świadomość „kłamstwa założycielskiego” i lęk, początkowo irracjonalny, że kiedyś przyjdzie za nie zapłacić. W tym sensie celem ataku był nie tyle wąty zrazu „lud smoleński”, ile własne demony. Co gorsza, konflikt wpisał się w trwającą w całej Europie „wojnę kulturową”. W rosnącym zacietrzewieniu poświęcono nawet swoich bliskich, dużą część własnego dawnego elektoratu i takie imponderabilia jak przyzwoitość lub poczucie smaku. Nie uczyniono nawet bilansu zysków i strat. Nie wzięto pod uwagę, że bolszewicka propaganda może odnieść sukces wyłącz- nie w warunkach monopolu informacyjnego.

Partie opozycji totalnej zapłacą za to w kolejnych wyborach i sądzę, że w dającym się przewidzieć czasie znikną. A tzw. elity intelektualne? Obawiam się, że prędzej czy później czekać je będzie rachunek sumienia, jak po czynnym i entuzjastycznym uczestnictwie w stalinizmie.

Tyle że wtedy musieli (podobno!) brać w tym udział. W naszych czasach już nie. ©©

Oświadczenie

Nie jest naszym celem dokonywanie oceny pisarstwa pana Piotra Zychowicza. Nawet mało czytani odbiorcy mogą bowiem sami odróżnić jego walory od wagi merytorycznej książek naukowych jego adwersarzy. Biorąc jednak pod uwagę poziom jego repliki [„Do Rzeczy” 14/2018], a szczególnie bezpardonowy atak na dr. Kazimierza Krajewskiego, czujemy się w obowiązku zaprotestować przeciwko deprecjonowaniu zasług i poniżaniu naszego kolegi. Nasze stanowisko nie wynika ze źle pojętej lojalności korporacyjnej, ale z obiektywnej oceny jego dorobku, na który składa się kilkanaście książek – w tym kilka wyróżnionych tak uznanymi nagrodami jak: Książka Historyczna Roku, prof. Jerzego Łojka, „Przeglądu Wschodniego” – a także kilkaset artykułów popularnonaukowych.

To prawda, że w swoich badaniach dr Krajewski prezentuje często jednoznaczne stanowisko – broniące polskiej optyki. Ma jednak w warstwie interpretacyjnej do tego takie same prawo jak każdy inny uczestnik dyskursu naukowego i publicznego. Wśród nas są osoby mające inne zdanie niż on. Jednocześnie jednak przedstawiana przez niego warstwa merytoryczna (w wielu przypadkach będąca pierwszymi ustaleniami na dany temat) należy do najbardziej obiektywnych i dopracowanych.

To prawda, że zajmując się historią od blisko 30 lat, dr Kazimierz Krajewski – jak i wielu z nas – „zakochał się” w bohaterach, których losy opisywał następnie na kartach wielu książek poświęconych żołnierzom podziemia niepodległościowego. W przeciwieństwie do redaktora Zychowicza nie widzimy jednak w tym niczego złego. Historia to bowiem nie tylko suche liczby, zestawienia, papiery, lecz także przede wszystkim ludzie – ich motywacje, postawy, lęki. Bez nawiązania z nimi bliskich relacji nigdy nie udałoby się żadnemu z nas zebrać ich relacji, a tym samym pogłębić wiedzy o opisywanym przez nas zjawisku. Nie ocalilibyśmy od zapomnienia tych świadectw. Prekursorem takich prac – wymagających samozaparcia, samofinansowania, przełamywania barier nieufności

i zwyczajnego strachu wśród zaszczytnych w PRL kombatanów był właśnie dr Krajewski. To jego dziełem jest zebranie ponad 100 relacji uczestników konspiracji antyniemieckiej i antysowieckiej.

To prawda, że w jego pracach naukowych wyraźnie przebiega chęć przywrócenia żołnierzom podziemia niepodległościowego należnego im miejsca w najnowszej historii Polski. Nie widzimy jednak w tym niczego złego. W przeciwieństwie do redaktora Zychowicza dobrze pamiętamy bowiem czasy, kiedy o ww. ludziach nie mówiono wcale, a jeśli już – to tylko źle. Z tą przyczepioną przez komunistyczną propagandę infamią wielu z nich odchodziło jeszcze w latach 90. na wieczną wartę. Ten rodzaj zadośćuczynienia – niemający nic wspólnego z brakiem obiektywizmu – po prostu im się należał i należy.

To prawda, że dr Krajewski od wielu lat jest członkiem ŚŻŻAK. Czy przynosi mu to jednak ujmę? Czy jest dowodem na jego brak obiektywizmu? Redaktor Zychowicz nie ma pojęcia o pracach, jakie w tym czasie wykonał on na rzecz środowiska kombatanckiego – od przygotowania zjazdów, bieżącej pomocy socjalnej, uzyskiwania uprawnień kombatanckich dla b. żołnierzy AK na Białorusi, do finansowania upamiętnień – w części także z własnych środków.

Kazimierz Krajewski to bezsprzecznie autorytet w badaniach nad zjawiskiem polskiego podziemia niepodległościowego (zarówno antyniemieckiego, jak i antysowieckiego), zwłaszcza na Kresach Północno-Wschodnich II RP. Udowodnił to nam w trakcie setek konferencji, paneli dyskusyjnych, seminariów czy tylko zwyczajnych rozmów dotyczących setek zdarzeń, akcji, postaci. Zdania tego nie może zmienić i nie zmieni subiektywny pogląd jednego publicysty uzurpującego sobie prawo do arbitralnego oceniania dorobku innych. Jeśli jako przedstawiciel czwartej władzy takiej oceny dokonuje, to powinien pamiętać, że ciąży na nim szczególny obowiązek odpowiedzialności za słowo, której w tym przypadku zdecydowanie zabrakło. Potraktowanie dr. Krajewskiego w sposób naszym zdaniem niegodny rodzi zasadne pytanie o granicę wol-



ności słowa, której przekroczenie musi spotkać się ze zdecydowanym protestem. Użyczenie zaś łamów przez tygodnik „Do Rzeczy” – pismo uchodzące za formacyjne dla środowiska konserwatywnego – do osobistych porachunków jednego z jego redaktorów traktujemy jako niebezpieczny precedens prowadzący do obniżenia standardów dyskursu publicznego.

Prof. Bogdan Chrzanowski
Prof. Marek Wierzbicki
Dr hab. Piotr Niwiński
Dr hab. Filip Musiał
Dr hab. Krzysztof Kaczmarek
Dr Krzysztof Tochman
Dr Agnieszka Łuczak
Dr Wojciech Frazik
Dr Waldemar Brenda
Dr Wojciech Muszyński
Dr Rafał Sierchuła
Dr Mariusz Bechta
Dr Maciej Korkuć
Dr Ryszard Śmietanka-Kruszelnicki
Dr Tomasz Łabuszewski
Jacek Pawłowicz
Leszek Żebrowski
Michał Wołhejko

PS Mając na uwadze, że p. red. P. Zychowicz uznał, iż to dr Krajewski był autorem polemiki wobec jego książki, pragnę poinformować, że grono ludzi, dla których jego pisarstwo jest tylko małowartościową publicystyką, nie ogranicza się wyłącznie do tej jednej osoby i poza krótkim fragmentem to ja byłem jej autorem. ©©

Po głębszym zastanowieniu – bez poważania
dr Tomasz Łabuszewski



Atleci i kotlety

*Lecz choćby przyszło tysięcy atleatów.
I każdy zjadłby tysiąc kotletów.
I każdy nie wiem jak się wyteżał.
To nie udźwigną, taki to ciężar.*

Ten fragment „Lokomotywy” Juliana Tuwima przypomniał mi się, gdy przeczytałem opublikowane obok oświadczenie. Za pierwszym razem moi szacowni adwersarze zaatakowali mnie we trzech. Gdy metoda „trzech na jednego” nie zdała egzaminu, postanowili przeprowadzić szturm większymi siłami. Tym razem wystąpili w osiemnastkę. Aż strach pomyśleć, ile osób zostanie zmobilizowanych następnym razem. Kompania? Batalion? Pułk? A może dywizja?

Obawiam się, że skutek będzie ten sam. W debatach historycznych – droga Pani i drodzy Panowie – nie ten bowiem ma słuszość, kto dysponuje przewagą liczebną. Ma ją ten, kto ma więcej rzeczowych, merytorycznych argumentów. I kto potrafi lepiej dowieść swojej racji. Na tym polu – co wyraźnie pokazała nasza poprzednia polemika – przewagę mam ja.

Sygnatariusze oświadczenia wyrazili oburzenie z powodu mojego „bezpardonowego ataku” na dr. Kazimierza Krajewskiego. Badacza tego miałem rzekomo „poniżyć”.

Niech się Państwo nie gniewają, nie chcę Państwa – broń Boże – urazić.

Oświadczenie Państwa przypomina mi jednak stary dowcip o samochodach, które rozdają na placu Czerwonym. Otóż okazało się, że nie na placu Czerwonym, tylko na placu Rewolucji. Nie samochody, a rowery. I nie rozdają, tylko kradną.

W rzeczywistości to nie ja bezpardonowo zaatakowałem Kazimierza Krajewskiego, tylko Kazimierz Krajewski bezpardonowo zaatakował mnie. Nie ja poniżyłem Kazimierza Krajewskiego, tylko Kazimierz Krajewski usiłował poniżyć mnie. A poza tym – wszystko się zgadza.

Przypomnę, że wszystko zaczęło się od napaści na moją skromną osobę opublikowanej w 12. numerze „Do Rzeczy” („Skazy na książkach”). Była to napaść sprzeczną ze standardami cywilizowanej debaty publicznej. Doktor Krajewski wraz z dwoma kolegami raczył obrzucić mnie stekiem wyzwań, fałszywych oskarżeń i niegodnych sugestii.

Dlaczego? Dlatego, że napisałem prawdę. W swojej książce „Skazy na pancerniach” przedstawiłem trudne epizody z dziejów żołnierzy wykłetych. Ukazałem ich nie jako spiżowych bohaterów bez skazy, lecz jako ludzi z krwi i kości. Prawdziwych bohaterów, którzy dokonywali rzeczy wspaniałych, mają jednak na koncie również czyny, których nie da się usprawiedliwić walką o niepodległy byt państwa polskiego.

To właśnie rozsierdziło dr. Kazimierza Krajewskiego i jego kolegów do tego

stopnia, że postanowili mnie publicznie przeczołgać.

Odpowiedziałem im w sposób zdecydowany, ale kulturalny i uprzejmy („Miłość jest ślepa”, „Do Rzeczy” 14/2018). Stałem się obronić swoje stanowisko i jednocześnie wskazać na zasadniczą różnicę, jaka występuje między mną a moim polemistą. Mnie interesuje prawda – jakakolwiek by ona nie była – a dr Krajewski woli pisać historię w sposób upudrowany.

Oświadczenie podpisane przez kolegów dr. Krajewskiego wydaje mi się więc co najmniej niefortunne. Jego sens sprowadza się bowiem do tego, że dr Krajewski może do woli szargać moją godność osobistą i publicznie pomawiać mnie o rzeczy, których nie napisałem. A ja nie mam prawa się bronić. Każda odpowiedź zostanie bowiem uznana za „bezpardonowy atak” i załatwianie „osobistych porachunków”.

Czy na tym ma polegać owo ograniczenie wolności słowa, o którym mowa w oświadczeniu? Doprawdy, osobliwy to postulat ze strony ludzi nauki, którzy powinni stać na straży wolności debaty i badań.

Prawdziwy fenomen tego oświadczenia polega jednak na czym innym. Otóż jego autorzy – nie szczędząc mi uszczupliwości (zapewniam, że nie wzmacnia to Państwa argumentacji) – de facto przyznali mi rację.

Przyznali bowiem, że dr Krajewski w swoim piśarstwie „prezentuje często jednoznaczne stanowisko – broniące polskiej optyki”. A jako działacz kombatancki nie ma niezbędnego dla historyka emocjonalnego dystansu do przedmiotu swoich badań.

I to właśnie jest osią sporu. Od „bronienia optyki” są bowiem propagandyści. Historyk musi zaś być bezstronny i krystalicznie obiektywny. Jego zadaniem nie jest obrona żadnej „optyki”, tylko rekonstrukcja rzeczywistego przebiegu zdarzeń. Skonfrontowanie ze sobą rozmaitych źródeł – polskich, żydowskich, białoruskich, ukraińskich, sowieckich czy niemieckich – aby dociec prawdy.

Historyk musi być krytyczny, a nie bezkrytycznie podchodzić do wszelkich działań członków swojej wspólnoty etnicznej lub ukochanej formacji wojskowej. Jeżeli postępuje inaczej – a tak jest w przypadku dr. Kazimierza Krajewskiego – musi liczyć się z tym, że zostanie to negatywnie ocenione przez innych historyków i dziennikarzy. ©

Z poważaniem
Piotr Zychowicz



PIOTR ZYCHOWICZ
„SKAZY NA PANCERZACH”
REBIS



Sprawiedliwy Japończyk



Łukasz Czarnecki

Przed śmiercią z rąk Niemców ratowało Żydów także dwóch Chińczyków i jeden Japończyk. Był nim Chiune Sugihara, wicekonsul Cesarstwa Japonii w Kownie

Życie tego japońskiego dyplomaty i wywiadowcy jest gotowym materiałem na scenariusz filmu (nakręconego zresztą przez jego rodaków w roku 2015). Czego w nim nie ma! Młodość spędzona w Mandżurii, zakończona złamanym sercem miłość do pięknej Rosjanki i tajna misja szpiegowska w Europie. Wreszcie – dożgonna wdzięczność ocalonych przez niego tysięcy Żydów i Polaków, która zapewniła mu miejsce w historii i uczyniła symbolem

pokazującym, że nawet w nieludzkich czasach można się zachować względem potrzebujących bliźnich po ludzku.

Z MANDŻURII NA LITWĘ

Chiune Sugihara przyszedł na świat w roku 1900. Od dzieciństwa przejawiał wielką inteligencję i w wieku 19 lat otrzymał rządowe stypendium ufundowane przez MSZ Cesarstwa. Dzięki uzyskanym pieniądзом mógł wyjechać na zagraniczne studia. Jako miejsce nauki wybrał chińską Mandżurię i tak trafił do Harbinu, gdzie zaczął uczęszczać na zajęcia z języka rosyjskiego w szkole działającej pod szyldem Towarzystwa Japońsko-Radzieckiego.

W Mandżurii miał Sugihara spędzić najpiękniejsze lata swego życia. Z krótką przerwą na odbycie służby wojskowej w okupowanej przez Japonię Korei mieszkał tu aż do 1935 r., pracując jako urzędnik w harbińskim japońskim konsulacie, ucząc przyszłych dyplomatów i szpiegów języka rosyjskiego, a po

powstaniu uzależnionego od Krainy Wschodzącego Słońca marionetkowego Cesarstwa Mandżukuo, współtworząc od zera jego MSZ. Lubił się dobrze bawić i nie stronił od rozrywek. Gdy odwiedzał Tokio, nogi szybko niosły go do dzielnicy uciech, gdzie spędzał upojne chwile w towarzystwie gejsz. Żadna z tych uroczych kusielek nie zaważnęła jednak na dłużej jego sercem. Sztuka ta udała się dopiero mieszkającej w Harbinie pięknej rosyjskiej emigrantce o imieniu Klaudia, z którą dyplomata wziął ślub w roku 1924. Dziewczyna pochodziła z centralnej części Rosji, gdzie jej szlachecka rodzina posiadała majątek ziemski. Bolszewicka rewolucja odebrała im dorobek całych pokoleń i sprawiła, że chcąc ratować życie, uciekli na Daleki Wschód. Mandżuria nie była, niestety, ziemią obiecaną i bliscy Klaudii ledwie wegetowali, wiodąc nędzny żywot apatrydów. Chcąc pomóc rodzicom, młoda szlachcianka zatrudniła się jako kelnerka w harbińskiej kawiarni. Pewnego razu wdała się



Nobuki Sugihara, syn japońskiego dyplomaty Chiune Sugihary (na zdjęciu w tle), podczas ceremonii nadania imienia jego ojca ulicy w Netanji w Izraelu w 2016 r. Chiune Sugihara w trakcie II wojny światowej uratował tysiące Żydów z Europy. FOT. BAZ RATNER/REUTERS/FORUM

w rozmowę z uczęszczającym do lokalu Japończykiem. Od słowa do słowa pomiędzy Sugiharą, bo to on właśnie był owym klientem, a śliczną dziewczyną nawiązała się nić porozumienia, która z czasem przerodziła się w miłość i doprowadziła ich na ślubny kobierzec.

Pod wpływem Klaudii Sugihara przyjął chrzest i stał się pobożnym wyznawcą prawosławia, znanym w rosyjskiej społeczności Harbinu jako Siergiej Pawłowicz. Niestety, pożycie małżeńskie nie wytrzymało konfrontacji z ambicją młodego dyplomaty. Chciał piąć się w górę urzędniczej hierarchii. Marzyło mu się wysokie stanowisko w japońskiej służbie dyplomatycznej. Jako specjalista od Rosji właśnie z tym krajem wiązał swą przyszłość. Mając jednak za żonę „białą” Rosjankę, nie mógł nawet marzyć o posadzie na placówce w ZSRS. W końcu chęć zaszczyców przeważyła i w roku 1935 Sugihara rozwiódł się z Kludią. Nieszczęśliwa dziewczyna wyjechała do Australii. A Siergiej Pawłowicz rychło

wszedł w nowy związek małżeński z Japonką o imieniu Yukiko.

W roku 1937 dostał posadę tłumacza w japońskim poselstwie w stolicy Finlandii i wyjechał do Europy. Dwa lata później mianowano go wicekonsulem i powierzono mu kierowanie otwartym właśnie konsulem w litewskim Kownie. W placówce pojawił się dosłownie pięć minut przed wybuchem II wojny światowej, w sierpniu 1939 r.

Na całej Litwie jedynymi Japończykami byli wicekonsul oraz jego rodzina i jak dotąd z reprezentowaniem interesów Kraju Kwitnącej Wiśni w państwach bałtyckich doskonale radziło sobie poselstwo na Łotwie. Jaka zatem była prawdziwa misja Sugihary? W rzeczywistości miał on nie tyle dbać o japońskich obywateli, ile zbierać informacje o ZSRS. Japońskie służby wywiadowcze spodziewały się wybuchu konfliktu zbrojnego w Europie i chciały mieć na miejscu swojego człowieka, który obserwowałby ruchy będącego śmiertelnym wrogiem Cesarstwa czerwonego molocha, a przy okazji miał też oko na Niemców.

WIZY SUGIHARY

Nadszedł wrzesień 1939 r. i rozpoczął się czas apokalipsy. Napadnięta przez Niemców i Sowietów II Rzeczpospolita rozsypała się jak domek z kart, a jej ziemie zostały podzielone między najeźdźców. Wilno Stalin przekazał Litwinom, mimo że planował już aneksję również ich ojczyzny. Na Litwę, która ogłosiła neutralność, ruszyły tysiące polskich uchodźców. Małeńki nadbałtycki kraj miał aż do sierpnia 1940 r., kiedy to padł ofiarą sowieckiej agresji, stanowić bramę prowadzącą do wolnego świata.

Wśród polskich obywateli, którzy starali się przekroczyć te wrota, było wielu uciekających przed Niemcami Żydów. Litwa była dla tych ludzi tylko przystankiem, z którego wyruszali w dalszą drogę poprzez Skandynawię i kraje Beneluksu do Francji lub jeszcze dalej – do Palestyny bądź USA. Niestety, z nadejściem roku 1940 – po upadku Danii, Norwegii, Holandii, Belgii i Francji – droga ta przestała istnieć. Jedyną szansą na wyrwanie się z ogarniętej wojennym szaleństwem Europy była droga przez ZSRS, a następnie Japonię. Był jednak pewien problem – aby wyruszyć w podróż, potrzebne były wizy wjazdowe do jakiegoś kraju przeznaczenia. Uzyskanie wiz brytyjskich i amerykańskich

granicyzły z cudem. Polscy uchodźcy – zarówno Żydzi, jak i Polacy – znaleźli się w pułapce. Na szczęście dla nich konsul Holandii na Litwie – Jan Zwartendijk – poruszony ciężkim losem uciekinierów zaczął wydawać wizy na wjazd do holenderskich posiadłości w Ameryce Południowej. Oczywiście było dla niego, że żaden z interesantów, którzy je odebrali, nie pojedzie raczej do Indii Zachodnich, tylko zniknie gdzieś po drodze, by odnaleźć się w Palestynie lub na ziemiach imperium brytyjskiego, chciał jednak pomóc nieszczęśnikom. Między 22 lipca a 2 sierpnia Zwartendijk wydał łącznie 2,4 tys. wiz. Zaopatrzeni w nie uchodźcy mieli w końcu oficjalny punkt docelowy swego exodusu. Teraz trzeba było załatwić formalności związane z wyruszeniem w drogę. Aby uciec z Europy, musieli uzyskać wizy tranzytowe przez ZSRS i Japonię. Sowietci uzależniali wydanie takowych dokumentów od wcześniejszego uzyskania zgody na przejazd przez ziemie Cesarstwa. W efekcie 27 lipca przed kowieńskim konsulem Sugihary zaczęły ustawiać się kolejki zdesperowanych ludzi. Wśród nich było też wielu takich, którzy nie mieli żadnych wiz docelowych, lecz mimo to i tak chcieli się udać na Daleki Wschód, licząc na to, że odpowiednie papiery zdobędą w zagranicznych placówkach dyplomatycznych w Japonii.

Wicekonsul był mocno zaskoczony. Nie wiedząc, co robić, skontaktował się z tokijską centralą. Odpowiedź była kategoryczna: nie wydawać żadnych wiz! Im dłużej jednak Sugihara patrzył na kłębiący się pod konsulem tłum i im więcej widział w nim przerażonych kobiet, dzieci i starców, tym większa rosła w nim niezgoda na niesprawiedliwość. Ostatecznie zdecydował się nie respektować przysłanych z ojczyzny rozkazów i zaczął wypisywać wizy każdemu, kto tylko się do niego zgłosił. Gonił go czas, gdyż za 20 dni miał zamknąć konsulat i wyjechać. Dlatego też codziennie zrywał się wczesnym rankiem, o dziewiątej otwierał placówkę i zaczynał wypisywanie dokumentów. Po godzinach takiej pracy głowa ciążyła, ręce omdlewały, a on i tak wystawiał kolejne wizy do późnej nocy. Miał tylko dwóch pomocników – folksdojczka Wolfganga Gutzego, który oprócz pracy na stanowisku sekretarza konsulatu był także szpiegującym japońskiego dyplomaty agentem gestapo, oraz kamerdynera Bolesława Rózińskiego,



Hanni Vogelweid (z prawej) – Żydówka, która była wśród osób uratowanych dzięki wizom wystawianym przez Chiune Sugiharę (z lewej)

FOT. ALEX GARCIA/LOS ANGELES TIMES/GETTY IMAGES

■ pracę lokaja łączącego ze służbą w polskim wywiadzie.

Uzbrojeni w japońskie wizy uchodźcy szybko załatwiali sowieckie dokumenty, pakowali walizki i ruszali w drogę do Władystoku Koleją Transsyberyjską. Ku przerażeniu japońskich urzędników nagle na granicy Cesarstwa zaczęły pojawiać się całe tłumy Polaków i Żydów. W Kraju Kwitnącej Wiśni nikt nie był na coś takiego przygotowany. W Kobe i Jokohamie, do których najczęściej udawali się uciekinierzy, zapanował kompletny chaos, a urzędnicy japońskiego MSZ rwali sobie włosy z głów. 20 sierpnia do Kowna zaczęły napływać nadawane z Tokio telegramy, w których wściekli zwierzchnicy Sugihary nakazywali mu natychmiast zaprzestać wydawania wiz. Szlachetny Japończyk wyrzucał je do kosza, po czym znów siadał za biurkiem i wystawiał kolejne dokumenty wszystkim chętnym. Jako że ręczne wypisywanie zajmowało dużo czasu, chcąc usprawnić cały proces, wicekonsul skorzystał z rady swego znajomego, polskiego agenta por. Leszka Daszkiewicza, i zamówił gumową pieczęć, którą podbijał od tej pory paszporty. Przy okazji kopię owej pieczęci zorganizował

sobie też polskie podziemie, które już po wyjeździe dyplomaty wystawiło całą serię wiz z datą wsteczną.

31 sierpnia na skutek napływających z ojczyzny rozkazów i nacisków ze strony sowieckiej Sugihara musiał zamknąć konsulat. Spaliwszy wszystkie dokumenty, 1 września wyjechał z Kowna. Żegnał go tłum zdesperowanych uchodźców, którym wystawiał wizy nawet przez okno pociągu.

POMNIK TRWALSZY OD SPIŻU

Opuściwszy Litwę, wicekonsul udał się najpierw do Berlina, następnie zaś do Pragi, gdzie miał pracować przez resztę wojny jako zastępca konsula generalnego. 28 lutego 1941 r. złożył swym tokijskim przełożonym raport, znany dziś jako „lista Sugihary”, zawierający 2139 nazwisk Polaków i Żydów, którym wystawił wizy. Szacuje się jednak, że ocalonych przez niego było znacznie więcej ludzi. Jako że jedna wiza wystarczała do wyjazdu całej rodziny, łączna liczba uciekinierów, którzy udali się do Japonii, wynosi ok. 6 tys.

Dotarłszy na ziemię Cesarstwa, uchodźcy mogli nareszcie odetchnąć z ulgą. Japonia była tradycyjnie przyjazna

Polakom, co wynikało z długiej, sięgającej lat 20. współpracy wojskowej z II Rzeczpospolitą. O sile związków pomiędzy dwoma znajdującymi się na przeciwległych krańcach globu krajami najlepiej świadczy to, że gdy w grudniu 1941 r. polski rząd na uchodźstwie pod naciskiem aliantów wypowiedział Japonii wojnę, Tokio odmówiło przyjęcia tego faktu do wiadomości. Również dla polskich obywateli pochodzenia żydowskiego Cesarstwo miało okazać się ziemią obiecaną. Jakkolwiek Japonia była sojusznikiem III Rzeszy, to w kwestii żydowskiej prowadziła własną, niezależną politykę. – Swoista logika kilku decydentów z Tokio z MSZ, armii Japonii, marynarki i Armii Kwantuńskiej podążała ścieżkami stereotypów na temat starozakonnych, które w Europie stały się poniekąd źródłem ich nieszczęść. Inaczej było w Japonii, gdzie doceniono żydowskie domniemane bogactwo oraz wpływy i dzięki temu postanowiono o powstaniu tajnego planu zachęcającego ten lud w latach 1934–1940 do osiedlania się na terenach zajętych przez Japonię. Liczono na inwestycje Żydów w Mandzurię, a powstałe państwo żydowskie mogłoby stanowić bufor przeciwko komunizmowi – opisuje specjalistka od dziejów żydowskiej diaspory na Dalekim Wschodzie, dr Joanna Guzik z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Sugiharze przyszło zapłacić wysoką cenę za szlachetność. Był człowiekiem bardzo ambitnym, więc ciężko mu się odczuć karę, którą japoński rząd wymierzył mu po wojnie. W roku 1947 został zwolniony z pracy w MSZ i musiał przejść do sektora prywatnego. Ocaleni przez niego Polacy i Żydzi nigdy go nie zapomnieli. W Izraelu uzyskał rangę bohatera i w roku 1985 nadano mu tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Wkrótce potem zmarł.

– Rząd Izraela interesował się kwestią upamiętnienia japońskiego konsula od 1969 r. – mówi badaczka spuścizny Sugihary, dr Olga Barbasiewicz z Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Sugihara jest jednym z bardziej kojarzonych Sprawiedliwych w Izraelu, pomimo że nie narażał życia tak jak wiele innych osób zaliczonych do tego grona – zaznacza.

Z czasem również Japończycy zorientowali się, jak wielką postacią był Sugihara. Pośmiertnie został rehabilitowany przez MSZ i jest dziś w Kraju Kwitnącej Wiśni postacią powszechnie znaną i cenioną.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Katorga i Gułag

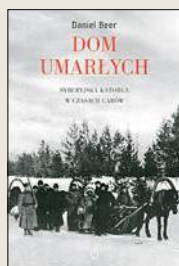
Wśród komunistycznych dysydentów krytykujących tzw. stalinizm modne było porównywanie obozów koncentracyjnych Gułagu do carskiego zesłania. „Tam było tak okropnie jak za cara!” – mówili owi panowie. Tymczasem każdy, kto miał choćby pobieżne pojęcie o piekielnych warunkach panujących w sowieckich łagrach, słuchał tych niedorzeczności z najwyższym zdumieniem. W rzeczywistości bowiem carskie zesłanie w porównaniu z sowieckim łagrem jawi się jako luksusowe wczasy. Pisał o tym przed laty Józef Mackiewicz. A teraz pisze o tym Daniel Beer w znakomitej książce „Dom umarłych”.

„Ironia losu polegała na tym – stwierdza historyk – że bolszewicy, którzy na każdym kroku eksponowali męczeństwo syberyjskich zesłańców i okrutną tyranię carskiego państwa, wysyłali swoich przeciwników do obozów katorżniczej pracy na skalę, która przerastałaby wyobraźnię carskich funkcjonariuszy”. I dalej: „Wielu radykałów przedrewolucyjnego podziemia dostało unikalną szansę porównania syberyjskich więzień w czasach carskich i sowieckich. Większość z rozrzewnieniem wspominała warunki, w jakich odbywała karę przed rewolucją”.

Daniel Beer opisuje m.in. przypadek Polaka Iwana Teodorowicza. Był to rewolucjonista, który na początku XX w. dwukrotnie został zesłany do guberni irkuckiej. Po rewolucji został bolszewikiem, redaktorem naczelnym pisma „Katorga i Zsyłka”, na którego kartach opisywano „potworności” carskiego systemu penitencjarnego. W 1937 r. Teodorowicz padł ofiarą wewnątrzpartyjnych czystek. Tym razem nawet nie dotarł na Syberię. 20 września 1937 r. jako „wróg ludu” został zastrzelony.

W sumie w okresie wielkiego terrorku bolszewicy zamordowali 130 członków Stowarzyszenia Byłych Katorżników Politycznych i Zesłańców. A 90 wysłali do łagrów. „[Łagry te] utworzył rewolucyjny reżim – pisze Beer – o którego dojście do władzy wielu z nich walczyło”.

Dobrze jest przeczytać książkę nie tylko ciekawą, lecz także mądrą. ©©



★★★★★
DANIEL BEER
„DOM UMARŁYCH.
SYBERYJSKA
KATORGA
W CZASACH
CARÓW”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Odeski tygiel

Gdyby przeprowadzić konkurs na najbardziej kosmopolityczne miasto imperium Romanowów, zapewne Odessa zajęłaby wysokie miejsce. Od chwili założenia (1795) osiedlali się w niej: Niemcy, Żydzi, Grecy, Polacy, Tatarzy, Rosjanie i Ukraińcy. Nieprawdopodobny tygiel narodowości i kultur, obok

poślubił córkę kupca. Mieszala się krew, upadały i powstawały fortuny.

Piękny obraz Polaków z Odessy przedstawił Jarosław Iwaszkiewicz w „Sławie i chwale”. Polacy od pokoleń żyjący w mieście i jego okolicach uważali Odesę za małą ojczyznę. Gdy jednak Polska odzyskała niepodległość, opuszczali rodzinne miasto. Zresztą zmuszały ich do tego także niebezpieczeństwa związane z upadkiem imperium Romanowów; miasto kolejno zajmowali: Ukraińcy, bolszewicy, Austriacy, biali Rosjanie i znów bolszewicy. A każda zmiana oznaczała krwawe represje.

siebie wznoszono cerkwie, kościoły, synagogi i meczety.

Świat Odessy nie był zhierarchizowany. Tutaj rządził pieniądź, a nie tytuły

Znaczną rolę w mieście odgrywali Polacy. Bogaci ziemianie z południowych kresów zjeżdżali po zbiorach, by dopilnować sprzedaży zboża i zaopatrzyć się w luksusowe towary przywożone do portu. Miesiące zimowe spędzano w mieście. Strumieniami lało się wino, wygrywano i przegrywano fortuny przy kartanych stolikach. Odessa stała się przedsiönkiem imperium Romanowów, odwiedzali ją słynni śpiewacy, mistrzowie klawiatury i smyczka, a tutejsze bale cieszyły się ugruntowaną renomą. Wielu polskich ziemian zakupiło domy, gdzie większość czasu spędzały ich rodziny. Świat Odessy nie był zhierarchizowany. Tutaj rządził pieniądź, a nie tytuły bez znaczenia. Niejedna panna z wielkiego rodu wyszła za mąż za dorobkiewicza, a nie jeden zubożały arystokrata

Odessa trafiła do polskiej kinematografii nie tylko za sprawą serialu opartego na powieści Iwaszkiewicza, lecz także dzięki komedii Juliusza Machulskiego „Dejavu” (premiera: 18 kwietnia 1990 r.). To właśnie w tym mieście rządzonym przez Sowietów pojawił się amerykański zawodowy morderca John Pollack (Jerzy Stuhr), usiłujący zabić gangstera zbiegłego z USA. Nie wykonał jednak zadania, gdyż jego osobowość nie wytrzymała konfrontacji z absurdami sowieckiej rzeczywistości. Niektóre sceny z filmu przeszły zresztą do legendy, jak chociażby ujęcia ze słynnych Schodów Potiomkinowskich. Pollack, ścigając swoją ofiarę, wpadł tam na ekipę Sergiusza Eisensteina kręcącą właśnie „Pancernika »Potiomkina«” i stracił ze schodów słynny dziecięcy wózek, co skwapliwie wykorzystał Eisenstein, nakazując filmować scenę. ©©

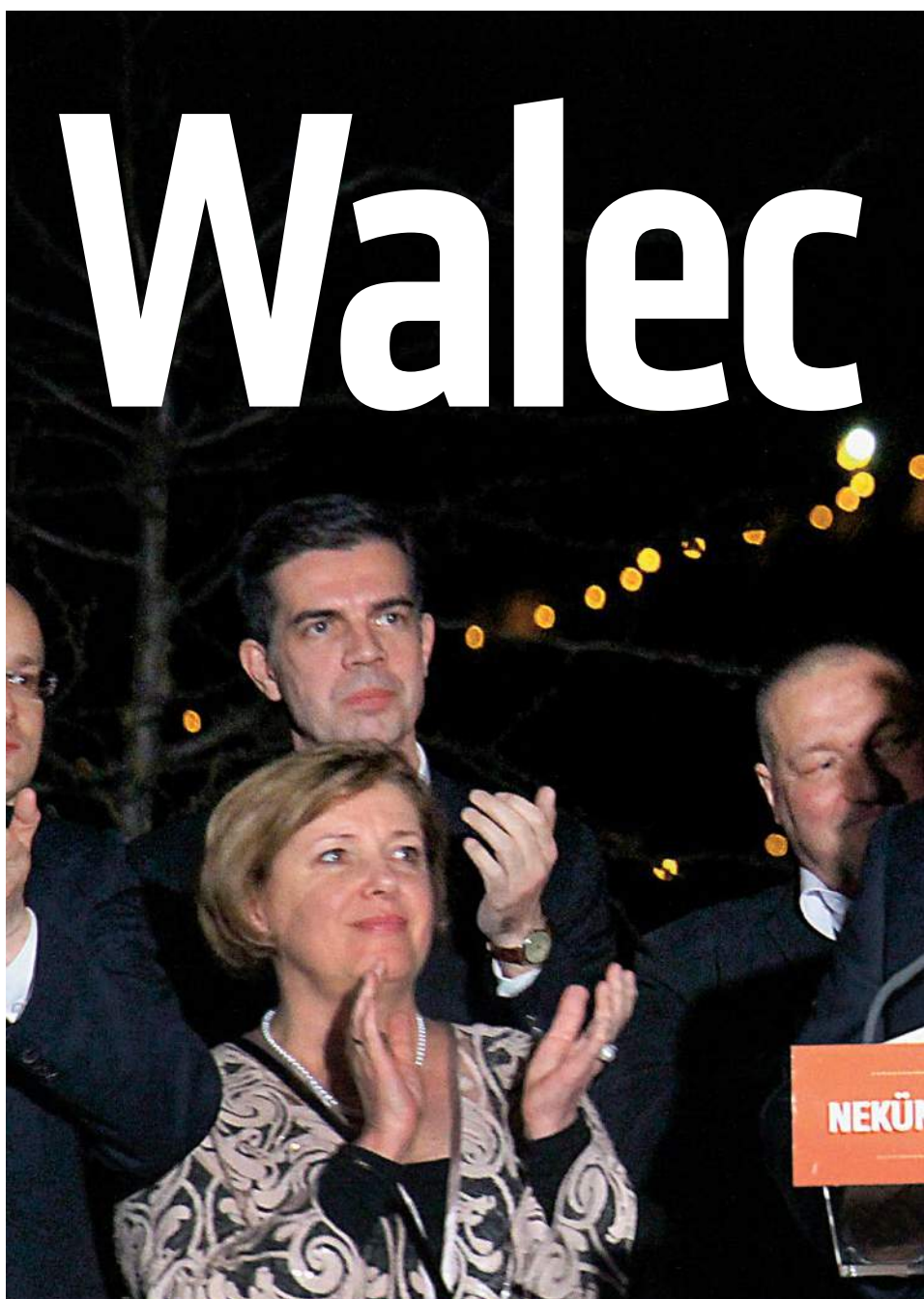


Olivier Bault

Wyborcy na Węgrzech pokazali, że zdecydowanie nie chcą takiej Europy, o jakiej marzą Timmermans i spółka. Fidesz odzyskał większość konstytucyjną

Skala zwycięstwa Fideszu i sprzymierzonych chrześcijańskich demokratów z KDNP w wyborach 8 kwietnia była zaskoczeniem. Wszyscy znawcy polityki węgierskiej, których pytałem w tygodniach poprzedzających wybory, byli zgodni: o ile Fidesz na pewno uzyska większość bezwzględną w Zgromadzeniu Narodowym, o tyle nie będzie to już większość konstytucyjną (dwie trzecie) jak po wyborach w latach 2010 i 2014. Taką większością koalicja Fideszu i KDNP nie dysponowała już po przegranych wyborach uzupełniających w lutym 2015 r. Wydawało się, że oskarżenia o coraz większą korupcję i nepotyzm w szeregach Fideszu mogą wzmocnić opozycję, zwłaszcza że nawet największa partia opozycyjna Jobbik – często określana do tej pory mianem „skrajnej prawicy” – nawoływała swoich wyborców do głosowania w swoim okręgu na najsilniejszego kandydata opozycji, choćby miał być nim przedstawiciel lewicy. Krótko przed wyborami europosłanka Krisztina Morvai, wybrana z listy Jobbiku i wytypowana w przeszłości na potencjalną kandydatkę tej partii na prezydenta Węgier, wieszczyła uformowanie wspólnego rządu Jobbiku i partii lewicowych, choć sama nie popierała takiego rozwiązania.

Przedsmak takiej koalicji narodowców z liberalną lewicą miało stanowić zwycięstwo wspólnego kandydata opozycji 25 lutego w wyborach na burmistrza miejscowości Hódmezővásárhely uważanej do tej pory za absolutny bastion Fideszu. Powiązany z Jobbikiem zwycięzca tych wyborów Péter Márky-Zay wystartował jako kandydat niezależny z poparciem Jobbiku i partii lewicowych. Sam chętnie przedstawia się jako praktykujący katolik i konserwatysta, ale przekonania ma raczej lewicowo-liberalne. Mówił, że w związku z wyborami parlamentarnymi ma nadzieję na powstanie rządu technokratów, „którego głównym celem będzie przywrócenie demokracji,



wolności prasy, rządów prawa, gospodarki rynkowej i zaangażowania [Węgier] na rzecz integracji europejskiej”. Sam założyciel i przewodniczący Jobbiku Gábor Vona w wywiadzie dla gazety „Magyar Nemzet” opublikowanym w przededniu wyborów zapowiedział samodzielne rządy Jobbiku lub – jeśli arytmetyka powyborcza miała to uniemożliwić – koalicję rządową z lewicowo-zielono-liberalnymi partiami LMP i Momentum. Tę ostatnią, z którą narodowcy z Jobbiku chcieli utworzyć rząd mający rozliczyć Fidesz z zarzucanej mu korupcji i łamania demokracji, popierał znany

w Polsce belgijski lider liberałów w Parlamencie Europejskim Guy Verhofstadt.

PŁONNE NADZIEJE OPOZYCJI

Nadzieje partii opozycyjnych okazały się jednak płonne: nie dość, że partie koalicji rządowej obroniły swoją większość bezwzględną, to jeszcze odzyskały możliwość samodzielnego wprowadzania zmian do konstytucji. Jobbik utrzymał swój stan posiadania, tracąc na prawym skrzydle na rzecz Fideszu głosy uzyskane po stronie centrum, ale partie lewicowe odniosły kolejną sromotną porażkę.

Orbána



WIK MAGYARORSZÁG AZ ELSŐ!

Viktor Orbán udowodnił, jak dalece od oczekiwań Węgrów odbiegli unijni urzędnicy i opozycja podążająca ich tropami FOT. FERENC ALMÁSSY/VISEGRÁD POST

Od reformy systemu wyborczego z 2012 r., na 199 posłów w jednoizbowym parlamencie węgierskim, 106 posłów jest wybieranych w jednomandatowych okręgach wyborczych, a 93 z list krajowych na zasadzie proporcjonalności z progiem wyborczym 5 proc. według metody D'Hondta, premiującej zwycięską listę. Węgierski wyborca oddaje zatem dwa głosy: jeden na kandydata ze swojego okręgu i jeden na listę partyjną. Koalicja Fidesz-KDNP uzyskała 134 miejsca (wcześniej miała 131) – w tym 91 w jednomandatowych okręgach.

25 miejsc w nowym Zgromadzeniu Narodowym przypadło Jobbikowi (wcześniej 24), 20 – koalicji socjalistów z MSZP z partią Dialog (wcześniej 28 dla samej MSZP), dziewięć – partii DK byłego postkomunistycznego premiera i oligarchy Ferenc Gyurcsánego (wcześniej należącego do MSZP), osiem – lewicowo-liberalnej partii LMP, z którą lider Jobbiku planował ewentualnie utworzyć rząd. Druga partia, która miała wejść do rządu Jobbiku (Momentum), z poparciem poniżej 3 proc. głosów wyborców, nie przekroczyła progu wyborczego. Lider

Jobbiku, a także liderzy lewicowych partii złożyli rezygnacje ze stanowisk.

KŁÓTNIA I ATAK

W samym Jobbiku wrze. Jak łatwo się domyślić, nie tylko Krisztinie Morvai nie podobała się zapowiedź tworzenia rządu z lewicą i otwarte popieranie kandydatów lewicy tam, gdzie mieli największe szanse wygrać z kandydatami koalicji rządowej. Pierwsze strzały w kierunku Gábor Vony wymierzył już w poniedziałek, czyli dzień po wyborach, wiceprzewodniczący Jobbiku László Toroczka, który bronił

■ nacjonalizmu i polityki imigracyjnej Orbána w niedawnym wywiadzie dla „Do Rzeczy” (nr 5/2018). Toroczka nie należy do tych, którzy podczas kampanii wyborczej bezpardonowo atakowali Fidesz według filozofii „wszystko, tylko nie Fidesz”. Nie popierał też idei sojuszu z lewicą, choć nie mógł tego głośno powiedzieć dopóty, dopóki trwała kampania wyborcza. Skąd zresztą ten zaskakujący zwrot Jobbiku w kierunku centrum i tak brutalne ataki personalne na polityków Fideszu, z Viktorem Orbánem na czele, na jego plakatach wyborczych, na których nazywano ich złodziejami?

Ten brutalny styl węgierskiej kampanii wyborczej można tłumaczyć działaniami oligarchy Lajosa Simicski, byłego bliskiego przyjaciela Viktora Orbána, właściciela m.in. portalu internetowego Index, dziennika „Magyar Nemzet” i kanału informacyjnego Hír TV. Telewizja Hír TV została utworzona w 2002 r., aby wesprzeć Fidesz po przegranych wyborach, ponieważ wówczas wszystkie duże media na Węgrzech miały wyraźnie lewicowy profil. Drogi Simicski i Orbána rozeszły się jednak w 2015 r. prawdopodobnie na tle konfliktu personalnego, choć gra mogła toczyć się również o interesy miliardera i wprowadzany przez Fidesz nowy podatek od reklam nadawanych w mediach. Zarówno lewicowe (m.in. Index.hu), jak i prawicowe (Hír TV, „Magyar Nemzet” i inne) media byłego już przyjaciela Orbána zaczęły ostro atakować rząd Fideszu. Dodatkowo Simicska, będący właścicielem większości powierzchni reklamowych na Węgrzech, wynajął tę powierzchnię na plakaty Jobbiku za 10 proc. ceny rynkowej. Warunek był jednak prawdopodobnie taki, że Jobbik musiał firmować personalne ataki na członków Fideszu na swoich plakatach wyborczych i umożliwić koalicję wszystkich przeciwko Fideszowi. Za udostępnienie powierzchni reklamowej na takich warunkach węgierska Państwowa Izba Obrachunkowa (ASZ) nałożyła na Jobbik gigantyczną karę finansową wynoszącą równowartość blisko 9 mln zł. Od 2014 r. obowiązuje bowiem na Węgrzech ustawa zakazująca partiom politycznym korzystania z usług firm prywatnych na warunkach poniżej cen rynkowych. Kara za taką formę niedeklarowanego dotowania partii politycznych przez firmy to podwójna wartość otrzymanej pomocy: połowa w postaci zwrotu równowartości tej pomocy, druga połowa w postaci potrąceń od przyszłych dotacji państwowych należnych partiom

Do wyborczej mobilizacji swoich zwolenników partia Viktora Orbána wykorzystała w kampanii temat nielegalnej imigracji do Europy

politycznym. W przypadku Jobbiku z uwagi na trwającą kampanię wyborczą odroczono wyegzekwowanie kary na czas po wyborach. I stąd Jobbik pragnął zmiany władzy za wszelką cenę.

A opozycji zależało na wygranej, tym bardziej że Lajosowi Simicsce kończą się pieniądze na finansowanie kampanii przeciwko Orbánowi i jego partii. – Lajos Simicska nie będzie w stanie już długo finansować Hír TV – wyznał Péter Marky-Zay w wywiadzie dla portalu Visegrád Post, opublikowanym dwa dni przed wyborami parlamentarnymi. W ubiegłym tygodniu portal Index.hu poinformował, że z powodów finansowych dziennik „Magyar Nemzet” przestanie się ukazywać. Decyzja Simicski miała zostać przekazana pracownikom gazety 10 kwietnia rano. Ostatni numer dziennika ukazał się 11 kwietnia. Przestała również działać rozgłośnia Lanchid Radio, a nie jest wykluczone, że przestanie się ukazywać także tygodnik „Heti Valasz”.

KAMPANIA Z IMIGRANTAMI W TLE

Fidesz do wyborczej mobilizacji swoich zwolenników wykorzystał w kampanii temat imigracji. Po ubiegłorocznych plakatach z hasłem: „Nie pozwólmy, aby Soros śmiał się ostatni”, rząd Orbána teraz wykorzystał plakaty przedstawiające tłum nielegalnych imigrantów z wielkim znakiem „Stop”. Kampanię skrytykowała OBWE, bo została sfinansowana ze środków rządowych, a wpisywała się w kampanię wyborczą. Zdaniem OBWE ta i inne akcje rządowe powodowały, że partie stanęły do wyborów na nierównych zasadach. Na finiszu kampanii węgierski Sąd Najwyższy potwierdził, że rząd nie miał prawa umieszczać takich plakatów, gdyż naruszały one prawo wyborcze.

Sam Orbán przedstawiał te wybory jako kluczowe dla przyszłości Węgry i Europy: w razie wygranej opozycji Węgry miała zalać nowa fala imigracji podobna do tej z 2015 r. Jeden z plakatów Fideszu przedstawiał roześmianego George’a Sorosa pozującego do zdjęcia z liderami opozycji,

w tym z Gáborem Vóną, który ma na ujęciu niezbyt mądrą minę. Kampania „Stop Soros” szeroko omawiała tzw. plan Sorosa opublikowany przez amerykańskiego spekulanta we wrześniu 2015 r. i zakładający sprowadzanie do Europy miliona imigrantów rocznie. Jednocześnie w lutym, czyli już w trakcie kampanii wyborczej, rząd węgierski przedstawił projekt ustawy mającej uderzyć w organizacje pozarządowe, wspierające nielegalną imigrację. Po wygranej koalicja rządowa będzie mogła bez trudu uchwalić tę ustawę, co zapewne spowoduje nowe napięcia z Brukselą.

Kampania przeciw działaniom Sorosa i organizacji finansowanych przez jego fundację została skrytykowana jako rzekomo antysemicka, choć żydowskie pochodzenie amerykańsko-węgierskiego miliardera nie jest jej tematem. Latem ubiegłego roku sam rząd izraelski zabrał w tej sprawie głos, aby bronić prawa Węgrów do krytykowania Sorosa. Nie przeszkodziło to Guyowi Verhofstadtowi (który z trybuny Parlamentu Europejskiego wyzywał uczestników ubiegłorocznego Marszu Niepodległości w Warszawie od białych suprematystów, faszystów i neonazistów) napisać 8 kwietnia na Twitterze – w czasie trwania głosowania na Węgrzech – że była to kampania obwiniająca Żydów za wszystko i że przypomina to mroczne karty historii. Proponował głosowanie na partię Momentum.

Czy to się komuś podoba, czy nie, wygrana Fideszu w tych wyborach była kolejną porażką – po brexicie i po wyborach w Austrii, w Czechach i we Włoszech – i dla europejskiego salonu, i dla George’a Sorosa, który od lat prowadzi aktywną kampanię przeciwko węgierskiemu premierowi.

Dla Polski to dobra wiadomość, ponieważ utrzymana jest gwarancja węgierskiego weta w razie dalszego procedowania wniosku Komisji Europejskiej o nałożenie sankcji na Polskę. W mowie wygłoszonej krótko po wiadomości o wygranej Viktor Orbán nie omieszczał zresztą podziękowań polskim przyjaciołom oraz premierowi Morawieckiemu i prezesowi Kaczyńskiemu. Orbán powtórzył też tezę wygłoszoną ostatnio przez węgierski rząd, że ataki na Polskę ze strony Brukseli to próba podporządkowania całej Europy Środkowej. Takiej Europy, jaką sobie wymarzyli Timmermans i spółka, węgierscy wyborcy powiedzieli wyraźnie: „Nie”. Czy ten kolejny jasny komunikat zostanie zrozumiany?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst powstał we współpracy z portalem Visegrád Post.



BIEDNY JAK DZIECKO Z BERLINA

Kiedy w Polsce wciąż wielu ludzi pogardliwie sarka na program „500+”, Niemcy obejmują pomocą coraz więcej młodych ludzi. Deutsche Welle ujawniła niedawno dane Federalnej Agencji Pracy (BA). Wynika z nich, że prawie co trzecie dziecko w Berlinie otrzymywało zapomogę. Nietleńców pobierających zasiłek socjalny w czerwcu 2017 r. było ponad 175 tys. Taki zasiłek przyznawany jest rodzinom dotkniętym bezrobociem lub ze zbyt niskimi dochodami. A Berlin to nie najgorsze miejsce – jeszcze większy odsetek młodzieży otrzymującej zapomogę jest w Bremie (31,7 proc.). W całych Niemczech zapotrzebowanie na pomoc dla dzieci i młodzieży wzrosło o blisko 2 proc.

FOT. FOTOLIA

BOGATY JAK FRANCUSKI KOLEJARZ

Francuscy kolejarze strajkują i walczą, by utrzymać swoje przywileje. Nie spodobał im się pomysł reformy, która miałaby tej grupie zawodowej odebrać m.in. gwarancję zatrudnienia do końca życia, coroczną podwyżkę płac i możliwość przejścia na wysoką emeryturę w wieku 57 lat (a maszynistom w wieku 52 lat). W ubiegłym tygodniu protestowała zdecydowana większość kolejarzy i kosztowało to już francuskich podatników ok. 100 mln euro.

OJCIEC WSZYSTKICH DZIECI Z IN VITRO

Duży skandal w kanadyjskiej klinice leczenia bezpłodności. Okazało się, że lekarz prowadzący zabiegi in vitro miał używać swoich plemników do zapładniania komórek jajowych pacjentek. Zaczęło się od testów DNA jednej z córek pacjentów – okazało się, że jej biologicznym ojcem nie jest jej ojciec, ale dr Norman Barwin. Po tym testy DNA wykonało jeszcze 11 dzieci poczętych in vitro w tej klinice

– okazało się, że ich ojcowie nie są ich biologicznymi przodkami. Doktor Barwin pozwany jest już przez kilkadziesiąt osób.

ZA GRUBY DO WOJSKA

Sąd w Cheongju skazał mieszkańca Korei Południowej na pięć lat więzienia w zawieszeniu. Powinien on bowiem odbyć służbę wojskową (obowiązkowi podlegają mężczyźni w wieku 18–35 lat), ale próbował się od tego wykić i celowo przytył aż o 30 kg.

DYNAMIT NA ZAGRYCHĘ

Dziennikarze agencji Primpres.ru ujawnili, że włamywacze ze wsi w okolicach Władywostoku ograbili magazyn, w którym znajdowały się materiały wybuchowe. Przypominały parówki, więc złodzieje skonsumowali je jako zakąski do wódki. Podobno dopiero z wiadomości w mediach mieli się dowiedzieć, co naprawdę zjedli. Nie wiemy, jak smakują rosyjskie parówki, ale chyba już nie będziemy próbować. ©

Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Zakazać w imię wolności

W Rzymie zawiśł banner włoskiego Ruchu Obrońców Życia. Postępowcy, liberałowie i feministki podnieśli taki raban, że po trzech dniach banner znikł.

Organizacja Pro Vita (po uzyskaniu wymaganych pozwoleń) rozpięta na ścianie domu przy via Gregorio VII koło Watykanu ogromny banner (11 x 7 m). Przedstawia zdjęcie płodu z opisem: „Taki byłeś w 11. tygodniu życia. Posiadałeś już wszystkie organy. Twoje serce biło już od ośmiu tygodni. Już ssałeś palec. A teraz żyjesz, bo twoja mama cię nie usunęła”.

Słowem: nie było żadnych makabrycznych fotografii ani słowa krytyki obowiązujących praw i niczego, co można by uznać za nachalną propagandę.

Oczywiście wymowa kampanii jest jednoznaczna. I to wystarczyło, by czempioni walki o swobody obywatelskie, czyli lewicowa Partia Demokratyczna, organizacje feministyczne i praw człowieka, zapowiedzieli gwałtowne protesty. Pani senator Monica Cirinnà, promotorka kampanii na rzecz zabronionego przez włoskie prawo wynajmowania łona dla zaspokojenia ojcowskich potrzeb gejów, napisała na Twitterze: „Haniebne,

że na ulicach Rzymu zezwolono na banner atakujący obowiązujące prawo i ograniczający prawa kobiet. #zdjąć natychmiast”.

Władze Rzymu nakazały banner natychmiast zdjąć, powołując się na regulacje dotyczące reklam. Przepisy mówią: „Nie wolno rozwieszać reklam, które zawierają treści godzące w obowiązujące ustawodawstwo i ograniczające prawa jednostki”.

Progresišci prawo do wolności słowa i przekonań są skłonni przyznać wyłącznie sobie i za najlepsze narzędzia w walce o „postęp społeczny” uważają knebel oraz knut. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Cukier krzepi – Melchior Wańkowicz za te dwa słowa do przedwojennej reklamy zainkasował ogromne jak na ówczesne czasy honorarium.

Dzisiaj za takie hasło w wielu krajach groziłby mu społeczny ostracyzm, a przynajmniej potępienie ze strony ekspertów od zdrowego żywienia, którzy w przypadku cukru wolą posługiwać się terminem „biała śmierć”. Zdaniem dietetyków dorośli powinni spożywać dziennie do pięciu łyżeczek cukru (25 g). Spożywanie większych ilości według lekarzy może prowadzić m.in. do cukrzycy, otyłości, udarów, zawałów oraz nowotworów. Tych, którzy niechętnie przedzierają się przez długie raporty z badań naukowych, przekonać może widok niezwykle otyłych ludzi na amerykańskich czy brytyjskich ulicach. W Wielkiej Brytanii w 2015 r. aż 63 proc. dorosłych miało nadwagę (wskaźnik BMI powyżej 25) lub otyłość (BMI powyżej 30), co według szacunków National Health Service kosztuje Brytyjczyków rocznie 27 mld funtów – już teraz Wielka Brytania wydaje więcej na leczenie chorób związanych z otyłością oraz cukrzycą, niż wynoszą łączne wydatki na policję, straż pożarną i system sprawiedliwości. Do 2050 r. koszty społeczne związane z otyłością i nadwagą mają zaś sięgnąć poziomu 49,9 mld funtów. Z tego powodu brytyjskim szpitalom nakazano w zeszłym roku zmniejszenie liczby słodkich przekąsek dostępnych w kantynach, sklepikach czy automatach. Zdrowotne efekty zmniejszenia dostępności do słodczych widać było błyskawicznie. Takie rozwiązania, podobnie jak publiczne straszenie, że „otyłość to nowe palenie”, to jednak za mało, aby skłonić ludzi do zmiany zwyczajów żywieniowych.

SPOSÓB NA PRODUCENTÓW

Statystyki z wielu państw pokazują, że od rządowych kampanii prozdrowotnych skuteczniejsze jest znaczące podniesienie ceny danego produktu. Widać to doskonale choćby na przykładzie papierosów. Według raportu „Ekonomiczne aspekty palenia tytoniu i opodatkowania wyrobów tytoniowych w Polsce” ogłoszonego przed kilku laty przez polski resort zdrowia zwiększenie średniego podatku akcyzowego do 9,76 zł za paczkę papierosów, miało przyczynić się do zerwania z nałogiem przez 618 tys. dorosłych, a także zniechęcić do palenia 215 tys. młodych osób, a przez to dopro-

Podatek od grzechu



Jacek Przybylski

Coraz więcej państw próbuje wpływać na zdrowie mieszkańców, nie tylko obejmując wysoką akcyzą papierosy czy alkohol, lecz także nakładając podatki na inne niezdrowe substancje, takie jak cukier, sól czy tłuszcz

FOT. FOTOLIA

wadzić do zmniejszenia odsetka przedwczesnych zgonów o 7,2 proc.

Z tego powodu – mimo sprzeciwu obrońców wolnego rynku i praw konsumenta, a także producentów i dystrybutorów – wiele państw wprowadza tzw. podatki od grzechu, które nakładane są

nie tylko na wyroby tytoniowe, lecz także na inne niezdrowe produkty: od cukru poczynając, poprzez sól, na nasyconych kwasach tłuszczowych kończąc. Z roku na rok przybywa więc państw, w których fiskus żąda ogromnych pieniędzy od producentów słodzonych napojów, czekolad

etc., aby zmusić je do kapitulacji i zmniejszenia ilości cukru w produktach.

Na początku kwietnia podatek od cukru wszedł w życie w Wielkiej Brytanii. Za każde 100 ml napoju, w którym jest od 5 do 8 g cukru, trzeba zapłacić 22 pensy brutto. A jeśli cukru w 100 ml jest ponad 8 g, to nowy podatek wynosi aż 24 pensy brutto. Rząd w Londynie tłumaczy, że nowa danina jest niezbędna, aby móc skutecznie walczyć z otyłością wśród dzieci i młodzieży. – Nasze nastolatki co roku konsumują średnio niemalże równowartość wanny wypełnionej słodkimi napojami, co przyczynia się do niepożądanego trendu rozwoju otyłości w kraju – przekonywał minister zdrowia publicznego Steve Brine.

Według rządowych statystyk już jedna trzecia osób, które zaczynają studia w Wielkiej Brytanii, ma problemy z otyłością lub nadwagą.

Teoretycznie nowy podatek ma działać na kilka sposobów. Po pierwsze, ma przekonać prezesów firm spożywczych do zmiany receptur i ograniczenia ilości cukru. W tym zakresie władze w Londynie mogą mówić o sukcesie. Brytyjski resort skarbu szacuje, że od kiedy rząd ogłosił w marcu 2016 r. plany wprowadzenia tego podatku, ponad połowa producentów, aby uniknąć płacenia nowej daniny, ograniczyła już ilość cukru w swoich napojach. Dla przykładu koncern Coca-Cola obniżył zawartość cukru w napojach Fanta i Sprite z 6,9 g do 4,6 oraz z 6,6 do 3,3 g na 100 ml.

Według organizacji ochrony praw konsumenta Foodwatch ilość cukru w swoich produktach zmniejszył również drugi co do wielkości producent napojów orzeźwiających w Wielkiej Brytanii, czyli koncern Britvic (należą do niego takie marki jak Ribena czy Lucozade). Tą samą drogą poszły też firma Nestle, która zapowiedziała zmniejszenie ilości cukru w napojach do poziomu poniżej 5 g na 100 ml, a także produkujące własne napoje sieci handlowe, takie jak Lidl czy Tesco. W najbliższym czasie nie zmienią się jednak receptury ani Coca-Coli, ani Pepsa.

Niektóre marki koszty wynikające z wprowadzenia nowego podatku przerzucają na klientów. Rząd w Londynie miał na to nadzieję. Ma to być bowiem drugi sposób na zmniejszenie liczby kupowanych słodkich napojów. Według prognoz brytyjskich urzędników zwiększenie ceny o każdy 1 proc. ma się

przyczynić do zmniejszenia popytu na słodzone napoje o 0,8–1 proc. Według Światowej Organizacji Zdrowia, aby rzeczywiście doprowadzić do istotnej zmiany diety wśród mieszkańców, rządy muszą doprowadzać do wzrostu cen o co najmniej 20 proc.

Jest jeszcze trzeci sposób, w jaki danina od cukru ma się przyczynić do walki z otyłością. Otóż pieniądze z nowego podatku mają zostać wydane na zajęcia sportowe dla dzieci, a także na zdrowe posiłki w szkołach. Władze w Londynie przed dwoma laty szacowały, że dzięki nowej daninie do budżetu trafi w pierwszym roku 520 mln funtów, w drugim – 500 mln funtów, a w trzecim – 455 mln funtów. Błyskawiczna reakcja producentów zmieniających zawartość cukru w napojach sprawiła jednak, że obecnie rząd szacuje, iż do publicznej kasy wpłynie dodatkowo tylko 240 mln funtów, a i ta kwota z roku na rok będzie się zmniejszać.

DANINA OD TŁUSZCZU

Podatek od cukru wprowadziły już także m.in. władze Belgii, Estonii, Francji, Irlandii, Meksyku, Norwegii, Portugalii i Węgier. W Meksyku po wprowadzeniu w 2014 r. tej dodatkowej daniny w wysokości 10 proc., spożycie mocno słodzonych napojów spadło bardziej, niż się spodziewano. Z badania opublikowanego w 2016 r. przez „British Medical Journal” przeciętny mieszkaniec meksykańskiego miasta kupował o 4,2 l słodzonych napojów mniej.

Na Węgrzech – gdzie obowiązuje podatek zarówno od cukru, jak i od soli – wprowadzenie nowej daniny skłoniło producentów do zmniejszenia ilości cukru w produktach aż o ok. 40 proc.

Z kolei w Norwegii, gdzie pierwszy raz „gorzki podatek” wprowadzono w 1922 r., obecnie obowiązują trzy rodzaje daniny: podatek od cukru, podatek od czekolady i innych słodczy oraz podatek od słodkich napojów.

Kłopot z podobnymi pomysłami państwa opiekuńczego polega jednak na tym, że odkąd na początku stycznia 2018 r. norweski rząd drastycznie podniósł podatek od cukru (w niektórych przypadkach nawet o 83 proc.), bardzo szybko wzrosła też liczba Norwegów, którzy wyjeżdżają do Szwecji, aby tam po normalnych cenach kupować czekolady i słodkie napoje. Tymczasem już w roku 2017 – według danych Norwe-

skiej Szkoły Ekonomicznej (NHH) – na zakupy do Szwecji jeździło ok. 60 proc. Norwegów. Może się więc okazać, że cywilizacyjną wojnę między wolnym rynkiem a socjalistyczną społecznością inżynierią ostatecznie wygra jednak ten pierwszy.

Tak stało się w Danii, która w październiku 2011 r. wprowadziła podatek od produktów zawierających więcej niż 2,3 proc. tłuszczów nasyconych. Po 15 miesiącach rząd musiał się jednak z tego pomysłu wycofać. Okazało się bowiem, że tylko 7 proc. Duńczyków zmniejszyło spożycie tłuszczów nasyconych. Tymczasem nowa danina sprawiła, że pracę straciło 1,3 tys. osób, bo Duńczycy zamiast robić zakupy w swoim kraju, częściej wyjeżdżali do sklepów w Niemczech i w Szwecji. A do rachunku dochodzą przecież utracone dochody dla budżetu, a także koszty społeczne wynikające z niezamierzonego gwałtownego wzrostu cen wielu codziennych produktów żywnościowych, takich jak np. masło.

Bunt przeciwko podatkowi od grzechu, jak popularnie nazywane jest opodatkowanie dosładzanych produktów żywnościowych, wszczęło wielu Amerykanów, którzy sprzeciwiają się praktyce wymuszania przez państwo konkretnych zachowań. Przeciwnicy podatku przekonują także, że skoro politycy już chcą zmieniać zachowania ludzi, to powinni pamiętać, iż konsumowanie zbyt dużej ilości słodkich napojów to problem behawioralny. A skoro tak, to najlepiej byłoby zamiast kija w postaci nowej daniny zastosować marchewkę polegającą na wsparciu zdrowszej diety. Z badań wynika, że w walce z otyłością dzieci i dorosłych mogłyby pomóc np. rządowe subsydia obniżające ceny warzyw i owoców.

Trudno nie zgodzić się ze zwolennikami wolności wyboru, że tuczą nie słodkie napoje czy tłuste hamburgery, lecz tuczy nadmiar kalorii. W teorii każdy dorosły powinien więc móc samodzielnie podejmować decyzje dotyczące swojego jadłospisu. Kłopot w tym, że w krajach takich jak Polska odpowiedzialność za to, co jemy lub palimy, ponoszą nie tylko konsument, lecz także podatnik. A skoro leczenie otyłych jest dużo droższe niż osób szczupłych, to państwo ma prawo do interwencji. Miejmy tylko nadzieję, że nie dożyjemy czasów, w których będzie nas czekać grywna za ominięcie porannej przebieżki.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Największa karuzela

Chyba nikt wcześniej, nikt przed liderami PiS, nie wpadł na pomysł, by zarządzać koncernem przez ustawiczną zmianę jego szefa. To rozwiązanie na wskroś nowatorskie – coś, co z jakichś bliżej niewyjaśnionych powodów nie przyszło do tej pory do głowy, jeśli się nie mylę, dosłownie nikomu. Ani w Ameryce, ani w Wielkiej Brytanii, ani w Niemczech, ani we Francji czy we Włoszech. Nowy szef koncernu co roku, a jak się da, to i dwa razy w roku – to dopiero musi dawać zarządowi takiej firmy „kopa”, skłaniać do wiecznej pogoni w co i rusz innym kierunku, wzbogacać o wciąż nową perspektywę, nieustannie inspirować, stawiać ciągle nowe wyzwania, zderzać co kilka miesięcy z nowymi oczekiwaniami.

Właśnie z powodu ekstremalnie eksperymentalnego charakteru, i to – bez cienia przesady – w skali światowej, tego przedsięwzięcia z rosnącym zaciekawieniem obserwuję nabierającą tempa rotację prezesów spółek z udziałem Skarbu Państwa. Prezesów zmieniających się już niczym w kalejdoskopie. Orlen, Lotos, PZU, Alior, KGHM, PKP Cargo, Energa, Tauron, PHN, Totalizator Sportowy, JSW. Nie wspominając o warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych – w ciągu nieco ponad dwóch lat rządów PiS przez fotel jej szefa przewinęły się aż cztery osoby. Czy tym bardziej o Banku Ochrony Środowiska, gdzie w latach 2015–2017 prezesa wymieniono aż sześć razy.

Z barometru zmian prezesów czołowych spółek z udziałem Skarbu Państwa, sporządzonego przez „Rzeczpospolitą” po niespełna dwóch latach rządów dobrej zmiany, wynikało, że PiS wymieniał szefów spółek niemal dwa razy częściej niż poprzednie ekipy w ciągu takiego samego czasu.

Ato oznacza, że choć minęła dopiero połowa kadencji, to wyścig już trwa w najlepsze czy raczej w najgorsze dla tych firm, ich pracowników i klientów. A przecież w drugiej połowie kadencji, gdy przedwyborcze emocje sięgną zenitu, kadrowa karuzela zapewne jeszcze przyspieszy. A wraz z nią pogłębi się trudność w ustaleniu, kto ma szansę, by przetrwać choć do końca kwartału, a kto nie, która frakcja w PiS utraci swego prezesa spółki, a która go zyska? I czy w związku z tym trzeba się szykować na fuzję tej czy innej firmy z tą czy inną firmą, czy wręcz przeciwnie? A także: Czy będą nowe przejęcia firm polskich lub zagranicznych, czy raczej sprzedaż aktywów już posiadanych? Czy zyskają elektromobilność i energetyka jądrowa, czy raczej wrócą do łask odnawialne źródła energii, a może wciąż górą będą wieczni utrzymankowicze spółki Skarbu Państwa – górnicy?

I – przede wszystkim – ile będziemy musieli do tego dopłacić my, polscy podatnicy (bo do elektromobilności równo 19 mld zł tylko do 2020 r.)?

Ale w końcu kogo to – oprócz nas, podatników – obchodzi? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Roboty a inflacja

Inflacja pozostaje zagadką dla ekonomistów. Na świecie inflacja jest niska, mimo że banki centralne wydrukowały biliony dolarów, euro, jenów i funtów. Ceny usług i towarów rosną w tempie bardzo umiarkowanym, mimo solidnego globalnego wzrostu gospodarczego i masowego druku pieniądza przez banki centralne. W Polsce z kolei mamy bardzo napiętą sytuację na rynku pracy, z rekordowo niskim bezrobociem i szybko rosnącymi płacami, a mimo to inflacja od wielu lat

ludzie, mogą teraz wykonywać komputery, to pomimo wzrostu płac ogólne koszty firm nie muszą rosnać, bo dodatkową sprzedaż lub część istniejących procesów sprzedaży zaczynają obsługiwać komputery i algorytmy.

No dobrze, ale jeżeli komputery zastępują ludzi, to czy nie powinno rosnać bezrobocie, które w rzeczywistości spada? Tutaj mamy efekt znany z pierwszej rewolucji przemysłowej, gdy spadek cen spowodował, że wiele towarów stało się powszechnie dostępnych, ludzie zaczęli kupować więcej towarów i trzeba było zatrudniać nowe osoby do produkcji i obsługi sprzedaży. Co prawda, teraz nie obserwujemy silnego spadku cen, ale popyt rośnie i firmy muszą zatrudniać nowych pracowników.

Na przykład dzięki wykorzystaniu modeli big data radykalnie wzrosła skuteczność kampanii marketingowych. A to oznacza, że w ramach tego samego budżetu marketingowego firma jest w stanie dotrzeć do większej liczby potencjalnych klientów. Jeżeli kasjerów zastępują automatyczne kasy, to potrzeba mniej kasjerów, ale sklep jest w stanie obsłużyć więcej klientów przy mniejszych kolejkach, więc potrzeba więcej pracowników w innych działach.

Zatem na razie sztuczna inteligencja i robotyzacja wspierają rynek pracy i jednocześnie obniżają inflację. ©©

W ramach tego samego budżetu marketingowego firma jest w stanie dotrzeć do większej liczby potencjalnych klientów

znajduje się poniżej celu Narodowego Banku Polskiego. Jak wyjaśnić te sprzeczności? Dlaczego firmy, pomimo szybkiego wzrostu kosztów pracy, nie podnoszą cen?

Jednym z możliwych wyjaśnień tego paradoksu jest szybki wzrost wydajności pracy na skutek innowacji technologicznych. Innowacje technologiczne, o których mowa, to przede wszystkim coraz powszechniejsze wykorzystanie modeli sztucznej inteligencji, maszynowego uczenia się czy big data w firmach. Jeżeli część zadań, które do tej pory wykonywali

TEST „DO RZECZY”: OCZYSZCZACZ POWIETRZA STADLER FORM ROGER

Chociaż wreszcie nadeszła już wiosna, to i tak co i rusz słyszymy ostrzeżenia przed kiepską jakością powietrza w miastach.

Na smog na ulicach nie mamy większego wpływu. Można jednak zadbać o jakość powietrza w pomieszczeniach, w których przebywamy. Na rynku jest coraz więcej oczyszczaczy powietrza. My wzięliśmy do testów najnowszy model szwajcarskiej firmy Stadler Form.

Jego zadaniem jest walka nie tylko ze skażeniami przedostającymi się do naszych mieszkań i biur z zanieczyszczonych ulic. Model ten zmniejsza również negatywny wpływ krążących w powietrzu drobnoustrojów oraz alergenów.

Sercem urządzenia jest tzw. Dual Filtr, czyli filtr łączący zalety technologii HEPA z działaniem aktywnego węgla, który usuwa odchody roztocza kurzu, pyłki, wirusy i bakterie, a dodatkowo absorbuje nieprzyjemne zapachy (np. dymu tytoniowego) i lotne związki organiczne (np. formaldehyd). Filtr musi być wymieniany co ok. 8 miesięcy.

Według producenta oczyszczacz nadaje się do efektywnego oczyszczania pomieszczeń



o powierzchni do 74 mkw. – mniejszy brat testowanego urządzenia Roger little może zaś skutecznie oczyszczać powietrze w pokoju o powierzchni do 35 mkw.

Testowane urządzenie stale mierzy też zawartość szkodliwych związków (jest wyposażone m.in. w czujnik cząstek PM 2,5 oraz czujnik gazu) i za pomocą kolorowej listwy LED pokazuje, jaka jest jakość powietrza, którym oddychamy. Od czerwonego – słaba jakość powietrza – poprzez pomarańczowy do optymalnego koloru niebieskiego.

Testowany oczyszczacz to urządzenie sportowych rozmiarów (wys. 50 cm, szer. 42 cm, głęb. 20 cm). Minimalistyczny design sprawia jednak, że dobrze komponuje się w nowoczesnych pomieszczeniach.

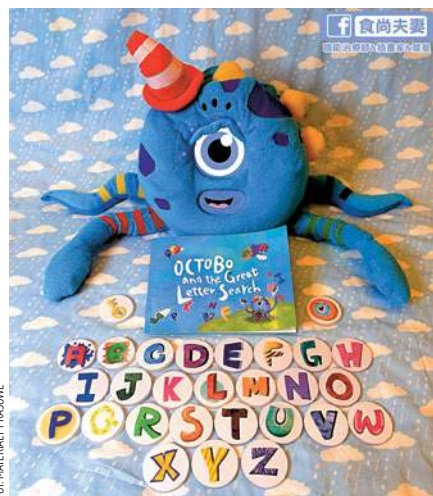
Proste w obsłudze urządzenie ma pięć poziomów prędkości. W dwóch ostatnich jest już stosunkowo głośne (maksymalny poziom hałasu to 65 dB). Tryb nocny jest już na tyle cichy (30 dB), że można spokojnie spać przy włączonym oczyszczacz. Pozwala on również przyciemnić lub całkowicie wyłączyć wszystkie kontrolki.

Cena Rogera to 2199 zł, Roger little kosztuje zaś 1349 zł. ©©

Jacek Przybylski

PLUSZAK DLA SZKRABA

Do Dnia Dziecka zostały jeszcze dwa miesiące, ale biorąc pod uwagę, jak funkcjonują polska poczta, a także niektóre firmy kurierskie, jeśli ktoś chce zamówić swojej pociesze coś prawdziwie zaskakującego, coś, czego z pewnością nie będą miały inne maluchy, to warto już pomyśleć o gadżetku. Na przykład o Octobo, czyli interaktywnym pluszaku do nauki. Komunikujący się z otoczeniem za pomocą dźwięków i obrazów wyświetlanych na dotykowo-tabletowym ekranie (tablet trzeba włożyć do pluszaka) stwór przypominający rozdeptaną ośmiorniczkę jest też inteligentnym opiekunem, który uczy się, dorasta i bawi z dziećmi. Jak? Dzięki ekranowi tabletu, na którym wyświetlają się interaktywne storybooki, a także aplikacje edukacyjne, których zbiór regularnie się zwiększa. Octobo współpracuje z 7-, 8-calowymi tabletami, w tym



z Apple, Amazonem i Androidem. Gadżecik naszpikowany jest zestawem czujników wykrywających dotyk, dźwięk, ruch i emocje dziecka, reagując natychmiast w odpowiedni sposób, np. śpiewając uspokajającą piosenkę, gdy dziecko zaczyna popłakiwać, czy reagując zachwytem, kiedy maluch czyni postępy w nauce. Zabawka w najprostszej wersji kosztuje na Kickstarterze ok. 250 zł.

PRAWIE JAK „ZRÓB TO SAM”

Drewniane klocki, konik na biegunach, pistolety z dwóch związanych ze sobą patyków czy łuk z wygiętego kija i wędkarskiej żyłki. Zabawki z dziecinstwa tych, którzy wychowali się w PRL, gdzie brakowało wszystkiego, więc trzeba było kombinować, myśleć, tworzyć, a przynajmniej naśladować Adama Słodowego z jego programu o majsterkowaniu „Zrób to sam”. I coś się we mnie teraz śmieje, gdy zachodni projektanci odkrywają to, co my musieliśmy zrozumieć „z braku laku”: że te proste, najprostsze zabawki też są fajne. Na przykład takie jak Cavalcade, czyli zrobione z jednego kawałka drewna bezpieczne „galopujące zwierzątko”. Bujające się stworki malowane są w różnych kolorach.

Wartość dodana – pomalowane są lakierem w taki sposób, by dla malucha były przyjemne w dotyku i nie dały się złamać. Holenderska projektantka reklamuje je jako „ekologiczne zabawki, które przetrwają pokolenia”, dla mnie i pewnie dla wielu naszych czytelników to bardziej sentymentalny powrót do przeszłości, do czasów, gdy rodzice wymyślali coś z niczego, byle tylko ich pociechy miały wiele radości. I taka ciekawostka – coś, co zręczny polski rodzic wyczaruje dzieciakowi sam lub z niewielką pomocą manualnie uzdolnionych znajomych, czyli bujany konik z drewna, na Kickstarterze kosztuje ponad 600 zł. ©©



Wojciech Wybranowski

Prace Komisji Kodyfikacyjnej trwały półtora roku. Jak podaje Money.pl, wydano na nie z pieniędzy podatników 974 tys. zł. Nad konstruowaniem dwóch nowych kodeksów pracy pracowało 14 ekspertów, z czego siedmiu wydelegował rząd, a siedmiu „strona społeczna”, czyli związki zawodowe i pracodawcy. W trakcie prac co pewien czas do opinii publicznej przeciekały różne informacje dotyczące – mniej lub bardziej rozsądnych – proponowanych rozwiązań. I wreszcie pojawiły się na stronie ministerstwa – niedługo po tym, jak Komisja Kodyfikacyjna przekazała je minister pracy Elżbiecie Rafalskiej.

Krótki był ich żywot jako poważnie traktowanych propozycji. 5 kwietnia rzeczniczka prasowa PiS Beata Mazurek napisała na Twitterze zdawkowo: „Prawo i Sprawiedliwość nie pracuje nad żadnymi zmianami w kodeksie pracy. Propozycji Komisji Kodyfikacyjnej nie poprzemy”. MRPiS nie wydało w sprawie oświadczenia i – do momentu, w którym powstaje ten artykuł – odmawia skomentowania sprawy.

PO CO KODEKS PRACY?

Z ostatecznego brzmienia projektów nie są zadowoleni ani związkowcy, ani organizacje biznesowe. Piotr Duda nazwał zbiorowy kodeks prawa pracy „tragikomedią” i zapowiedział, że jeśli zostaną one przyjęte, to „S” wyjdzie na ulice. Być może PiS w momencie spadku w sondażach nie chciał zadzierać z silnym i zaprzyjaźnionym związkiem.

Po takim ataku trudno z przekonaniem pracować nad nowym kodeksem. A szkoda, bo – abstrahując od tego, co znalazło się w propozycjach – nie wystarczy podłubać w aktualnym stanie prawnym, by go poprawić. Prawo pracy trzeba napisać od nowa. Obecnie obowiązujący kodeks powstał w 1974 r., w środku epoki Edwarda Gierka. I choć od tamtego czasu jego zapisy zmieniały się ponad sto razy, to wciąż nie nadąża on za aktualnymi potrzebami.

Po co właściwie nam kodeks pracy? Przecież wszelkie warunki łącznie z wysokością płacy może określać umowa między przedsiębiorcą a pracownikiem. Wątpięcym w sensowność jego istnienia odpowiem, cytując... Adama Smitha. „Nie-trudno jednak przewidzieć, która z tych dwóch stron we wszelkich zwykłych okolicznościach musi mieć przewagę w sporze i zmusi drugą stronę do przyję-



Requiem dla pracy



Stefan Sękowski

Nowy kodeks pracy podzielił los jednolitej daniny i trafił do kosza. Jednak wywodzące się jeszcze z czasów PRL prawo regulujące stosunki pracownicze naprawdę potrzebuje zmian

cia swych warunków” – pisał szkocki ekonomista w swoim „Bogactwie narodów”, wskazując na to, że w XVIII w. nie ma ustawodawstwa chroniącego robotników, a jest takie, które chroni pracodawców, choć „przy wszelkich takich zatargach pracodawcy mogą wytrwać o wiele dłużej”, gdyż „nawet gdyby nie zatrudniali ani jednego robotnika, mogliby na ogół przeżyć rok lub dwa z kapitału, który już zdobyli. Wielu zaś robotników nie potrafiłoby przetrwać bez pracy jednego tygodnia [...]”. Wykwalifikowany fachowiec będzie w stanie sam się upomnieć o dobrą pensję i urlop. Niewykwalifikowany pracownik już nie. Twórca klasycznego liberalizmu gospodarczego nie pisał co prawda dosłownie o kodeksie pracy, ale ten jest właśnie ustawą, która chroni pracowników przed nadmierną przewagą pracodawców. Jest jednak i druga strona tej argumentacji: skoro prawo pracy jest po to, by wspierać słabszą stronę umowy, nie ma potrzeby, by nadmiernie chronić tych pracowników, którzy mają lepszą kartę przetargową w negocjacjach.

OCHRONĄ PIEKŁO WYBRUKOWANE

Dobre prawo pracy powinno gwarantować minimalne standardy dotyczące bezpieczeństwa w pracy i pewności sytuacji życiowej w jej kontekście czy możliwości odpoczynku, resztę pozostawiając umowom przedsiębiorców z indywidualnymi pracownikami lub układom zbiorowym. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Przykładem na to może być np. ochrona pewnych wrażliwych grup społecznych, takich jak np. ciężarne. Praca w ciąży może (choć nie musi) prowadzić do poronień i komplikacji, a po narodzinach matce oraz dziecku przydaje się także okres rekonwalescencji i opieki. Jednak gdy zsumujemy zwolnienie chorobowe w trakcie ciąży, urlopów macierzyńskich i rodzicielskiego, może się okazać, że kobiety nie ma w pracy prawie dwa lata – i to zakładając, że nie skorzysta jeszcze z urlopu wychowawczego. To nie tylko dodatkowe koszty dla pracodawcy – musi płacić za pierwszy miesiąc chorobowego (ale i w przypadku innych pracowników idących na L4 by musiał), a jeszcze pod koniec dać kobiecie zaległy urlop wypoczynkowy za okres, w którym nie pracowała – dochodzą jeszcze perturbacje organizacyjne związane m.in. z koniecznością zatrudnienia tymczasowo kogoś na jej miejsce.

To nie mizoginia stoi za niechęcią części przedsiębiorców do zatrudniania kobiet na umowę o pracę lub wręcz w ogóle. Jeśli chcemy utrzymać choć część ochrony, jaką darzymy matki, to nie możemy obarczać jej kosztem pracodawców, bo wtedy pozostanie tylko pustą obietnicą. Tyczy się to też innych sytuacji. To paradoks: nasz rynek pracy jest zbyt elastyczny, ponieważ nasz kodeks pracy jest za mało elastyczny. Umowy-zlecenia i umowy o dzieło są bowiem uregulowane kodeksem cywilnym. Głównie w oparciu o „nietypowe formy zatrudnienia” pracuje w Polsce ponad milion osób. Z danych GUS wynika, że jedynie co piąty z własnej woli. Oznacza to, że w przypadku zdecydowanej większości tych, którzy faktycznie powinni byli podpisać umowę o pracę, gdyż zobowiązali się „do wykonywania pracy określonego rodzaju na rzecz pracodawcy i pod jego kierownictwem oraz w miejscu i czasie wyznaczonym przez pracodawcę, a pracodawca – do zatrudniania pracownika za wynagrodzeniem”, pracodawca wybrał za nich umowę o dzieło, umowę-zlecenie lub samozatrudnienie. Gdy dodamy do tego osoby pracujące na przedłużających się prawie do trzech lat umowach na czas określony, otrzymamy wielomilionową armię pracujących na umowach zwanych popularnie „śmieciowymi”, które zdaniem wielu polityków i komentatorów mają stanowić główny problem polskiego rynku pracy.

Przyczyną wypychania ludzi na umowy cywilnoprawne niekoniecznie jest chciwość pracodawców. Problemem jest nie tylko wysokie opodatkowanie pracy, lecz także to, że pracownika zatrudnionego na czas nieokreślony bardzo trudno zwolnić. Jeśli szczególnie nie nabroić, to można rozwiązać umowę za porozumieniem stron, a jeśli nie da się porozumienia osiągnąć, to trzeba wskazać uzasadnione przyczyny zwolnienia. I w takiej sytuacji pracownikowi przysługuje okres wypowiedzenia nawet do trzech miesięcy.

Ta troska o pracownika jest zrozumiała. Jednak dlaczego to pracodawca ma ponosić odpowiedzialność? Nic dziwnego, że wielu korzysta z furtki do ucieczki przed reżimem KP w rozwiązaniu, które nie gwarantują ani ochrony miejsca pracy, ani nawet składki na Fundusz Pracy, dającej prawo do pobierania i tak niskiego zasiłku dla bezrobotnych w przyszło-

ści. Furtkę tę coraz trudniej zamknąć Państwowej Inspekcji Pracy, ponieważ coraz więcej osób trudni się zawodami, o jakich twórcom kodeksu się nie śniło. W świetle obowiązującego prawa trzeba traktować je niczym jednoosobowe korporacje.

PUNKT WYJŚCIA DO DYSKUSJI

Lewica i etatystyczna prawica znają na te kłopoty jedną odpowiedź: wciśnąć wszystkich w ramy obowiązującej umowy o pracę. Jednak to może jednocześnie wycisnąć ludzi z rynku pracy lub do szarej strefy. Aby naprawić patologie na rynku pracy, trzeba by jednocześnie zająć się, prócz kodeksem pracy, także podatkami, ubezpieczeniami czy wsparciem poszukiwania pracy. Przykładowo: pracodawcy chcą mieć możliwość łatwiejszego zwalniania pracowników, aby móc się elastyczniej dostosowywać do zmieniających się potrzeb rynku? Zgoda – z drugiej strony można podnieść zasiłki dla bezrobotnych (obecnie wynoszące ledwie kilkaset złotych miesięcznie) i usprawnić działanie urzędów pracy (tego w ustawie się nie zapisze), tak żeby faktycznie wspierały tych, którzy chcą znaleźć zatrudnienie. To wymagałoby pewnie podwyższenia kosztów pracy w jednym miejscu, ale... to można by zrekompensować w innym, np. pracując nad jednolitym podatkiem przychodowym, zastępującym dotychczasowy galimatias podatkowo-składkowy.

Propozycje Komisji Kodyfikacyjnej mogłyby być punktem wyjścia do takiej dyskusji, choć w swojej finalnej wersji wyglądały jak nieharmonijny koncert życzeń. Gdyby oba kodeksy zostały przyjęte w takiej formie, byłoby jeszcze trudniej zwalniać niż dziś, choć bogatsi pracodawcy mogliby się wykupić odprawami. Uelastycznieniu uległoby zatrudnienie osób chronionych, choć autorzy wskazywali w uzasadnieniu, że wymagałoby to wsparcia ze sfery ubezpieczeń społecznych. Z kolei propozycje dotyczące pracy zdalnej pokazują, że twórcy kodeksu nie za bardzo wiedzą, na czym ona polega. Potworkiem jest też pomysł, by można było odmówić pracownikowi urlopu nawet przez więcej niż dwa lata, co kłóci się z jego charakterem.

Te projekty mogłyby być początkiem ważnej dyskusji. Jednak nie będą, bo „PiS nie pracuje nad żadnymi zmianami w prawie pracy”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u „Nowa Konfederacja”.

NASZ TEST: OPEL GRANDLAND X



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE (3)

Kobiety są jak przekład: piękne nie są wierne, wierne nie są piękne – zauważył przed laty irlandzki dramaturg i filozof George Bernard Shaw. Z samochodami bywa podobnie. Przeważnie są albo piękne i szybkie, albo praktyczne i tanie w utrzymaniu. Kompaktowy SUV Grandland X należy do tej drugiej kategorii. Ma przestronne wnętrze i mnóstwo pragmatycznych rozwiązań, ale nie wygląda pięknie i nie jest to auto, które daje kierowcy szczególnie dużo radości z jazdy.

W KABINIE

Wnętrze auta długiego na niemal 4,5 m jest bardzo praktyczne i przestronne. Miejsca na nogi i nad głowę nie brakuje zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie. Wygodne fotele mogą być nie tylko podgrzewane, lecz także wentylowane. Jakość użytych do wykończenia plastików jest zaś na tyle dobra, że auto sprawia wrażenie solidnego.

Kokpit jest uporządkowany i prosty w obsłudze. W jego centralnej części znajduje się 8-calowy ekran. Plusem jest to, że system multimedialny współpracuje zarówno z Apple Car Play, jak i z Android Auto.

Kufer o pojemności 514 l po rozłożeniu siedzeń można powiększyć do 1652 l. Załadun-

ek ułatwia zaś szeroko otwierająca się klapa bagażnika.

JAZDA

W testowanym egzemplarzu pod maską znajdował się diesel o pojemności 1,6 l i mocy 120 KM. Z pewnością nie jest to demon szybkości. Auto dość powoli reaguje na mocne naciśnięcie pedału gazu (na rozpędzenie się od 0 do 100 km/godz. potrzebuje niemal 12 s), ale na trasie ma wystarczająco dużo mocy, aby w razie potrzeby bezpiecznie wyprzedzić ciężarówkę czy inne zawałidrogę. Wyraźnie przechyły na zakrętach nie zachęcają do dynamicznego pokonywania serpentyn. Jadąc spokojnie, autem tym podróżuje się jednak komfortowo i wygodnie. Miękkie zawieszenie dobrze radzi



sobie z tłumieniem nierówności, lepiej niż np. w konkurencyjnym Seacie. Samochód świetnie nadaje się więc na długie rodzinne wypady.

Układ kierowniczy nie zachwyca, ale można się do niego przyzwyczaić. Również skrzynia biegów mogłaby być nieco bardziej precyzyjna. Grandland X jest za to – jak na diesla – stosunkowo nieźle wyciszony, choć np. Nissan Qashqai jest od niego cichszy.

W cyklu mieszanym auto spalało średnio podczas testu 6,3 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Grandland X otrzymał komplet pięciu gwiazdek (zdobył 84 proc. punktów w kategorii „ochrona dorosłego” i 87 proc. w kategorii „ochrona dziecka”). Dodatkowo kierowcę wspierają elektroniczni asystenci, którzy ostrzegają przed autami w martwym polu lusterek, rozpoznają znaki drogowe i alarmują zarówno w przypadku wykrycia niezamierzonej zmiany pasa ruchu, jak i w sytuacji, gdy przed nimi nagle zahamuje inny samochód lub jak spod ziemi wyrośnie jakiś pieszy. Na pochwałę zasługują również adaptacyjne światła LED.

CENA

Za model Grandland X trzeba zapłacić co najmniej 91,9 tys. zł – za takie pieniądze dostaniemy auto z silnikiem o pojemności 1,2 l o mocy 130 KM i manualną skrzynią biegów w najuboż-



szej wersji wyposażenia. Nowy SUV ze znacznym Opla z jednostką wysokoprężną o pojemności 1,6 l i mocy 120 KM to wydatek od 102,9 tys. zł do 132,6 tys. zł w najbogatszej wersji wyposażenia. Najdroższa jest wersja z dwulitrowym dieslem pod maską o mocy 177 KM i automatyczną skrzynią biegów – za taki samochód Opel żąda od 120,9 tys. do 150,6 tys. zł.

KONKURENCI

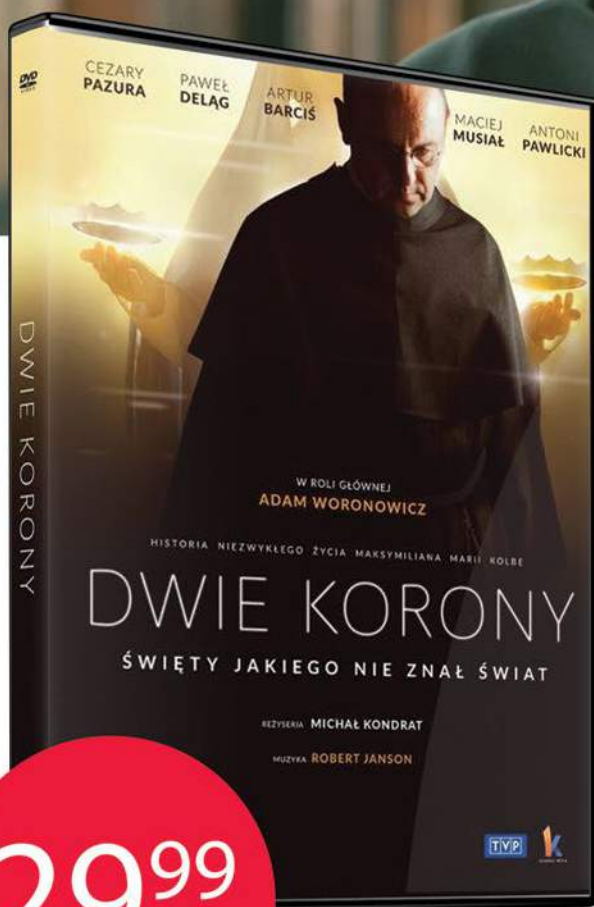
Audi Q2, Nissan Qashqai, Peugeot 3008, Seat Ateca. ©

Jacek Przybylski

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

HISTORIA NIEZWYKŁEGO ŻYCIA OJCA M.M. KOLBE



29⁹⁹
PLN

SZUKAJ
W DOBRYCH PUNKTACH
I SALONACH PRASOWYCH

reżysera: Michał **Kondrat**
muzyka: Robert **Janson**

w rolach głównych:
Adam **Woronowicz**
Cezary **Pazura**
Maciej **Musiak**
Antoni **Pawlicki**
Paweł **Deląg**
Artur **Barciś**
Dominika **Figurska**
Sławomir **Orzechowski**
Marcin **Kwaśny**
Tadeusz **Chudecki**
Mateusz **Pawłowski**
Arkadiusz **Janiczek**

OD 23 KWIETNIA
WRAZ Z TYGODNIKIEM
DO RZECZY



Również na zamówienie: tel. +48 22 529 12 10, prenumerata@pmpg.pl

eprasa.pl f7263b8a63

Poszukiwanie mieszkania jest czynnością nader pouczającą. W akcji poszukiwawczej występowałam wprawdzie tylko jako osoba towarzysząca, ale i tak dużo się dowiedziałam. Zrozumiałam prawdziwe znaczenie słowa „luksus”, zwiedziłam sporo interesujących miejsc, spotkałam ludzi. Poznałam słowa kluczowe branży nieruchomości w kategorii lux.

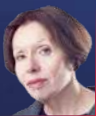
Przy czym zaznaczam, że poszukiwane przez moich znajomych mieszkanie wcale nie aspirowało do takiego kwalifikatora.

Na rynku nieruchomości jednym ze słów kluczy jest „prestizowy”. Występuje zarówno w ogłoszeniach deweloperów, jak i w drobnych anonsach rynku wtórnego. Posiada szeroki zakres znaczeniowy. Prestiżowe mogą być dzielnica, lokalizacja, kamienica, ulica, a może też to być dowolnie wybrany szczegół w pobliżu. Prestiż bezkosztowo podnosi status nieruchomości, pomaga ją sprzedać, dyskretnie podnosząc również samopoczucie nabywcy.

„Szukaliśmy mieszkania; oglądaliśmy jakąś mroczną, obboazeriowaną, papierosową pieczarę, i agent nieruchomości widząc nasze nietęgę miny, poszukał ostatniego asa w rękawie – wskazując na ulicę, gdzie mieszkał Czesław Niemen, powiedział: »To jest prestiżowa lokalizacja, nie wiem, czy państwo wiedzą, tu niedaleko mieszka Miłosz«” (Dorota Masłowska „Jak przejąć kontrolę nad światem, nie wychodząc z domu”).

W polskim słowniku rynku mieszkaniowego wysoką pozycję zajmują również słowa: „ekskluzywny”, „artystyczny”, „unikatowy”, „niepowtarzalny”. „Żoliborz to miejsce kameralne i pełne uroku – na jedną osobę przypada 50 mkw. zieleni, a zarazem jest to dzielnica ekskluzywna, w której mieszkali niegdyś elity intelektualne” – zachęca deweloper osiedla wabiącego uroczą i zapewne unikatową nazwą: Żoliborz Artystyczny.

Dorota Masłowska: „Przesycona aurą sztuka zdaje się odwoływać nie tylko do żoliborskich ikon kultury, lecz i do tej charakterystycznej, mieszczańskiej słabości do artysty. Ciągnie biały kołnierzyk do zwariowanych kolorowych ptaków, chodzących cały dzień nago po domu i kopulujących z kim popadnie. Pisarzy nachylonych w skupieniu nad maszyną. Wyrywających z niej ledwie zapisane kartki i mnących je w furii! Malarzy (ostatni ruch pędzla na filizance cappuccino „Time for coffee”). Nie mogę przesądzać, ale na sam widok wielu artystów mieszkańcy Żoliborza Artystycz-



Joanna Bojańczyk

Wszystko musi być takie, żeby gościom odebrało mowę z wrażenia



Apartament lux

nego wezwaliby ochronę za stanie obok. Brak elementarnych kompetencji społecznych, ciągłe pytanie, czy ktoś ma coś do palenia, uzależnieniowość, brak doniczek z bazylią. Artyści to jawne ludzkie piekło” (Dorota Masłowska, idem).

Tak jak skromny segment stał się niepostrzeżenie rezydencją, tak większość mieszkań, przynajmniej w słownictwie agencyjnym przemieniła się w apartamenty. Dwa pokoje na Tarchominie może jeszcze zostały mieszkaniem, choć z trudem. Trudno wprawdzie usłyszeć, żeby ktoś mówił: „Wracam do mego apartamentu”, ale w ogłoszeniu takie słowo działa stygulująco. Przynajmniej na cenę.

BASEN, FITNESS, CONCIERGE

Dwie trzecie najdroższych mieszkań w Polsce znajduje się w Warszawie, jak wynika z raportów firm REAS i KPMG. Kosztują od 14 do 16 tys. zł za mkw., 90 proc. ma cenę powyżej 18 tys. W stolicy metr kwadratowy luksusu zaczyna się od 14,7 tys. zł, we Wrocławiu i w Trójmieście – od ok. 12 tys. zł, w Krakowie – od 11,4 tys. zł,

w Poznaniu ten próg to 10 tys. zł. Za najdroższe mieszkanie w stolicy trzeba zapłacić 65 tys. zł za mkw.

– Apartament musi być reprezentacyjny, unikatowy, najwyższej jakości – mówi agentka nieruchomości z Warszawy Kinga Tabor. – Z grubsza najwyższa półka dzieli się na dwie kategorie: pierwsza to mieszkanie w nowoczesnych budynkach – penthouse lub mieszkanie w odrestaurowanej kamienicy, w których całe wyposażenie zrobione jest w nowoczesnych standardach. Garaż, basen, siłownia, concierge, winda z prywatnym dojazdem. Wysokość mieszkania powyżej trzech metrów, ładny widok, no i funkcjonalny układ – część dzienna oddzielona od prywatnej. A czasem nawet dwie kuchnie. Jedna – robocza i na duże przyjęcia, druga, bardziej kameralna. No i prestiżowa lokalizacja – wymienia.

Z tą ostatnią może być gorzej... Bo co może to oznaczać np. w Warszawie? W stolicy trudno mówić o strefach lepszych, bardziej eleganckich, podobnych do tych, jakie mają zachodnie miasta –



FOT. FOTOLIA

sprzedam

Paryż, Londyn, Nowy Jork. U nas nawet uchodzący za „prestżowy” Żoliborz jest chaotyczną mieszkanką starej substancji mieszkaniowej, często zamieszkaną przez niezbyt prestiżowych lokatorów z dawnego tzw. kwaterunku, zubożałych domów spółdzielczych z małutkimi mieszkaniami oraz nielicznych, powsadzanych w jeszcze dostępne działki „luksusowych apartamentowców”. Takich jak ten, w którym – jak podają portale – swój 350-metrowy apartament sprzedaje za 10 mln Joanna Przetakiewicz, projektantka mody, kilka lat temu związana z Janem Kulczykiem. Podobnie jak na Żoliborzu jest w innych dzielnicach Warszawy, które również agencje z upodobaniem nazywają prestiżowymi – Mokotów, Saski Kępa. Tam także nawarstwiają się archeologiczne warstwy budowlane kolejnych dekad. Nieliczne ocalałe kamienice przedwojenne, pierzeje zabudowane w latach 50. ponurymi plombami, uzupełnione spółdzielczymi blokami z lat 60. i 70. Na tym budowane z rozrzutnością państwowego dewelopera hojnie dysponującego darmową ziemią

rozpierają się blokowiska z lat 80. z dużymi prześwitami przestrzeni, zieleni, placów zabaw. W to wszystko wpycha się bez ładu i składu, ale z impetem, deweloperka ostatnich dekad.

To nic, że dostawa prawdziwego prestiżu jest niewielka; popyt na niego rośnie. Luksus idzie jak woda.

PERŁA W KORONIE

Królem warszawskich luksusów jest wieżowiec w kształcie żagla projektu Daniela Libeskinda przy ul. Złotej 44. Stanowi on kategorię samą w sobie, jest po prostu najwyższym symbolem statusu finansowego. Nic dziwnego, że mieszkanie kupił tu Robert Lewandowski. Złota 44 mieści 266 mieszkań w cenach od 30 do 65 tys. zł za metr. Mają od 65 do kilkuset metrów kwadratowych.

Elegancka recepcja, portier, a właściwie concierge, centrum fitnessu. W apartamentach pokazowych zaprojektowanych przez Jonathana Clarke’a z londyńskiej pracowni Woods Bagot, która ma na swoim koncie realizacje m.in. w Melbourne, Londynie,

Nowym Jorku czy Singapurze, możemy znaleźć wszystko to, co obecnie jest najmodniejszym trendem wnętrzarskim. „Styl loftowy” – odkryte żelbetonowe stropy i słupy, podłogi i drzwi z egzotycznego drewna, łazienki wykończone marmurem. Wszystko tu jest „inteligentne”, czytaj: obsługiwane elektronicznie. Przy wejściu zainstalowano centrum zarządzania – ekran dotykowy wielkości telewizora. Pokazuje stopień zużycia wody i energii, steruje klimatyzacją i roletami, może zamówić sprzątanie mieszkania czy taksówkę.

Problem może być tylko z dotarciem do owej wieży z kości słoniowej oraz wydostaniem się z niej. Złota 44 znajduje się w jednym z najbardziej zakorkowanych punktów miasta, tuż obok dworca i centrum handlowego Złote Tarasy. Samo wyjechanie z garażu może zająć kilkadziesiąt minut. Okolica także mało przypomina Park Avenue. Jednak nie martwmy się o przesows. Helikoptery mogą być jakimś rozwiązaniem. Widok z góry zrekompensuje wszystko.

SZAFY Z BIAŁEJ SKÓRY

Po zdjęciach już nie tak „wypasionych”, ale wciąż „ekskluzywnych” mieszkań wystawionych na sprzedaż widać, że staliśmy się społeczeństwem zamożnym. Parkiety z egzotycznego drewna, włoskie kuchnie, designerskie meble. Wanna z jacuzzi i stiuki to oczywistość. Nie wspominając o bardziej ekstrawaganckich pomysłach umeblowania, typu garderoba wykładana białą skórą, kryształowy stół, ściana pokoju cała w czarnym granicie, tapeta w złote smoki. Wszak o gustach nie dyskutujemy. – Wszystko musi być ometkowane i takie, żeby gościom odebrało mowę z wrażenia – mówi Kinga Tabor.

W pewnym pięknie, po „inteligencu” wykończonym mieszkaniu na osiedlu Biały Kamień (17 tys. za mkw.) właścicielka oprowadzała potencjalnego klienta po pokojach, pokazując dębowe parkiety i robione przez stolarza, wykończone drewnem jesionowym szafy i kuchnię.

– Mnie to nie interesuje i tak bym to wszystko wywalił – powiedział pan ze złotym łańcuszkiem. Mieszkania nie kupił.

„W najbliższych latach wciąż jeszcze młody rynek ekskluzywnych apartamentów nad Wisłą będzie przeżywał prawdziwy rozkwit, a wraz z nim będą zwiększały się wymagania klientów klasy premium” – przewiduje „Gazeta Wrocławska”.

Jest dobrze, będzie jeszcze lepiej.



Katarzyna Pinkosz

17 kwietnia to Światowy Dzień Chorych na Hemofilię. Z tej okazji chorzy chcieliby dostać wiadomość, że powstaną wreszcie w Polsce ośrodki kompleksowej opieki, znikną absurdalne przepisy i pojawi się szansa na nowoczesne leki

Marzeniem prawie każdego 10-lątka jest grać w piłkę tak jak Robert Lewandowski. Kazik Bilka też kocha piłkę, jest ekspertem, jeśli chodzi o piłkarzy z polskich i zagranicznych drużyn. Jednak na boisku wybiera raczej rolę sędziego. Chłopiec ma hemofilię: nawet niewielki uraz może u niego spowodować krwawienie wewnętrzne, czyli wylew do stawu lub mięśnia. Puchnie on wtedy i powoduje bardzo silny ból.

– Ból przy wylewie to jest tak, jakby ktoś wkładał rękę między zatrzaskujące się drzwi – opowiada obrazowo Bogdan Gajewski, prezes Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię.

DOPASOWAĆ DO DZIECKA

Powtarzające się wylewy niszczą stawy, co prowadzi do niepełnosprawności. Przez wiele lat leczenie w Polsce było bardzo złe, dlatego chorzy po 40. roku życia mają dziś poważnie zniekształcone stawy, ogromne trudności w chodzeniu, często są już po wielu operacjach ortopedycznych. Wielu z nich jeździ na wózku.

Kazikowi – podobnie jak innym dzieciom – tak poważne powikłania już nie grożą. Od 2008 r. dzięki staraniom Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię wszystkie dzieci z ciężką postacią hemofilii są leczone profilaktycznie: dostają dwa, trzy razy w tygodniu dożylnie zastrzyk z czynnikiem krzepnięcia, co ma zapobiec wylewom. – Dzięki ogromnemu postępowi w leczeniu dzieci normalnie chodzą do przedszkola, szkoły, większość nie odczuwa dolegliwości bólowych związanych z wylewem do stawów. Leki dostają do domu, to zwiększa skuteczność leczenia – mówi doc. Anna Klukowska z Kliniki Pediatrii, Hematologii i Onkologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Mogą jeździć na rowerze, wybrać się

z klasą na wycieczkę, co było niemożliwe dla starszych chorych. Żyją normalnie. To znaczy: prawie normalnie.

– W odniesieniu do wszystkich chorób dziś mówi się o indywidualizacji leczenia i dopasowaniu go do każdego chorego. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie dotyczy to hemofilii! Kazik ma profilaktykę, więc nie powinien mieć wylewów. Niestety, ma je często. System [opieki zdrowotnej – przyp. red.] nie umożliwia elastycznego dopasowania podawania czynnika, czyli w praktyce zindywidualizowanej ścieżki leczenia, uwzględniającej nie tylko wagę pacjenta, lecz także np. liczbę wylewów lub potrzebę dodatkowego zabezpieczenia dziecka, gdy jest ono bardziej aktywne fizycznie. Gdy proszę lekarzy, żebym wobec tego mógł zwiększyć mu dawkę podawanego czynnika, słyszę, że to niemożliwe, bo w programie NFZ dawka została ściśle określona – niepokoi się Arkadiusz Zdrowski, tata chłopca.

Inny absurd w leczeniu profilaktycznym dzieci dotyczy rodzaju podawanych leków. Są dwa rodzaje czynników krzepnięcia: osoczipochodne, czyli pochodzące z osocza krwi, oraz rekombinowane – wytwarzane metodami inżynierii genetycznej. Tak samo dobrze zapobiegają i leczą pojawiające się wylewy, jednak większość ekspertów uważa czynniki rekombino-

wane za bezpieczniejsze ze względu na to, że są tzw. lekami zerowego ryzyka i nie przenoszą żadnych czynników zakaźnych. W programie profilaktycznym NFZ jest jednak zapis, że dziecko, które nawet raz dostało czynnik osoczipochodny, nie może już być leczone rekombinowanym. – Nie ma to uzasadnienia medycznego, powodem jest wyłącznie różnica w cenach obydwu rodzajów preparatów – podkreśla doc. Anna Klukowska.

W większości krajów Europy Zachodniej zdecydowanie częściej stosuje się rekombinowane czynniki krzepnięcia. – Są bezpieczniejsze, ale ważne jest też to, że ich modyfikacja umożliwiła stworzenie czynników o przedłużonym czasie działania. Czynniki te na dłuższy czas podnoszą poziom czynnika krzepnięcia we krwi, dlatego lepiej zapobiegają krwawieniom i można je stosować rzadziej: w hemofilii A – dwa razy w tygodniu, a w hemofilii B – raz na tydzień lub nawet raz na 10 dni – podkreśla prof. Krystyna Zawilska, przewodnicząca Grupy ds. Hemostazy przy Polskim Towarzystwie Hematologów i Transfuzjologów.

Kazik ma hemofilię B, więc gdyby w Polsce były dostępne leki długodziałające, to zamiast 100 zastrzyków rocznie mógłby dostawać ich 30–50. – To ogromna różnica. Wklucie się w żyłę u dziecka nie jest łatwe.



Hemofilię trzeba leczyć efektywniej



FOT. FOTOLIA

w hemofilii A. Szczególnie u najmłodszych, u których z powodu cienkich żył trudno wykonać zastrzyk. Co prawda, w takich przypadkach zakładamy tzw. port, przez który podaje się lek do żyły centralnej, jednak wiąże się to z ryzykiem pewnych powikłań – mówi doc. Klukowska.

OŚRODKI TERAPII

Na zmiany czekają też dorośli chorzy. Przez wiele lat hemofilia w Polsce była leczona bardzo źle, przez co większość dorosłych jest dziś inwalidami narządu ruchu. Powinni być pod opieką ośrodków kompleksowego leczenia. Kończący się w tym roku Narodowy Program Leczenia Chorych na Hemofilię zakładał stworzenie całej sieci takich ośrodków. Nie powstał ani jeden. – Takie ośrodki istnieją we wszystkich rozwiniętych krajach. Chorzy powinni mieć zapewnioną możliwość skonsultowania się z rehabilitantem, ortopedą, chirurgiem, stomatologiem, specjalistą chorób zakaźnych, genetykiem, którzy znają się na problemach hemofilii. Jest ona chorobą rzadką, dlatego lekarz w zwykłej przychodni, który nigdy wcześniej nie zetknął się z tym problemem, nie wie, jak pomóc – podkreśla prof. Zawilska.

Niedawno powstała kolejna edycja narodowego programu, która powinna obowiązywać od przyszłego roku. – Powstanie ośrodków kompleksowej terapii jest głównym celem programu, więc mam nadzieję, że tym razem uda się je stworzyć. Jednak warunkiem ich powstania jest wprowadzenie właściwej wyceny leczenia ambulatoryjnego. Inaczej ośrodki nie powstaną albo będą przynosić długie – dodaje prof. Zawilska.

LECZYĆ NOWOCZEŚNIE

Problemem dorosłych jest też brak możliwości terapii nowoczesnymi lekami. Chorzy nadal dostają prawie wyłącznie czynniki osoczipochodne. Tylko 3–5 proc. stosowanych w Polsce czynników krzepnięcia to czynniki rekombinowane. Leków długodziałających w ogóle się nie stosuje. – Jeśli chory jest leczony profilaktycznie, to rocznie musi wykonać ok. 150 iniekcji. Dla starszych pacjentów to duży problem, gdyż w żyłach tworzą się zrosty. Bywa, że chory musi kilka razy próbować, zanim uda mu się wkłuć do żyły. Dzięki czynnikom długodziałającym tych iniekcji mogłoby być znacznie mniej – mówi prof. Zawilska.

Powodem stosowania tak małej liczby leków rekombinowanych w Polsce jest to, że ich cena jest wyższa niż osoczipochod-

nych. – Należy umożliwić konkurowanie w jednym przetargu wszystkich leków. Wówczas ceny leków rekombinowanych mogłyby spaść, na czym zyskałby zarówno budżet państwa, jak i wszyscy chorzy na hemofilię – mówi Bogdan Gajewski.

Tak się stało w Irlandii. Obecnie w 100 proc. stosuje się tam długodziałające czynniki rekombinowane. Co dwa lata organizowany jest narodowy przetarg, w którym konkurują producenci wszystkich czynników krzepnięcia. O wyniku decyduje nie tylko cena, lecz także dodatkowe kryteria, takie jak bezpieczeństwo i skuteczność leków. Czynniki rekombinowane dostają dodatkowe punkty za bezpieczeństwo, a długodziałające także za dłuższy czas działania. O dostępie do leków i jakości leczenia decyduje silna konkurencja. – Dzięki tak zorganizowanym przetargom w latach 2002–2016 liczba kupowanych leków dla chorych w Irlandii wzrosła dwa i pół razy, przy takim samym budżecie na leczenie. W latach 2002–2014, dzięki zmianom w systemie zakupów i wprowadzeniu tego rozwiązania, zaoszczędzono 132 mln euro – dodaje Bogdan Gajewski.

Hemofilia to choroba dziedziczna, związana z brakiem lub niedoborem jednego z czynników krzepnięcia krwi: najczęściej czynnika VIII (hemofilia A) lub IX (hemofilia B). W Polsce na tę chorobę cierpi ok. 3 tys. osób, większość ma ciężką postać choroby.

Trzeba mieć nadzieję, że Polska weźmie przykład z Irlandii i w kolejnych przetargach będą uwzględniane też takie kryteria, jak czas działania leków i to, czy są one preparatami zerowego ryzyka.

– Leki długodziałające to duży postęp, jednak zarówno w USA, jak i w Europie jest już zarejestrowany czynnik, który można podawać w hemofilii A powikłanej inhibitorem raz w tygodniu, podskórnie. To rewelacyjny lek, który może zmienić obraz leczenia hemofilii, wręcz pozwolić zapomnieć o uciążliwościach tej choroby – mówi prof. Zawilska.

Chorzy chcieliby, żeby decydenci także u nas zaczęli myśleć perspektywicznie. Wtedy rzeczywiście powstaną ośrodki kompleksowego leczenia, a pacjenci będą mogli stosować nowe technologie lekowe, a nie tylko o nich czytać. Zainwestowane pieniądze zwrócą się z nawiązką.



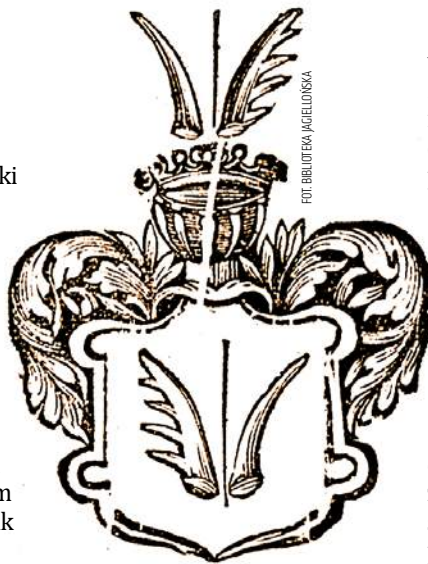
JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Grandżadza z Dubiecka

Jerzego Krasickiego herbu Rogala, starostę dolińskiego, starsi czytelnicy znają zapewne z serialu historycznego „Rycerze i rabusie” na podstawie opowiadań Józefa Hena „Przypadki starościca Wolskiego”, który po dziś dzień bije na głowę zakalcowatą „Koronę królów”. Bohater nasz był w owej produkcji pokazany jako samowolny magnat, trzymający w lochach pod zamkiem w Dubiecku licznych więźniów, uwolnionych przez starostę jurdyckiego Piotra Wolskiego. Charakterystyczna była scena, gdy wręcza podstępem Krasickiemu pozew, który ów – jak na warchoła przystało – drze w strzępy, krzycząc, aby złapano Wolskiego i wciśnięto mu papier do gardła. Ciekawe, że większość scen pokazanych w serialu jest prawdziwa – Józef Hen opisał je bowiem na podstawie „Prawem i lewem” Jerzego Łozińskiego.

Krasickich było dwóch rodzajnych braci: dobry oraz zły i brzydki. Dobrym był Marcin, starosta przemyski, o którym pisałem wcześniej; staropolski Clint Eastwood, zaprowadzający brutalną ręką prawo i sprawiedliwość w ziemiach przemyskiej i sanockiej. Rola złego i brzydkiego przypadła Jerzemu, właścicielowi Dubiecka i starostwa w Dolinie, dziś na terenie Ukrainy, ponuremu warchołowi. W Polsce nazywano go Grandżadzą, wyśmiewano jego pychę i zarozumiałość. Co więcej, Krasicki był tchórzem i niejedną raz zebrał cieżki od waleczniejszych przeciwników. Na przykład w roku 1604 w Krakowie pod Wawelem dopadł go niejaki Wojciech Oborski, którego to nazwiska próżno szukać wśród senatorów, i porąbał go szablą. Z kolei w Żydaczowie na procesji przypadł doń i wyzwał na pojedynek niejaki Żuliński, a starosta... nie stanął, więc uczestnicy wyzywali go, delikatnie mówiąc, od matek.



FOT. BIBLIOTEKA JACIELONSKA

Innym razem schwytał i odstawił do grodu w Sanoku Pawła Potockiego oskarżonego o spłądowanie wsi Sarnki. Szlachcic jednak nie tylko udowodnił niewinność, lecz także tak ostro wziął się do Krasickiego, że wymusił na nim 200 grzywien za niesłuszne oskarżenie. W dodatku wsadził go na 12 tygodni do dolnej wieży na zamku lwowskim.

Bodaj największą awanturą była zwada w Przemyślu w 1621 r., kiedy jeden z towarzyszy z chorągwi Piotra Opalińskiego przemówił się z podczaszym przemyskim Piotrem Bolestraszyckim. Obie strony postanowiły jednak negocjować – spotkały się w kościele katedralnym, aby doprowadzić do zgody. Niespodziewanie wparował tam jednak Jerzy Krasicki w towarzystwie swawolnika Zygmunta Stadnickiego, jednego z osławionych Diabłów. A ponieważ miał do chorągwi Opalińskiego własną pretensję o znieważenie sługi, teraz on począł lżyć zgromadzonych.

– Nie poczcziwego rodu człek – krzyczał – co się tego dopuścił, ale skoro mój sługa nie pomścił swojej krzywdy, to ja się jej pomszczę i pójdę o niego na rękę!

Na to wyzwanie spośród towarzystwa wyskoczył niejaki Mielżyński, a Krasicki rzucił się na niego z szablą. Czeladź Stadnickiego dała ognia z arkebuzów. W kościele polała się krew, doszło do zwady i zamętu, a bp Wężyk rzucił klątwę na Krasickiego. Ten zaś uciekł do swego dworu zwanego Żupą.

Husarze rzucili się jednak w pogoń i po długim oblężeniu wyrabali drzwi. Wkrótce wyciągnięto też struchlałego starostę, na którym wymuszono gwałtem rekognicję, w której przyznawał się on do wszystkich występków, a także obiecywał skwitować chorągiew sumą 10 tys. zł. Innym paskudnym postępkiem Krasickiego, który w 1640 r. miał na sobie 23 infamie i banicje, było porywanie ludzi oraz trzymanie ich w lochach ukochanego Dubiecka. Tak właśnie uczynił w roku 1602 z gdańskim kupcem Dytrychem Schulembergiem, z Jakubem Poniatowskim, a także z trzema innymi szlachcicami: Jaworskim, Milewskim i Kamieńskim, których trzymał w kazamatach pod zamkiem przez trzy miesiące.

Wybryki starosty z biegiem czasu stawały się coraz gorsze i nosiły znamiona szaleństwa. Dlatego w 1636 r. jego szwagier, wojewoda wołyński Adam Sanguszko-Koszyński, wystąpił do króla Władysława IV o ustanowienie kurateli nad Krasickim. Gdy król przychylił się do jego prośby, doszło do wojny prywatnej. Po stronie starosty stanął syn Stanisław, podczasz y łomżyński, który pozyskał pomoc znanego zajezdnika Jacka Dydyńskiego, byłego lisowczyka. Jednak po długich niejasnych procesach i zwadach odebrał ojcu Dolinę, a ostatnia żona Krasickiego – miasteczko z zamkiem Dubiecko. Jerzy skończył niemal jak żebrak, tułając się po Lwowie, i umarł zapomniany przez krewnych, którzy wydzielali sobie z rąk pozostałe po nim dobra. ©©

OZORKI W SOSIE CHRZANOWYM OD IWONY ARENT

Jeśli tylko pozwala mi na to czas, to staram się gotować dla siebie i rodziny. Robię bardzo różne potrawy i uczę się nowych rzeczy. Ostatnio np. opanowałam sztukę przygotowywania sushi, kupiłam odpowiedni sprzęt, nauczyłam nawet robienia sushi mojego syna. A nie jest to takie proste. Uwielbiam też tradycyjną polską kuchnię, np. długo gotowany rosół. Ostatnio robiłam ozorki w sosie chrzanowym i tym przepisem chcę się podzielić, bo wiele osób myśli, że jest to jakieś skomplikowane danie. To nieprawda, to niezwykle proste danie. Trochę trudu może przysporzyć jedynie zdejmowanie skóry, bo nie zawsze odchodzi ona łatwo, ale wtedy wystarczy ją skroić ostrym nożem.

Składniki:

- 4 ozory wieprzowe
- włoszczyzna
- czosnek
- mąka
- masło
- krem chrzanowy

Przygotowanie:

Ozory bardzo dokładnie myjemy i wycinamy gruczoły ślinowe znajdujące się u ich nasady. Wrzucamy ozory do garnka na wrzącą wodę, dorzucamy porcję włoszczyzny jak do rosółu (marchew, pietruszka, seler, por) i podobnie przyprawiamy (ziele angielskie, liść laurowy, pieprz ziarnisty). Oprócz tego dodaję jeszcze dwa ząbki czosnku. Całość gotujemy na małym ogniu około godziny. Po

tym czasie wyjmujemy ozorki i odstawiamy je do ostygnięcia, a później ściągamy z nich skórę, po czym wrzucamy je z powrotem do garnka i gotujemy ok. 45 min, aż do miękkości.

Zabieramy się do sosu. Rozpuszczamy w rondelku dwie łyżki masła, dodajemy dwie łyżki mąki i robimy lekką zasmażkę. Zalewamy ją bulionem, w którym gotowały się ozory. Ilość zależy od konsystencji, jaką chcemy uzyskać, ja dodaję ok. szklanki bulionu. Kiedy sos trochę zgęstnieje, dodajemy ok. dwóch dużych łyżek kremu chrzanowego (dostępnego w sklepach w słoiczkach), doprawiamy solą i pieprzem.

Miękkie ozorki wyjmujemy z rosółu, kroimy w plastry i wrzucamy do sosu. Gotujemy jeszcze na małym ogniu ok. 15 min, by przeszły smakiem sosu.

Ozorki podaję z ziemniaczanym purée, do którego dodaję odrobinę masła i mleka. Wywaru, w którym gotowaliśmy mięso,

nie marnujemy. Można go doprawić i podać jako rosół, ja ostatnio dodałam przecier pomidorowy i wyszła przepyszna pomidorówka. ©©

oprac. raw

Iwona Arent jest
posłanką PiS.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Oda do rosółu



FOT. FOTOLIA

Co u Janusza i Grażyny jest na niedzielny obiad? Zgadli państwo – oczywiście rosół, zupa wszystkich Grażyn i Januszów. Nudna, bez polotu, bez jarmużu, ale jakże smaczna. Kocha ją nie tylko nasz „zaścianek”. „U każdego Francuza na obiad w niedzielę kura w garnku” – postulował Henryk IV, mając na myśli naturalnie rosół. W chwilach kryzysu rosółem leczy się Maryla Rodowicz, a Martha Stewart, amerykańska bogini gospodarstwa domowego, zaleca paniom domu przygotowanie i zamrożenie porcji bulionu ze szpondra, które posłużą potem do zrobienia rozmaitych zup. A któż po pobycie w polskim szpitalu i jego osławionej diecie nie zamarzył o esencjonalnym domowym rosółku z kury? Jednym słowem – rosół to ponadnarodowy skarb, symbol zdrowia, ogniska domowego i rodziny. Słyszał kto, żeby gotowali go single? Skąd! Na rosółek idzie się do mamusi.

Jednak teraz ta smaczna zupa okazuje się być remedium nie tylko zdrowotnym. Nauka podnosi jej liczne zalety także dla urody. Przyjmować należy wewnętrznie. Na szczęście, bo mielibyśmy jednak opory przed kąpielą w wannie pełnej tłustych ok. Tajemnica skuteczności wywaru z kości i jarzyn tkwi w dużej zawartości kolagenu – fundamentalnego składnika skóry, któremu zawdzięcza ona elastyczność

i młody wygląd. Zawartość kolagenu w skórze zmniejsza się razem z wiekiem.

Jednak codzienna porcja rosółu na kościach może temu zapobiec.

Nawet jeśli jesteśmy na zdrowej, roślinnej diecie, i tak nie możemy uniknąć przyswajania trucizn, których pełne jest nasze cywilizacyjne środowisko. Regularne spożycie rosółu ma służyć jako detoks. Wysoka zawartość potasu i aminokwasów sprawi, że z toksyn oczyszcza się wątroba oraz system trawienny. Poprawią się odporność i kondycja skóry. Kojące właściwości kolagenu, żelatyny i aminokwasów zadziałają również dla dobra równowagi hormonalnej organizmu – to ma ustrzec przed złamaniami. A jak policzyli uczeni, 19 łatwo przyswajalnych aminokwasów ma stymulować proces dzielenia się komórek, który również z wiekiem słabnie.

Rosół należy do bliskiej naszemu sercu tradycji galicyjskiej. Jak opisuje w swoich powieściach Joseph Roth, niedzielny obiad w austriackim domu nie mógł się bez niego obejść.

O rosole wiedziały nasze matki i babki, ale my w fascynacjach nowinkami tak się zapędziliśmy, że zapomnieliśmy o fundamentach. I nie żaden Knorr czy Winiary, nie żadna łatwizna z proszku. Trzy kilogramy szpondra, dorodna włoszczyzna, liść laurowy, ziele angielskie, pieprz. Do garnka i gotować. Takie proste. ©©



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Anders się obroni

MARCIN MAKOWSKI: Senator Anna Maria Anders trafiła niedawno na okładki tabloidów za sprawą ponad 600 tys. zł „wylatanych” na koszt podatnika. Media twierdzą, że cała sprawa przypomina prywatne biuro podróży. Jesteś społecznym doradcą senator. Nie oburza cię to?

MATTHEW TYRMAND: Co ma mnie oburzać? Że polityk, która jednocześnie pełni funkcję sekretarza stanu w KPRM ds. dialogu międzynarodowego, lata po świecie? 600 tys. za prawie 80 podróży to nie są w dyplomacji sumy wygórowane. Tę kwotę trzeba rozłożyć na dwa lata. Poza tym senator podróżuje w większości przypadków sama, bez obstawy doradców i rzeczników, w przeciwieństwie do wielu ministrów.

Czyli mam uwierzyć, że to mało?

Wszystko zależy od punktu odniesienia, czyli skali wydatków w innych resortach. Przykład pierwszy z brzegu – jeden wyjazd minister Beaty Kempy do obozu uchodźców w Jordanie. Wielkie PR-owskie przedsięwzięcie, jakby rząd miał otwierać korytarze humanitarne. Łącznie wyleciało ponad 20 osób. Jakie kraj osiągnął z tego korzyści? Żadnych. W tym czasie trzeba się było udać do Do-

niecka albo Charkowa, skąd pochodzi większość uchodźców w Polsce. Podobnie wyglądają wyjazdy innych delegacji. Gdy premier Beata Szydło odwiedzała Nowy Jork, było z nią ok. 15 współpracowników. Reprezentacja Senatu na Paradzie Pułaskiego w 2016 r. to 10 osób. Mam wymieniać dalej? Może jacht Polskiej Fundacji Narodowej i rejs za 20 mln?

Co w takim razie Anna Maria Anders zrobiła realnego dla poprawienia wizerunku Polski za granicą?

Gdy chodzi o rozmowy na wysokim szczeblu z amerykańskimi politykami, takimi jak senator John McCain, Bob Corker czy członek izby reprezentantów Mac Thornberry (Teksańczyk, przewodniczący Komitetu Sił Zbrojnych), widziałem ją w akcji i ręczę za efekty. Właściwie we wszystkich przypadkach Anders to jedna z pierwszych, jeśli nie pierwsza osoba, która przekazuje inne spojrzenie na sytuację w Polsce niż to wyczytane z „The Washington Post” czy „The New York Times”. McCain był autentycznie zaskoczony, gdy dowiedział się, że nie wszystko, co pisze Anne Applebaum, to prawda objawiona. Poza tym wielu

amerykańskich polityków ceni sobie jej urok i towarzystwo. Tak w dyplomacji załatwia się zakulisowe sprawy, negocjuje otwarcie placówek konsulatów czy handlowych w konkretnych stanach.

Pojawiają się zarzuty, że wiele wyjazdów senator to bale polonijne i przyjęcia.

Od lat właściwie nie wysiadam z samolotu, latając po Ameryce i regularnie do Polski. Szczerze mówiąc, nie jest to najprzyjemniejszy sposób spędzania czasu. Jeśli chodzi o bale – przecież to też część pracy. Senator Anders ma świetne relacje z Polonią i weteranami. Dla wielu z nich jej obecność jest potwierdzeniem, że ktoś z ojczyzny o nich pamięta. Poza tym dodaj do tego perfekcyjny angielski, związki polityczne i wojskowe z Wielką Brytanią i USA (mąż był amerykańskim oficerem), status ojca – gen. Władysława Andersa. To wszystko razem wzięte stanowi spory atut w negocjacjach.

Cała sprawa została włączona w szerszy kontekst nagród dla członków rządu, które najpierw „się należały”, a potem prezes nakazał ich zwrot na konto Caritasu...

I być może to jest realny problem, a nie akurat wydatki Anders. Prawo i Sprawiedliwość zachwiało się na jakiś czas w sondażach, bo ludzie zobaczyli na własne oczy, że wewnątrz partii panują przepychanki. Nie ma spójnej komunikacji, wielkie idee często rozbijają się o kilkadziesiąt tysięcy złotych. A gdy przychodzi co do czego, można nawet, tak jak Marcin Mastalerek, zażądać przemalowania LOT, chociaż to pomysł biznesowo fatalny, ale przecież w imię „patriotyzmu”. Anna Maria Anders powinna działać finansowo transparentnie, tak jak wszyscy opłacani z podatków, ale w jej przypadku jestem o to spokojny. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Poland Daily

10:00 PM, 12:00 AM, 2:00 AM, 4:00 AM
(Warsaw time)



From now on, watch everyday news from Poland in English - "Poland Daily" on Telewizja Republika.

Watch "Poland Daily" on our website at your convenience: www.telewizjarepublika.pl
Free and 24/7

Nowy, angielskojęzyczny program informacyjny "Poland Daily".
Od poniedziałku do niedzieli na antenie Telewizji Republika .
Po raz pierwszy w Polsce! Niezależne i rzetelne źródło informacji o Polsce dla widzów i dziennikarzy z zagranicy.

Oglądaj Telewizję Republika: www.telewizjarepublika.pl



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Rechot rocznicowy

BOGDAN ZDROJEWSKI: *Paweł Althamer jest znakomity. Wielki talent w skrótownym myśleniu i silnych przekazach. Proponuję, by ta ilustracja (artystyczna) znalazła swoje miejsce w strefie Sejmu. Ku przestrodze i dla stałego, intelektualnego wyzwania.*

Byłego ministra kultury zachwycił happening Pawła Althamera, który w pieńku brzozy uwieził wyrzeźbioną twarz Lecha Kaczyńskiego i w przededniu rocznicy jego tragicznej śmierci przytargał to dzieło na Krakowskie Przedmieście w charakterze pomnika, robiąc z jego ustawiania happening

Jaki intelekt, takie intelektualne wyzwania. Tylko dlaczego sam Althamer się obłudnie tłumaczy, że chodziło mu o coś zupełnie innego?

w miejscu, gdzie osiem lat temu gromadziły się zrozpaczone tłumy nagle i niestety chwilowo zjednoczonych Polaków. Jakie to wspaniałe skróty! Jakie imponująco silne! „Pomnik, który

łączy” – zachwyciła się „Gazeta Wyborcza”, której jak nikomu zależy przecież na łączeniu wokół smoleńskiej tragedii.

Jaki intelekt, takie intelektualne wyzwania. Tylko dlaczego sam Althamer się obłudnie tłumaczy, że chodziło mu o coś zupełnie innego? „Wstępny założeniem było wyrażenie współczucia osobom pogrążonym w żałobie. Osobom po dwóch stronach barykady, które okładają się gestami, słowami. Chciałem złagodzić konflikt, dać wyraz cierpieniu”. Chętnie wierzę. Tak uwierzyłam Nergalowi, gdy mówił, że filmik z ukrzyżowanym penisem wrzucił do Internetu nie po to, żeby zakpić z czyjejś świętości – on chciał tylko rozbawić swoje fanki.

Głodnemu kolejnych intelektualnych wyzwań ministrowi, a także innym, jakże niestety liczny, fanom występu Althamera podsuwam kolejne intelektualne wyzwania na ich żalonym poziomie. W tym tygodniu przypada miesięcznica samobójczej śmierci Piotra Szczęsnego, fantastyczna okazja, aby uczcić jego pamięć wykonaniem rzeźby jego twarzy w drewnie komin-

kowym. Kominkowym, łapiecie? Bo on się, he, he, he, spalił. Po uroczystej prezentacji tego dzieła w miejscu, gdzie Szczęsny się spalił, można by jego „silny przekaz” dodatkowo wzmocnić, dokonując symbolicznego ponownego spalenia wystruganego w drewnie kominkowym Szczęsnego. A tym, którzy się skrzywią z niesmakiem, będzie można zakpić w twarz, tłumacząc, że to było tylko „wyrażenie współczucia rodzinie i bliskim Szczęsnego”. Bo przecież kto powiedział, że sztuka powinna mieć jakieś granice?

Wypada mi podziękować Pawłowi Althamerowi, jego pożałowania godny happening sprowokował do właściwej im reakcji ludzi, którzy osiem lat temu rechotali, gdy Janusz Palikot dawał czadu z krzyżem z puszek z piwa Lech i ukrzyżowanym misiem. Trochę już wyparłam z pamięci tamte klimaty, dzięki Althamerowi i komentarzom, do jakich sprowokował ludzi, którzy nawet w rocznicę tragedii nie potrafili sobie zrobić przerwy od nienawiści, przypominałam sobie, dlaczego nigdy nie będzie mi po drodze z barbarzyńcami. ©©

PODSŁUCHANE

Jesteśmy dogadani

Panie ministrze, podziwiam pana! To wiem, Bartek. Doceniam to. Nie wątp, że nasz czas jeszcze nadejdzie.

Nie wątpię. Ale podziwiam tym razem szczególnie za to, jak pan potrafił zachować spokój wobec tej dziennikarskiej... no, nie chcę się wyrażać. Tego

Czuchnowskiego. Ani powieka panu nie drgnęła! Umiesz dochować tajemnicy?

Ma pan wątpliwości? Przecież opowiedział mi pan cały aneks do raportu WSI i nikt się nie dowiedział. Wpadło jak w studnię. No dobrze. W takim razie zdradzę ci jedną z moich największych tajemnic, która pokazuje, jakie nitki czasem działają za kulisami spraw.

Zamieniam się w słuch. Ja jestem od dawna z Czuchnowskim dogadany.

Ale... Jak to?!

To jest układ, z którego obie strony wynoszą korzyści. Jego szefostwo docenia bezkompromisowe atakowanie wszystkiego, co powiem, a nawet tego, że milczę. Wiadomo – jeśli milczę, to nienawistnie. A moi kibice bardzo się mobilizują, kiedy on mnie atakuje. Mamy to od dawna ustalone.

I to na tej konferencji – też?!

Tak. Taki plan powstał już pięć lat temu, z treścią tego, co Czuchnowski ma powiedzieć włącznie. Ja wszystko przewidziałem. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To nie jest koniec, to nawet nie jest początek końca, to dopiero koniec początku. Koniec początku końca PiS”.

PIOTR MISIŁO, poseł Nowoczesnej, próbując parafrazować Winstona Churchilla na Twitterze.



fol. Jerzy Gumowski

Upokorzeni

Intencja (jedna z tych ewidentnie porzekadłowych, którymi wybrukowano drogę do piekieł) była dobra: mieliśmy odzyskać dziewictwo utracone wskutek zbiorowego gwałtu ze strony wrogich sił ziejających antypolonizmem. Wyszło natomiast jak wyszło: zostaliśmy globalnie upokorzeni. Miliardy mieszkańców kuli ziemskiej pierwszy raz usłyszały i zakonotowały sobie stary termin „polskie obozy zagłady”, a także zupełnie nowy termin „polish Holocaust”, powielany teraz przez żydostwo „all over the world”. I nic tu nie pomogą rozpaczliwe starania naszych internautów — ani patriotyczne perswazje kierowane do otumanionego wrażliwą propagandą świata, ani sztyderstwa, nawet tak zgrabne jak „mem” (luty 2018, miesiąc przed strugającym oryginalnego Stuhrem), który pokazywał zdjęcie obozu rodzimych himalaistów u stóp K-2, z napisem: „Polish Death Camp”. Mamy przetrąbane.

Wielotygodniowa, co chwilę odgrzewana kolejnymi pretekstami „wojna żydowsko-polska”, przyniosła znaczne szkody na całym świecie nie tylko prestiżowi Polski, lecz i samopoczuciu każdego z Polaków, ergo: krzywdę każdemu z nas. „Do Rzeczy” też nie wyszło bez szwanku, gdyż publikujący tu żydowski autor Szewach Weiss opowiedział się twardo po stronie izraelskiej, zaś Rafał Ziemkiewicz, będący dziennikarskim frontmanem organu (jego teksty są najczęściej anonosowane okładkowo i jego twarz najczęściej spośród autorów „Do Rzeczy” zdobija pełnoformatowo front pisma), publicznie przezwalał atakujących nas Żydów „parchami”, co zniesmaczyło ludzi o innej kindersztubie (nie endekiej) i być może odrzuciło część dotychczasowych Czytelników „Tygodnika Lisickiego”.

Z punktu widzenia państwowej „racji stanu” — ważniejsze niż medialna „wojna żydowsko-polska” było wszczęcie przez Tel Awiw na jej bazie konfliktu izraelsko-polskiego. Na jej bazie, lecz i z przyczyn wewnętrznych. Dla izraelskich polityków staliśmy się „chłopcem do bicia”, workiem bokserskim do obijania, bo tam już trwały przedbiegi kampanii wyborczej, a ponieważ społeczeństwo izraelskie od zawsze nienawidzi głęboko Polaków — nie ma lepszego sposobu, by trafić do serca elektoratu izraelskiego. Im bardziej nasi dygnitarze (premier, ministrowie, marszałkowie parlamentarni) starali się łagodzić emocje izraelskie — tym zaciekłej nas tam flekowano. Tamtejsze elity polityczne i medialne całymi tygodniami traktowały Rzeczpospolitą niczym dziwkę, którą sutener karci, bęszta i kopie w tyłek ile razy ma ochotę. Chłostano Polaków jako holocaustników gorszych od Niemców, jako bestialców obsługujących krematoria

w „polskich obozach zagłady”, jako plemię szatańskie tout court. Ilustrując liczne artykuły o „polskim antysemityzmie” fotografiami sprofanowanych nagrobków z... francuskich cmentarzy żydowskich.

Zepsuły się także stosunki polsko-amerykańskie, chociaż pisowcy próbowali temu zaprzeczać równie żarliwie jak salonowcy zaprzeczają, że żydowskie lobby od dekad kręci polityką zagraniczną USA. Przeczeniu tej drugiej tezie morderczy cios zadali prof. Stephen Walt (Harvard University) i prof. John Mearsheimer (University of Chicago) publikacją „The Israel Lobby and U.S. Foreign Policy” (2006). Środowiska żydowskie mogły pluć na ów tekst, przezywając go „nowymi «Protokołami Mędrców Syjonu»”, ale nie mogły zaprzeczyć cytatom z nagrań takich, jak choćby odzywka izraelskiego premiera Szarona do ekspremiera Peresa: „— Powiem ci jasno, że zupełnie się nie przejmuję naciskami Amerykanów. My, Żydzi, kontrolujemy Amerykę, i Amerykanie doskonale zdają sobie sprawę z tego”. Ja zaś doskonale zdaję sobie sprawę, że cytowanie takich słów grozi epitetem: „antysemita!”. Skóra stwardniała mi już dawno temu. Przed prawie ćwierćwieczem Margaret Safran napisała w „The Australian Je-



bilans: wyszczerbiona godność



wish News” (24-V-1996), że „im bardziej Łysiak, jeden z najważniejszych polskich pisarzy współczesnych, broni dobrego imienia swojej ojczyzny skarżonej o zbrodnie, które według niego «popęłniły lotry mające swastyki tam, gdzie ludzie mają serca» — tym silniej obrywa jako antysemita, gdyż podczas tej walki piętnuje m.in. media żydowskie”.

Podczas walki toczącej się od stycznia bieżącego roku panoszyły się w mediach priwiślińskich różne teorie spiskowe, jedne sensowne, inne kuriozalne, jak to zawsze bywa wokół burz dyplomatycznych. Przykładowo: według endeków z „Najwyższego Cza-su!” Polska za sprawą szczwanych „mędrców Syjonu” stała się raptownie obiektem „gry w dobrego i złego Żyda”. Złym jest wedle tej egzegezy megamanipulator finansowy George Soros, promotor/sponsor rodzinnej „totalnej opozycji”, a dobrym krętacz polityczny znikąd, Jonny Daniels (endecy zwą go „żydowskim Nikodemem Dyzmą”), który obłąkał nawet „starego toruńskiego antysemitę” Tadeusza Rydyka („zgiął mu kark”), i z którym nasi topowi dygnitarze (premier Morawiecki, wicepremier Gliński, i in.) jadają pokornie szabasowe kolacje nosząc mycki na głowach.

Kto jest winien skonstruowania detonatora całego tego szaleństwa, czyli „nowelki” ustawy o IPN? To ważne pytanie, bo wsku-

tek oczywistej bezmyślności tych autorów, ewidentnego ich dyletanctwa, Polska znalazła się pod pręgierzem światowej opinii publicznej. Odpowiedź: grono młodych kaczystowskich narwańców, gorących patriotów, którzy mają w rozentuzjasmowanych sercach dużo szczerych chęci, ale w rozpalcie głowach jeszcze zbyt mało oleju. Przez ich zapal wyprzedzający zdroworozsądkowe myślenie ustawa została źle skonstruowana, i tak oto Polska dziarsko stąpnięła na grabie, by zyskać pośrodku czoła wielki siny guz, zaś młody książę mianowany szefem państwa przekonał się dość boleśnie, że władanie to cholernie ciężki kawałek chleba gdy ni stąd, ni zowąd przychodzą „terminy” wskutek złośliwości losu (starożytni Grecy powiedzieliby, iż winna jest Nemezis, bogini karająca za sukces).

Żal było patrzeć jak premier całymi tygodniami gania po świecie niby przysłowiowy „kot z pęcherzem”, grając rolę strażaka gaszącego pożary rozniecane antypolsko przez Żydów. Jego argumenty odbijały się od muru złej woli Izraela i od zakorzenionego antypolonizmu światowych żydowskich diaspor, nie trafiały też do zachodnich społeczeństw, choćby do Amerykanów, bo to są synowie i wnuki tych samych Amerykanów, jacy przez kilkadziesiąt lat po wojnie pytali Żydów, którzy przeżyli Holocaust: „— Co ile dni zmieniano wam w tym Auschwitz pościel?”. Od dekad nic się nie zmienia.

Bardzo wielu rodaków cierpiało i sarkająco widząc jak konsekwentnie władze III RP reagują na zmasowaną żydowską ofensywę. Była to konsekwencja pokory — nasi dostojnicy zachowywali się pokornie, uniezienie, bojaźliwie (w nowomowie: „spolegliwie”). Czemu? By nie zaoznaczać konfliktu z potęgą nadnarodową. Niby mądrze, przeornie, wszelako podręcznik skutecznych politycznych działań, napisany genialną ręką Machiavellego, wyraźnie mówi, że jednym z najgorszych w polityce środków jest własne pokora, albowiem każdy jej kolejny stopień (lub samo tylko jej kulturowanie) podnieca przeciwników do eskalacji (lub przynajmniej do twardej kontynuacji) żądań i wymierzanych ciosów, ergo: rozzuchwala wroga, a pokornego odziera z godności. Mikołaj Rej pytał niespełna pół tysiąclecia temu:

„A ty — coś wygrał w pokorze,
Iż ci po łbie kto chce orze?”.

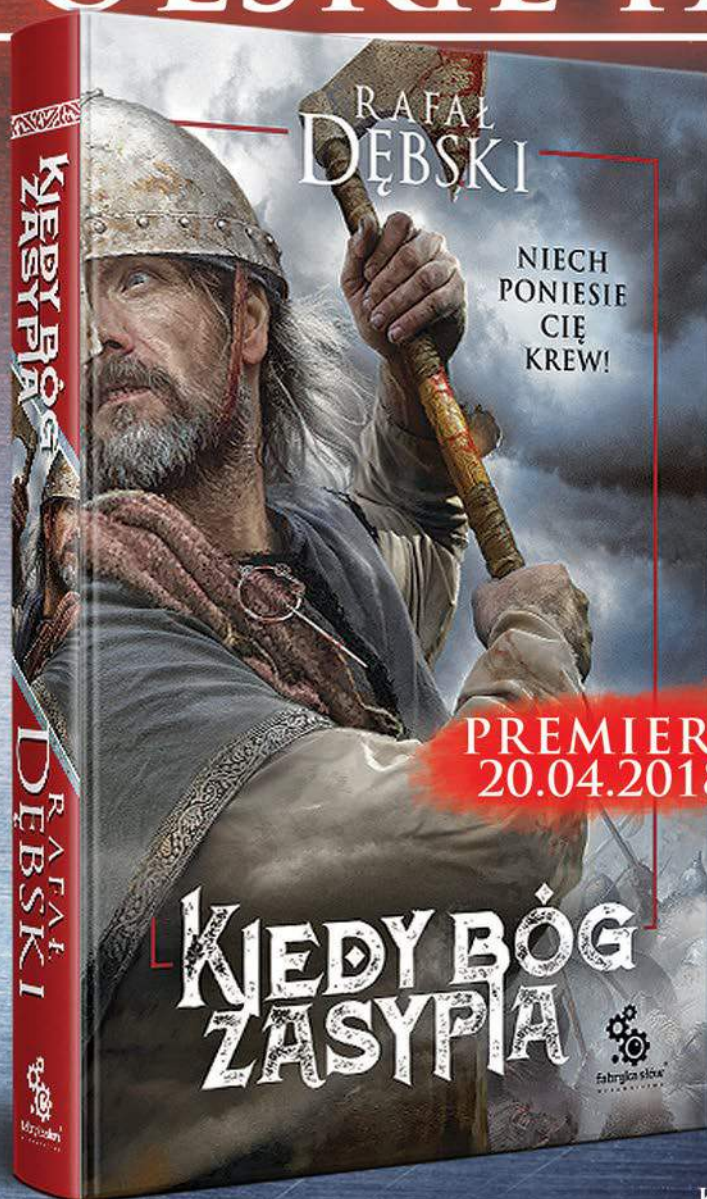
Cztery stulecia później Juliusz Słowacki narzekał:

„A w kolo takie figury, ciemiegi,
Tak w sznury wzięta gromada, w popręgi,
Że porobiła już w piekle otwory
I proste do nich mosty ma — z pokory”.

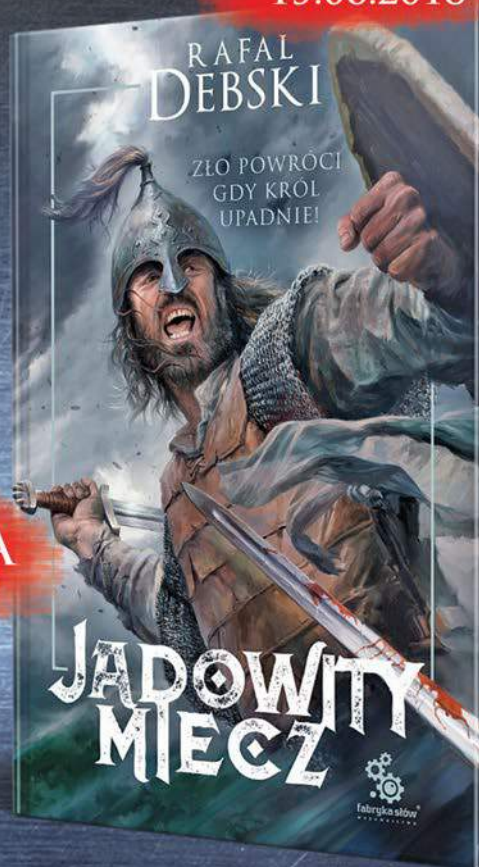
Nic dodać, nic ująć. ©©

Waldemar Łysiak

SERIA POLSKIE FANTASY



PREMIERA
15.06.2018



KRÓL MIESZKO II
ZOSTAŁ ZAMORDOWANY.
KRAJ POZBAWIONY WŁADCY
POPADA W RUINĘ. MOŻNI WALCZĄ MIĘDZY SOBĄ
O WPLYWY, U GRANIC STOI WROGA ARMIA. KAPŁANI STAREJ
WIARY ROBĄ WSZYSTKO, BY WYPLENIC Z LUDZKICH SERC
NIEMIECKIEGO BOGA JEDYNEGO. NASTAŁY MROczne, złE CZASY.
CZŁOWIEK STAJE PRZECIWKO CZŁOWIEKOWI, RAMIĘ W RAMIĘ ZE
STRZYGĄ I UPIOREM. NIE MA JUŻ DOBRA I ZŁA - SĄ TYLKO RÓŻNE
DROGI DO ZASPOKOJENIA AMBICJI, ŻĄDZY WŁADZY
I NAMIĘTNOŚCI. NADCHODZI CZAS KRWI,
PRZERAŻENIA I DZIKIEGO OKRUCIENSTWA.
KIEDY BÓG ZASYPIA, BUDZĄ SIĘ DEMONY